MOC CZYTANIA | Polska–Ukraina: nowe zamknięcie ■ Co pływa w Bałtyku
Guru w Kościele ■ TikToki Apokalipsy ■ Śpiewnik Soyki ■ Robinson, jakiego nie znacie

Kraków 27 sierpnia – 2 września 2025 nr 35 (3973) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Nowe zasady gry o nasz świat



NAGRODA LITERACKA GDYNIA 2025

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 19864fda56


RAINBOW
bumerang
Wakacje wracają
W programie **Bumerang nawet 4% wartości wyjazdu wróci do Ciebie** w postaci bonu na kolejne wakacje.
R.pl

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Pismo wolnych ludzi*

Nie myślałem, że to kiedykolwiek napiszę: Piotr Mucharski idzie na emeryturę.

Przez lata z podziwem patrzyłem na jego pracę. Piotr nie bał się rzeczywistości. Jako Redaktor Naczelny strzegł pismo przed łatwą demagogią, nawet kiedy ta kusiła wielu. „Tygodnik" pod jego kierownictwem był pismem otwartym na świat. Tak dobierał dziennikarzy i publicystów, że treści „Tygodnika" były przede wszystkim wiarygodne, nawet jeśli nie zawsze krzepiące. Tworzył pismo suwerennych autorów i wolnych ludzi.

Piotr rozeznał zmianę roli pisma, które w podtytule nosi przymiotnik „katolickie". Katolickie oznacza punkt widzenia, z którego się obserwuje rzeczywistość. Katolickie nie znaczy „nabożne" ani „budujące". „Tygodnik" Mucharskiego o Kościele i świecie pisze w sposób bynajmniej nie klerykalny. Wydawanie pisma katolickiego dziś nie jest łatwe między innymi dlatego, że jedni oczekują, żebyśmy o Kościele i wierze nie pisali wcale, a drudzy – żebyśmy pisali o Kościele w sposób pozytywny i krzepiący na duchu. „Tygodnik Powszechny" tym się między innymi różni od innych czasopism, że Kościół to jedna z naszych specjalności, ale piszemy o nim szczerze – bo inaczej pismo byłoby zafałszowane. Dziennikarzowi nie wolno pomijać milczeniem faktów dla katolików bolesnych czy żenujących.

Zresztą, dziś wprost pytamy, czy milczenie Kościoła było dobrą metodą ochrony samego siebie? Kościół właśnie teraz przechodzi czas oczyszczenia. Oczyszczenia – to znaczy ujawnienia. O grzechach Kościoła (czy ludzi Kościoła) mówił papież Franciszek, naruszając niepisane konwencje. „Tygodnik" bez satysfakcji, ale też bez fałszywego ubolewania o tym pisał i pisze. Ludziom przekonanym, że niepodejmowanie tematów trudnych czy wręcz wstydliwych ustrzeże od trudności, proponuję: popatrzmy na siebie i odpowiedzmy w prawdzie. Nie ustrzeże.

Ale o przechodzącym na emeryturę Naczelnym można powiedzieć, że daleki był od jednostronnego przedstawiania Kościoła. Piotr starał się o zachowanie równowagi w tym pisaniu. W moim przekonaniu to właśnie zachowanie równowagi, a nie czarny pesymizm, znamionowało i znamionuje nasze pisanie o wierze i Kościele. To leży z pewnością w charakterze „Tygodnika", ale jest też niewątpliwą zasługą Naczelnego, bo pokusa zachwiania tej równowagi dziś jest wielka. Oczywiście, chrześcijaństwo jest wymagające i wymagania te nie przez wszystkich przyjmowane są z entuzjazmem. „Tygodnik", cokolwiek by mu zarzucać, nigdy nie proponował chrześcijaństwa jako drogi łatwej.

Ale Piotr zawsze doskonale wiedział, że gazeta, nawet „Tygodnik Powszechny", nie jest podręcznikiem wiary. Gazeta może wychodzić poza schematy pobożnego myślenia, byle jednocześnie nie udawała w tym nabożnej. Może się mylić, a jednak otwierać umysły. Jest przestrzenią wymiany myśli, nie katechizmem, a w każdym razie te dwie formy (wykład wiary i poszukiwania) musi rozdzielać. Piotr Mucharski to wiedział i dlatego pismo jest takie dobre. Niech żałuje, kto nie czyta. „Tygodnik Powszechny" albo zachowa swoją tożsamość, albo go nie będzie. Oczywiście, jestem pewien, że zachowa i że będzie. ©℗



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

MAREK RABIJ
Przekroczyliśmy próg miliona dolarów PKB, a stało się to dzięki polskiemu genowi przedsiębiorczości. Czy nadal mamy go we krwi?

JUSTYNA MAZUR-KUDELSKA
Moda na true crime, czyli dlaczego lubimy słuchać podkastów o zbrodniach?

ANDREA GRILLO
Kościół wykorzystuje kanonizację Carla Acutisa do głoszenia błędnej nauki o Eucharystii.

Drodzy Czytelnicy,

Zdecydowałem się przejść na emeryturę. Cokolwiek robiłem w swojej dziennikarskiej karierze, czy to w telewizji, czy to jako autor książek, zawsze miało źródło inspiracji w „Tygodnikowym" sposobie myślenia – jego otwartości i odporności na wszelki dogmatyzm. Teraz pora na zmiany w „Tygodniku", a dla mnie – na nowe wyzwania. Nie żegnam się jednak z tym wspaniałym zespołem redakcyjnym, którego miałem zaszczyt i przyjemność być częścią. Czytelniczkom i Czytelnikom bardzo dziękuję.

PIOTR MUCHARSKI

Zmiany w „Tygodniku"

Od września 2025 r. Piotr Mucharski przestanie być redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego" i wiceprezesem zarządu spółki (role te pełnił od 2011 r.). Piotr – dziennikarz, publicysta, autor wywiadów, przez wiele lat kierownik działu Kultura, pracę w redakcji rozpoczął już w 1988 r. Ukształtował dzisiejszy „Tygodnik" – jego zespół, misję i renomę. W 2007 i – już jako redaktor naczelny – w 2014 r. kierował zmianami formatu i makiety oraz rozwojem treści „Tygodnika". Był jednym z inicjatorów i współtwórców Festiwalu Conrada, międzynarodowego festiwalu literatury współorganizowanego przez „Tygodnik" i Fundację Tygodnika Powszechnego z Miastem Kraków i KBF.



Za wszystkie wspólne lata serdecznie Piotrowi dziękujemy.

Zgodnie z regułami obowiązującymi w spółce Tygodnik Powszechny sp. z o.o. wybór nowego redaktora naczelnego i zarazem wiceprezesa Zarządu należy do Fundacji Tygodnika Powszechnego, większościowego udziałowca Spółki. Do czasu wyboru nowego szefa redakcji obowiązki redaktora naczelnego pełnił będzie Michał Kuźmiński, który współtworzy pismo od dwudziestu lat, a od prawie dziesięciu jest zastępcą redaktora naczelnego. Zastępczynią redaktora naczelnego pozostaje Ewelina Burda, która pełni tę funkcję od 2023 r., łącząc ją z rolą szefowej serwisu TygodnikPowszechny.pl. Nową kierowniczką działu Kultura zostaje Monika Ochędowska, dziennikarka i krytyczka literacka, związana z pismem od 2018 r. ©℗

REDAKCJA



16 Regres, jakiego nie było
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ
Ani polskiego prezydenta, ani premiera nie ma przy stole, przy którym decyduje się, czy – a jeśli tak, to za jaką cenę dokonany zostanie rozbiór sąsiadującego z nami państwa. Dlaczego znaleźliśmy się za burtą? Jakie konsekwencje poniesiemy?



26 Wyspa nam pomaga
ROZMOWA Z SZYMONEM DROBNIAKIEM, ORNITOLOGIEM:
Ptaki muszą przekraczać morze z precyzją. Gotlandia to miejsce, w którym niemal na pewno się zatrzymają, żeby odpocząć. Dzięki temu łatwo je tam badać.



73 Śpiewnik Soyki
ADAM STRUG
Niezwykły talent, przestrzenna wyobraźnia kompozytorska. Samokrytyczny, ciepły, ale też szorstki, gdy go coś uwierało. Wrażenie robiła na mnie jego bezinteresowność.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS // ERNI / ADOBE STOCK // WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Nowy rok, stary kryzys
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

16 Regres, jakiego nie było
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

19 Klucz do serca Polski
MARCIN KĘDZIERSKI: *Czy wybór okresu wakacyjnego na ogólnonarodowe celebracje uwzględnia uczucia i historię ludzi spoza Warszawy?*

22 Na tej łódce płyniemy razem
ROZMOWA Z RYSZARDEM IZDEBSKIM, PSYCHOTERAPEUTĄ: *Trzynastolatek ma naturalne prawo do zgłoszenia się do psychologa bez zgody rodziców*

■ ■ ROZMOWA

26 Wyspa nam pomaga
ROZMOWA Z SZYMONEM DROBNIAKIEM, ORNITOLOGIEM

■ ■ ŚWIAT

30 Niespokojne serbskie lato
JULIUSZ PIELICHOWSKI: *Ostatnie antyrządowe protesty wywołały także napięcia między Serbami a mniejszością słowacką w Wojwodinie*

33 Polityka karabinów
MARTYNA LESZCZYŃSKA *o Kolumbii po śmierci postrzelonego w czerwcu kandydata na prezydenta*

35 Rumuński dom króla
PATRYCJA BUKALSKA *z Viscri, gdzie Karol III ma wiejski dom*

■ ■ WIARA

38 Pokusy duchowej władzy
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Jak się ochronić przed duchową przemocą*

41 Dwa wspomnienia o możnym nuncjuszu
IGNACY DUDKIEWICZ: *Po abp. Józefie Kowalczyku pozostaną dwie opowieści: jego własna i osób przez niego skrzywdzonych*

TEMAT TYGODNIKA



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

12 Nowe idzie po nas
OLAF OSICA

Ameryka nie chce być już gwarantem naszego bezpieczeństwa. Musimy to przyjąć do wiadomości nie po to, by zrywać więzi atlantyckie, ale po to, aby nie zostać zupełnie sami.

■ STRONY SPECJALNE ■

57 NAGRODA LITERACKA GDYNIA 2025: KOLACJA SKŁADKOWA

Na jubileusz dwudziestolecia Nagrody Literackiej Gdynia o literaturze rozmawiają: DOROTA KOZICKA, INGA IWASIÓW, PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI, GRZEGORZ JANKOWICZ I RYSZARD KOZIOŁEK

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
51 ELIZA KĄCKA **76** PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: BLANKA BIERNAT DLA „TP”

REDAKTORKA PROWADZĄCA: **ANNA GOC**

42 Bramy nieskończoności
ROZMOWA Z ALISON MILBANK, PROFESORKĄ TEOLOGII: *Coraz więcej teologów sięga po teksty literackie*

45 Rachunek za kajdany
MARCIN CHODUŃ: *Czarnoskórzy Brazylijczycy pytają o rolę Kościoła w systemie niewolniczym*

47 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

48 Czarny wrzesień Sulejowa
GRZEGORZ ŁUBCZYK *o jednej z pierwszych wojennych zbrodni hitlerowskich Niemiec*

■ ■ NAUKA

52 Co pływa w Bałtyku
ROZMOWA Z JACKIEM PISKOZUBEM, FIZYKIEM MORZA

■ ■ KULTURA

64 Rozbitkowie patrzności
MICHAŁ SOWIŃSKI: *„Robinson Crusoe” dotyka pytań, od których sami nie potrafimy uciec*

68 Tragedie gangsterskie
JAKUB MAJMUREK: *Serial „Strefa gangsterów” ogląda się jak fascynującą, ale krwawą partię szachów*

71 Do widzenia, Smoku Smoków
ANITA PIOTROWSKA: *Marcel Łoziński uważał, że najważniejsze to kręcić filmy tak, „żeby nie bolało”*

73 Śpiewnik Soyki
ADAM STRUG

74 I stało się wszystko
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Sorry, Baby”*

75 Wymieranie
LEKTOR *o książce „Żywe istoty” Iidy Turpeinen*

■ ■ PSYCHE

78 Nawet koniec świata to nie koniec świata
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Jak dać dzieciom wsparcie i nadzieję w czasach TikTokowej Apokalipsy*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 56

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ TYGODNIA

NOWY ROK, STARY KRYZYS

Pół żartem i w pełni zgryźliwie można by powiedzieć, że kryzys objął z grubsza wszystko, co w specyficznie polskim krajobrazie szkolnym bliskie naszym sercom: przeprowadzanie egzaminów, wdrażanie reform i planowanie strajków oraz manifestacji.

CHORE INSTYTUCJE | Najpierw pod koniec lipca Najwyższa Izba Kontroli dostarczyła raport o funkcjonowaniu instytucji odpowiedzialnej za przeprowadzanie egzaminów ósmoklasisty i matur. I potwierdziła to, o czym się mówi i pisze (także na tych łamach) od lat: że system sprawdzania tych dwóch państwowych testów, decydujących o edukacyjnym „być albo nie być" setek tysięcy młodych Polaków, jest niechlujny i bywa krzywdzący. Co piąty sprawdzający w Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej w Poznaniu popełniał błędy merytoryczne przy ocenianiu, a 40 proc. wniosków o weryfikację wyniku kończyło się jego korektą (w skali kraju to 25 proc.). „Dla wielu maturzystów zaniżenie oceny mogło oznaczać straconą szansę na studia" – podsumowywała Izba.

W czasie wakacji polski system oświaty nie dał od siebie odpocząć: w kolejny rok szkolny wkraczamy z zadyszką najważniejszych edukacyjnych instytucji, a także informacyjnym chaosem zafundowanym przez MEN.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POWYŻEJ:
Nauczyciele przygotowują podręczniki dla uczniów na początku nowego roku szkolnego. Gorzów, 4 września 2024 r.

Już w sierpniu z kolei wakacyjna flauta jęła najwyraźniej przeszkadzać samemu rządowi i Ministerstwu Edukacji Narodowej. Zaczęło się od śmiałej i ciekawej propozycji ekspertów Instytutu Badań Edukacyjnych, czyli rządowej agendy wyznaczonej do wdrożenia reformy podstaw programowych, na nowe porządki w nauczaniu języka polskiego w podstawówkach. Robocza propozycja IBE zakładała m.in., że w klasach 4-6 czytane na lekcjach lektury wybiorą w dużej części sami uczniowie i nauczyciele w oparciu o tzw. kręgi tematyczne (np. „rodzina", „relacje rówieśnicze" i „przyjaźń"). Z kolei uczniowie klas 7-8 czytaliby mniej obowiązkowych lektur w ramach tzw. kanonu. Propozycja, której logi-

kę można było interpretować jako rozstanie z hipokryzją (czyli przekonaniem, że zapisany obecnie bogaty w pozycje książkowe kanon utrwali się w głowach uczniów), została uznana przez prawicę za atak na narodowe świętości. A rządowi i MEN-owscy oficjele dali się w tę atmosferę szantażu wciągnąć. Resort Barbary Nowackiej zdystansował się od pracy własnego eksperckiego zaplecza, a rzecznik rządu Adam Szłapka stwierdził wręcz, że „kanon lektur pozostaje bez zmian".

NIE TYLKO POLITYKA | Wreszcie już pod koniec sierpnia dostaliśmy opowieść o tym, że w samym Instytucie Badań Edukacyjnych działo się przez lata – a być może dzieje nadal – bardzo źle. Portal Oko.press opisał „quasi-mafijny" układ w tej instytucji za kadencji ministra Przemysława Czarnka (szemrane dotacje, ideologiczne nominacje i badawczy krach). Z kolei „Dziennik Gazeta Prawna" ujawnił, że w IBE panuje „atmosfera mobbingu", a z pracy chce odejść aż 40 proc. badanych w ramach związkowej ankiety pracowników. Co oznaczałoby, że polityczny „nalot dywanowy" na Instytut nie był wcale jego wyłącznym problemem (potwierdzają to także źródła „Tygodnika").

Instytucjonalnego kryzysu jakby pozazdrościł pod koniec wakacji CKE, IBE i MEN także Związek Nauczycielstwa Polskiego. ZNP zapowiedział na 1 września manifestację przed budynkiem resortu edukacji, ale wielu nauczycieli akcję najpewniej zbojkotuje – wybrany przez ZNP termin przypada wszak na pierwszy dzień pracy nauczycieli, tj. poniedziałek, co na pewno nie pomoże sile i rozgłosowi manifestacji.

NOWE PORZĄDKI | Wszystkie te kryzysy (sporo jak na jedne wakacje) kumulują się u progu nowego roku szkolnego, który przyniesie kilka ciekawych zmian. Po pierwsze, uczniowie dostaną dwa nowe przedmioty. O pierwszym, choć będzie obowiązkowy, panuje względna cisza: to wprowadzona do szkół ponadpodstawowych w miejsce niesławnej pamięci HiT-u edukacja obywatelska. Kwestia drugiego, czyli edukacji zdrowotnej, stała się już poligonem krwawych polemik na każdym niemal poziomie – od facebookowych baniek, przez fora nawracających się wzajemnie na jedynie słuszną opcję rodziców, aż po płomienne odezwy wszystkowiedzących w sprawach wychowania i edukacji biskupów. Przedmiot, którego celem jest fizyczne, psychiczne, seksualne i cyfrowe zdrowie młodych Polaków, sprawdzi się dopiero w boju – wtedy gdy okaże się, jak przygotowani są do niego merytorycznie nauczyciele, a organizacyjnie szkoły.

Inna ważna zmiana dotknie nauczania religii: od września państwo sfinansuje już tylko jedną godzinę katechezy tygodniowo, w planie zajęć zaś religia będzie mogła pojawić się tylko na początku bądź na końcu lekcji (z możliwością odstąpienia od tej zasady tylko wówczas, gdy wszyscy uczniowie na religię lub etykę w danej szkole uczęszczają). To informacje złe dla Kościoła, lepsze (zwłaszcza w przypadku drugiej z korekt) dla uczniów niechodzących na religię i etykę, którzy przez lata padali ofiarą „okienek" w środku dnia, nie mając co ze sobą zrobić.

NIEPOKÓJ NAUCZYCIELSKI | Przegranymi początku roku szkolnego są niestety tradycyjnie nauczyciele. Po euforii z początku 2024 roku, gdy dostali relatywnie wysokie podwyżki płac, nie ma już w zasadzie śladu. A postulowany przez ZNP i obiecywany przez rząd stały mechanizm waloryzacji nauczycielskich płac pozostaje nadal w sferze planów.

Tymczasem nadciąga przecież kolejna duża edukacyjna reforma – tym razem podstaw programowych. Choć przez ekspertów jest różnie oceniana, jednego powiedzieć o niej na pewno nie można: że głównym przedmiotem jej naprawczego działania będą nauczyciele. A to przecież oni będą ją musieli od początku roku szkolnego wdrażać. Na szczęście jeszcze nie tego, a następnego. ©℗

LECH MUSZYŃSKI / PAP



Kraj bez dronów

MAREK KĘSKRAWIEC

Czy Polska przygotowuje się do wojny przyszłości, czy raczej do tej, która już była? – zdają się coraz częściej zastanawiać eksperci ds. wojskowości patrząc na to, w jaki sposób wydajemy miliardy z budżetu na zbrojenia. Najczęściej słyszymy bowiem o ciężkim sprzęcie: czołgach, śmigłowcach i myśliwcach bojowych, które dają Polsce ogromną siłę rażenia, ale wciąż jeszcze stanowią elementy nieskładające się na spójny system gwarantujący nam bezpieczeństwo.

Mogliśmy się o tym przekonać przy okazji historii z rosyjskim (lub białoruskim) dronem, który wleciał niepostrzeżenie na terytorium Polski, przebył 85 km i eksplodował w Osinach na Lubelszczyźnie. Nie był to zapewne przypadkowy lot, ale misja obserwacyjna, cały zaś incydent każe postawić dwa pytania.

Dlaczego drona nie wykryto i co by się stało, gdyby pewnego dnia takich obiektów (uzbrojonych) wleciało do nas kilkaset?

To o tyle istotne, że zdaniem Walerija Załużnego, byłego dowódcy ukraińskiej armii, małe drony odpowiadają dziś za dwie trzecie zadawanych strat. Ich produkcja zaś idzie w obu walczących krajach w miliony i obejmuje drony rozpoznawcze, przechwytujące, kamikaze, bombowe etc. W Polsce jest ona śladowa (i nie będzie szybko większa), a zakupy zdecydowanie niewystarczające.

Używane przez nas systemy radarowe (wspierane przez natowskie AWACS-y) bywają bezradne wobec małych dronów, lecących na niskiej wysokości, ale nie jest to zaskakująca wiadomość, gdyż zaprojektowano je do wykrywania większych obiektów. Nie mamy systemu takiego, jaki posiadają Ukraińcy, bazujący dziś głównie na 10 tysiącach czujników akustycznych, wykrywających zagrożenie z kilku kilometrów i chroniących głównie miasta oraz ważne dla kraju zakłady. U nas tę rolę ma pełnić system Barbara, ale stanie się to najwcześniej za dwa lata – trochę za późno, biorąc pod uwagę skalę zagrożenia oraz niepewność ochrony ze strony USA pod rządami Donalda Trumpa.

Niepokój może budzić zwłaszcza słabość polskiego przemysłu zbrojeniowego oraz zapaść naszej współpracy z Ukrainą. Tymczasem Wołodymyr Zełenski właśnie zaproponował USA wart 50 mld dolarów kontrakt na produkcję 10 mln dronów dla amerykańskiej armii. Umowy na wspólne wytwarzanie bezzałogowców podpisały już z Ukrainą Francja i Niemcy. W sobotę list intencyjny o wspólnej produkcji uzbrojenia parafowali z kolei ministrowie obrony Szwecji i Ukrainy. ©℗



Walka z wiatrakami

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Prąd będzie droższy przez prezydenta / rząd – niepotrzebne skreślić. Bez względu na to, co Państwo skreślą, rachunki i tak pójdą w górę. Odpowiedzialni są i rząd (nie tylko obecny), i prezydent (też nie tylko obecny).

Obecny rząd odpowiada za taki stan rzeczy, bo do ustawy o rozwoju lądowej energetyki wiatrowej pozwolił dokleić przepisy o zamrożeniu cen energii do końca 2025 r. Skąd w ustawie takie zapisy? Minister klimatu tłumaczyła to brakiem czasu przed przerwą wakacyjną w Sejmie. Bardziej prawdopodobne jednak, że chodziło o presję na prezydenta – zawetowanie ustawy miało go czynić winnym za podwyżkę cen energii.

Ponieważ Karol Nawrocki tę sklejkę zawetował, ta właśnie nuta wybrzmiała – premier grzmiał „o złej woli albo koszmarnej niekompetencji prezydenta". Nawrocki wykonał jednak unik. Złożył w Sejmie projekt ustawy z – jak twierdzi – „literalnie wyjętymi" z ustawy wiatrakowej przepisami o mrożeniu cen energii. Jego kancelaria odtrąbiła nawet „podpisanie projektu ustawy", jakby już ona obowiązywała. A że droga do uchwalenia długa? W razie czego winna będzie większość parlamentarna.

Nie są to polityczne szachy, tylko podwórkowa przepychanka o to, kto ma większą łopatkę. Prawdziwy problem to nie tylko nasze rachunki do końca roku, ale też to, jak ceny energii będą się kształtować później. Bo bez rozbudowy wiatraków będą one po prostu wysokie. Za to odpowiadają wszyscy, którzy się do tego przyczynili, z Nawrockim włącznie.

Ten ostatni, wetując ustawę, powoływał się na „społeczne protesty". Tyle że żadnych masowych protestów w tej sprawie nie było i nie ma, a sondaże pokazują, że większość Polaków popiera i zawetowaną ustawę, i rozwój lądowej energetyki wiatrowej. Mało tego, odrzucona ustawa przewidywała, że decydujący głos będą miały gminy – gdyby mieszkańcy rzeczywiście protestowali, wiatraków by nie stawiano.

Prezydent argumentował, że realną obniżkę cen energii zapewni rezygnacja z unijnego systemu handlu emisjami ETS. Nie wyjaśnił tylko, jak chce to osiągnąć, bo Polska sama nie zawiesi regulacji UE. Mogłaby oczywiście zbudować w tej sprawie koalicję z innymi krajami, ale nikt takiej koalicji z nami nie chce, bo reszta wspólnoty od lat rzetelnie pracuje nad swoją transformacją (w 2024 r. źródła odnawialne stanowiły w Europie 47 proc. produkcji energii, a w Niemczech ponad 59 proc., u nas niespełna 27 proc. miksu, przy 57 proc. udziału węgla).

Na tle Unii jesteśmy najbardziej zapóźnieni. Dlaczego? Bo rząd / prezydent – niepotrzebne skreślić. ©



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Prezydent Karol Nawrocki składa oświadczenie w sprawie ustawy wiatrakowej. Warszawa, 21 sierpnia 2025 r.



Wrzenie Wysp

PATRYCJA BUKALSKA

W wielu brytyjskich miastach po raz kolejny demonstrowali przeciwnicy kwaterowania azylantów w hotelach; aresztowano kilkanaście osób. Protesty odbyły się w parunastu miastach, m.in. w Londynie, Liverpoolu, Bristolu, Perth i innych. W wielu miejscach zorganizowano również kontrdemonstracje zwolenników wspierania uchodźców.

Trwające od lipca protesty rozpoczęły się w Epping, niewielkim mieście w Essex, gdy okazało się, że przebywający w tamtejszym hotelu The Bell azylant został oskarżony o napaść seksualną na nastolatkę. W ubiegłym tygodniu na wniosek tamtejszych lokalnych władz sąd wydał tymczasowy zakaz zakwaterowania osób ubiegających się o azyl w hotelu The Bell, a przebywający w nim obecnie azylanci muszą zostać przeniesieni (władze samorządowe motywowały swój wniosek obawami o napięcia społeczne, ale także zmianą sposobu użytkowania obiektu bez ich zgody).

Jest to pierwsze takie orzeczenie i może okazać się przełomowe. Rząd premiera Keira Starmera już zapowiedział apelację w tej sprawie, gdyż obawia się, że orzeczenie dotyczące Epping otworzy drogę innym samorządom do składania takich wniosków w sądach.

Kwaterowanie osób wnioskujących o azyl na czas rozpatrzenia ich sprawy w hotelach od dłuższego czasu budzi w Wielkiej Brytanii kontrowersje, głównie ze względu na koszty. Rząd obiecał to zmienić do 2029 r., jednak to dość odległy termin.

Tymczasem napięcia związane z imigracją na Wyspy Brytyjskie narastają. Nasila się też presja na rząd.

Z sondaży wynika bowiem, że aż 71 proc. Brytyjczyków uważa, iż gabinet Starmera nie radzi sobie dobrze z kwestią azylantów, przy czym sprawy imigracji są najważniejszymi dla 37 proc. ankietowanych.

Na fali tego społecznego niezadowolenia i frustracji rośnie natomiast poparcie dla Nigela Farage'a i jego partii Reform UK. Prowadzi on w sondażach: może liczyć na głosy 28 proc. wyborców, gdy rządzący niewiele od ponad roku laburzyści jedynie na 21 proc. Farage postuluje deportację wszystkich imigrantów, którzy przybyli na Wyspy nielegalnie w tzw. małych łodziach przez Kanał La Manche. ©℗

NA PUNKTY

MIASTO
106 głosów przesądziło o zwycięstwie niezależnego kandydata Kamila Żbikowskiego w wyborach na prezydenta Zabrza. Przy frekwencji 27,4 proc. Żbikowski pokonał popieraną przez Koalicję Obywatelską Ewę Weber.

PAŃSTWO
KO zmaga się też z innymi problemami, np. zapowiedzią kolejnego weta, tym razem do ustawy podnoszącej akcyzę na alkohol. Rząd planował podwyżkę, by ograniczyć spożycie i negatywne skutki nadużywania alkoholu; Karol Nawrocki tłumaczy, że nie zgadzając się na podniesienie podatków wywiązuje się z obietnic wyborczych.

SŁAWNY CZŁOWIEK
Do warszawskiego sądu trafił akt oskarżenia wobec byłego szefa MON Mariusza Błaszczaka i obecnego szefa BBN Sławomira Cenckiewicza. Sprawa dotyczy odtajnienia w kampanii wyborczej 2023 r. części planu użycia sił zbrojnych. Mariusz Błaszczak mówi o „zemście Tuska", a premier zapewnia, że to nieprawda: „Szczerze powiedziawszy, zapomniałem o pańskim istnieniu". ©℗



Ameryka kontra szczepionki

BARTOSZ KABAŁA

Pierwsze pół roku Roberta F. Kennedy'ego Jr. (na zdj.) na stanowisku sekretarza zdrowia i polityki społecznej potwierdziły obawy znacznej części środowiska naukowego i medycznego. Od lutego tego roku RFK Jr. zdążył zwolnić wszystkich członków komitetu naukowego, który doradzał rządowi USA w sprawie szczepień.



Ponadto zablokował finansowanie wielu badań nad nowymi szczepionkami, opublikował napisany przez sztuczną inteligencję raport o zdrowiu Amerykanów, w którym zawarto zmyślone przez AI źródła, oraz promował „wolny wybór" w zakresie szczepień przeciwko odrze, w momencie gdy liczba przypadków tej choroby w USA była najwyższa od 25 lat.

Z początkiem sierpnia zaś wezwał redakcję „Annals of Internal Medicine", jednego z najbardziej prestiżowych pism medycznych, do wycofania pracy dotyczącej bezpieczeństwa szczepionek zawierających sole glinu. Składnik ten wzmacnia odpowiedź organizmu na podaną szczepionkę i zwiększa jej skuteczność. Przez przeciwników szczepień sole glinu uważane są za przyczynę występowania poszczepiennych powikłań.

W badaniu, jednym z największych tego typu, wzięto pod uwagę ponad 1,2 miliona dzieci zaszczepionych w Danii w latach 1997-2020, nie stwierdzając wśród nich częstszego występowania chorób autoimmunologicznych i autyzmu. Kennedy zarzuca autorom błędy i manipulowanie wyborem metody badawczej (m.in. wykluczenie z analizy bardzo wcześnie zmarłych dzieci), by osiągnąć określone wyniki. „Jedyne, czego dowodzi to badanie, to całkowita korupcja pism medycznych" – pisze Kennedy.

W odpowiedzi redaktorka naczelna pisma Christine Laine potwierdziła, że badanie było recenzowane i nie ma powodów, by zostało wycofane. Jeden z autorów badania wprost odpowiedział na wszystkie wątpliwości i zarzuty Kennedy'ego, tłumacząc jego błędy i manipulacje.

W walce Kennedy'ego o „wolność wyboru" w kwestii szczepień pierwszą ofiarą wydaje się wolność nauki i wolność prasy. ©

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES



Czarnogóra w ogniu

ALEKSANDRA WOJTASZEK Z PODGORICY

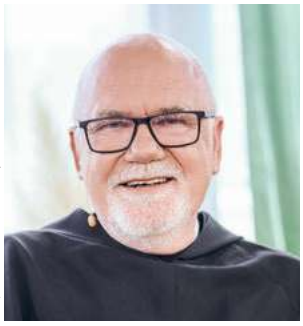
Przez kilka dni swąd czuć było w całej Podgoricy, stolicy Czarnogóry. Z okolicznych wzgórz unosił się dym, a w nocy widać było łunę pożarów, które niebezpiecznie zaczęły okrążać miasto. Sytuację dodatkowo utrudniał silny wiatr. W tym samym czasie pożary szalały też w kilku innych miejscach w kraju, również nad morzem.

Z pomocą pospieszyli sąsiedzi i UE. Do Czarnogóry dotarły m.in. samoloty-amfibie z Włoch i Chorwacji. To jeden z najskuteczniejszych sposobów walki z pożarami – jest w stanie zastąpić nawet dwustu strażaków. Chorwacja ma pięć najnowocześniejszych samolotów tego typu. Czarnogóra, gdzie teren jest wyjątkowo trudny – ani jednego. Tymczasem każdego lata sytuacja raz po raz wymyka się spod kontroli. Nie obyło się bez ofiar – życie stracił młody żołnierz, inny był ciężko ranny.

Przy tej okazji po raz kolejny uwidoczniły się głębokie podziały w czarnogórskim społeczeństwie. W tym sześćsettysięcznym kraju sytuacja polityczno-etniczna jest wyjątkowo skomplikowana. Od kilku lat w tamtejszym rządzie dominują partie proserbskie, a spór na linii Czarnogórcy–Serbowie nieustannie się zaostrza. Dlatego niektórzy komentatorzy z oburzeniem twierdzili, że Czarnogóra zbyt długo czekała na wezwanie międzynarodowej pomocy, gdyż miejscowym politykom zależało, aby najpierw dotarł helikopter z Serbii. Przez kilka dni trwał festiwal szukania winnych: niektórzy oskarżali obecne władze, inni dawnego dyktatora Slobodana Miloševicia. I tak kruche zaufanie między obywatelami różnych etnicznych i politycznych opcji naruszają informacje, że część pożarów miała zostać wywołana celowo.

Ostatecznie, w okolicy Podgoricy ogień udało się opanować. Po raz pierwszy od wielu dni spadł tam też deszcz. Wybuchają jednak nowe pożary, obecnie koło Budvy. Obywatele kraju po raz kolejny wykazują się odwagą w walce z żywiołem, ale ich upór na dłuższą metę nie wystarczy, jeśli będą walczyć niemal gołymi rękami.

W tym samym czasie płonęły także inne kraje regionu, m.in. Albania i Grecja. To nie tylko bałkański problem: z pożarami wywołanymi postępującą katastrofą klimatyczną nie radzą sobie o wiele bogatsze państwa. ©



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

WIESŁAW DAWIDOWSKI, AUGUSTIANIN:

Papież Franciszek potrzebował być blisko ludzi, papież Leon potrzebuje natomiast wspólnoty zakonnej.

ARTUR SPORNIAK: „La Repubblica" podała, że Leon XIV przeniesie się do komnat papieskich, gdy zostaną wyremontowane, razem z trzema augustianami. Skąd pomysł, by z Pałacu Apostolskiego uczynić klasztor?

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA: To pomysł bardzo augustyński. Św. Augustyn jako biskup kontynuował życie zakonne i zamieszkał w domu biskupim w Hipponie razem z innymi mnichami. Dawało mu to poczucie odsunięcia podejrzeń o karierowiczostwo w Kościele, a z drugiej strony otrzymywał wsparcie wspólnoty, której ufał. Leon XIV jako augustianin jest dziedzicem tej duchowości. Poza tym domyślam się, że chce w ten sposób dowartościować i „zareklamować" życie zakonne, które obecnie przeżywa kryzys.

Na czym to papieskie życie zakonne będzie polegało?

Np. na wspólnym odmawianiu liturgii godzin. Jako augustianie odmawiamy rano jutrznię, modlitwę w ciągu dnia i wieczorem nieszpory. Wspólnie też jemy posiłki, bo w naszym zakonie obok wspólnoty liturgicznej ważna jest też wspólnota stołu.

To znaczy, że Leon XIV zrezygnuje z jedzenia obiadu w towarzystwie gości?

Wcale nie musi. Nasz zakonny refektarz jest zawsze otwarty na gości. Kronikarz św. Augustyna – Posydiusz – zanotował, że często Augustyn pościł – chyba że byli goście, a byli prawie zawsze.

Czy pomysł wspólnego zamieszkania pojawił się na spotkaniu z braćmi augustianami zaraz po konklawe?

Domyślam się, że tak. Jakiś czas po wyborze papieża generał zakonu o. Alejandro Moral powiedział mi o tym pomyśle. To ciekawe, bo my augustianie już mamy w Watykanie wspólnotę zakonną. Od kilkuset lat nasz zakon opiekuje się zakrystią Domu Papieskiego, tzn. augustianie przygotowują papieża do liturgii. Nie wiem jeszcze, czy to bracia właśnie z tej grupy zamieszkają razem z papieżem, czy będą to inni augustianie. Natomiast wiem, że Robert Prevost potrzebuje domowego otoczenia – np. wieczory lubi spędzać we wspólnocie zakonnej. Papież Franciszek potrzebował być blisko ludzi, dlatego zrezygnował z mieszkania w Pałacu Apostolskim i przeniósł się do Domu św. Marty. Papież Leon potrzebuje natomiast wspólnoty zakonnej.

A może chodzi o bezpieczeństwo? Kamerdyner papieża Benedykta XVI wykradał poufne dokumenty, które przekazał dziennikarzom. Czy tego typu obawy mogły mieć wpływ na decyzję Leona XIV?

Tego nie wiem. Trudno jednak się dziwić, że papież chce przy sobie mieć osoby – nazwijmy to – głębokiego zaufania. Benedykt XVI był wybitnym intelektualistą i teologiem, ale chyba słabo znał się na ludziach i administrowanie nie bardzo mu wychodziło. To kwestia osobistego charyzmatu. Co do charyzmatu papieża Prevosta mogę potwierdzić, że jest to dobry administrator. ©℗

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI *jest augustianinem, byłym prowincjałem polskich augustianów. Obecnie prowadzi w Warszawie duszpasterstwo osób anglojęzycznych.*

Czy Izrael zapłaci za Netanjahu

STREFA GAZY ▪ Wydawałoby się, że brutalność odwetu Izraela na Hamasie osiągnęła już swoje apogeum. Fala protestów, jaka przetoczyła się przez państwa zachodnie w związku z głodzeniem Palestyńczyków z Gazy, zmusiła przecież kolejne rządy, by zaczęły wywierać silniejszy nacisk na Tel Awiw. Jednak władze Izraela niewiele się tym przejmują i właśnie zaakceptowały plan ataku na główne miasto Strefy, co oznacza mobilizację kolejnych 60 tys. rezerwistów. W sumie na terenie milionowego miasta Gaza, zrujnowanego nalotami, ma się znaleźć 130 tys. żołnierzy.

Co to oznacza dla stłoczonych tam cywilów? Rząd Beniamina Netanjahu zapewnia, że nie przepędzi ich tak po prostu, ale umieści w specjalnych ośrodkach – pod strażą. Równocześnie toczą się rozmowy z kilkoma państwami, do których ostatecznie mieliby trafić uchodźcy z terenów walk. To Libia, Somalia, Sudan Południowy i Uganda, czyli państwa nie tylko mało demokratyczne, ale też niestabilne.

Trudno sobie wyobrazić, by chcieli tam zamieszkać Palestyńczycy, lecz Izrael niespecjalnie przejmuje się oskarżeniami o czystki etniczne – i dotyczy to nie tylko władz, ale też społeczeństwa, które w coraz większej liczbie wychodzi protestować przeciwko rządom Netanjahu. Z haseł, jakie można wyczytać czy usłyszeć, wynika bowiem, iż głównym problemem jest lekceważenie władz kraju dla losu kilkudziesięciu pozostałych przy życiu izraelskich zakładników. Troska o życie palestyńskich kobiet i dzieci pojawia się na tych protestach marginalnie.

Strategia ta może się okazać zwodnicza. Już dziś Izrael, który jeszcze niedawno posiadał wielu zdeklarowanych sojuszników, a po zamachach z 7 października 2023 r. spotkał się z potężnym wsparciem całego cywilizowanego świata, „wisi" wyłącznie na USA. Tymczasem doświadczenie państw europejskich z Donaldem Trumpem pokazuje, że przebudzenie z takiego snu może być brutalne, a gwarancje bezpieczeństwa nigdy nie są wieczne.

Według ostatniego badania Instytutu Gallupa już tylko 32 proc. Amerykanów popiera Izrael. Jeśli dalsze przemiany w Stanach doprowadzą w końcu do elekcji prezydenta, który odejdzie od oczywistego dziś sojuszu, Izrael będzie miał egzystencjalny problem. Malutkie państwo przyciśnięte do morza, bez głębi strategicznej, skonfliktowane z Iranem, Turcją i państwami arabskimi, może zapłacić ogromny rachunek za swego premiera, który robi dziś wszystko, byle tylko nie stanąć przed sądem za korupcję. ©℗ **MAREK KĘSKRAWIEC**

Co mówią zęby? W Afarze robi się tłoczno



AMY RECTOR / MATERIAŁY PRASOWE ARISONA STATE UNIVERSITY

Lucas Deleze, współautor odkrycia, porównuje jeden ze znalezionych zębów z fragmentem szczęki australopiteka znalezionym na innym stanowisku w Etiopii.

EWOLUCJA CZŁOWIEKA ■ Opisana przed dekadą przez Briana Villmoare'a i współpracowników żuchwa z kilkoma zębami (znana pod niezbyt ekscytującą nazwą katalogową LD 350-1), znaleziona na etiopskim stanowisku Ledi-Geraru w regionie Afar, pozostaje najstarszą skamieniałością zaliczaną do rodzaju ludzkiego – jej wiek określa się na ok. 2,8 mln lat. Niewiele możemy powiedzieć o istocie, po której ta żuchwa pozostała (dlatego autorzy odkrycia nie sprecyzowali jej przynależności gatunkowej), poza tym, że jej mniej masywne kości i drobniejsze zęby bardziej przypominały kości i zęby ludzi niż zęby australopiteków. Istnienie żuchwy z Ledi-Geraru sprawia, że każda kosteczka hominidów pochodząca z tego okresu – a także z tego regionu – wywołuje w paleoantropologii poruszenie. Polujemy w końcu na ślady domniemanej populacji, z której wzięli się ludzie.

Nic więc dziwnego, że echo wśród badaczy ewolucji człowieka wywołała najnowsza publikacja zespołu Briana Villmoare'a, który zaprezentował w „Nature" kolejne skamieniałości z Ledi-Geraru, datowane na ok. 2,6-2,8 mln lat. Tym razem paleoantropolodzy opisali kilkanaście zębów hominidów – w tym zestawie są okazy wyglądające na ludzkie oraz takie, które trzeba przypisać australopitekom, ale, co ciekawe, różnią się one morfologią od innych znanych zębów australopiteków. A więc reprezentują nieopisaną jeszcze populację lub gatunek.

To oznacza, że w okresie 2,5-3 mln lat temu, czyli w czasie, gdy doszło do domniemanego wyłaniania się linii ewolucyjnej człowieka, w regionie Afar było całkiem tłoczno. Żyły tam już istoty, które przynajmniej na podstawie anatomii zębów przypominały ludzi (pozostała po nich żuchwa LD 350-1 oraz kilka nowych znalezionych zębów), a także opisany pod koniec XX w. gatunek *Australopithecus garhi* (reprezentowany przez fragment czaszki sprzed 2,5 mln lat) – oraz kolejna, niesprecyzowana linia australopiteków, reprezentowana przez nowo odkryte zęby. Pamiętać też trzeba, że najsłynniejszą mieszkanką regionu Afar była żyjąca ok. 3,2 mln lat temu Lucy, której gatunek określa się jako *Australopithecus afarensis*, jednak jego ślady znikają ok. 2,95 mln lat temu – ta populacja mogła dać początek tym wszystkim młodszym liniom ewolucyjnym. Przynajmniej w Afarze nie znaleźliśmy śladów „masywnych australopiteków", czyli parantropów, które ok. 2,7 mln lat temu zaczęły przemierzać region Wielkich Jezior Afrykańskich. No, przynajmniej jak dotąd tych śladów nie znaleźliśmy.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

NOWE IDZIE PO NAS

Ameryka nie chce być już gwarantem naszego bezpieczeństwa. Musimy to przyjąć do wiadomości nie po to, by zrywać więzi atlantyckie, ale po to, aby nie zostać zupełnie sami.

OLAF OSICA



Miłośnicy historii wojskowości i wojen znają pojęcie „mgły wojny", którego autorem jest pruski generał Karl von Clausewitz. Oznacza ono sytuację, w której nie wiemy, jakie przeciwnik ma zasoby, jak je rozmieścił i co zamierza z nimi zrobić. Dziś wprawdzie postęp technologiczny umożliwia oglądanie wrogich zastępów w czasie rzeczywistym, co pozwala lepiej się bronić lub minimalizować straty. Nadal jednak nie wiemy, jaki kształt świata wyłoni się z mgły, która spowija wojnę wywołaną przez Putina.

Każda wojna, także ta w Ukrainie, ma bowiem potencjał do zmiany reguł, które rządzą światową polityką: tworzenia nowych i obumierania starych sojuszy, a tym samym tworzenia nowego porządku bezpieczeństwa.

Prezydent Wilson byłby dumny

Po zakończeniu I wojny światowej politykę europejską zdominowało szukanie równowagi i bezpieczeństwa. Obietnica nowego ładu pod egidą Ameryki okazała się złudna. Prezydent Woodrow Wilson najpierw wystąpił w roli akuszera nowego porządku, proponując 14 punktów, w tym powstanie Ligi Narodów i niepodległej Polski, ale następnie amerykański Senat odmówił ratyfikacji traktatu ustanawiającego Ligę. Wyniszczona Europa znalazła się w stanie permanentnego lęku przed kolejną wojną, a demokracje jedną po drugiej ustępowały pod naporem komunizmu i faszyzmu.

Ze zgliszcz II wojny powstały dwie Europy: jedna pod amerykańskim parasolem, druga pod rosyjskim butem. W tej pierwszej odrodziły się demokracja i wolność, a dobrobyt powojennych pokoleń do dzisiaj jest czymś wyjątkowym w dziejach kontynentu. Powstało NATO i EWG, a sojusz Europy i USA po raz pierwszy nabrał charakteru instytucji, a nie doraźnej koalicji.

W drugiej Europie wszystko było na odwrót – brak demokracji, wolności i bieda. A sojusz wojskowy został tu narzucony, a nie wyproszony. ZSRR interweniował bez pytania o zgodę, o czym przekonali się Węgrzy, Czesi i Słowacy, a Polska była blisko tej krwawej lekcji dwukrotnie (w 1956 i w 1980 r.).

Trzecia odsłona porządku bezpieczeństwa w Europie wydaje się niemalże doskonałym dziełem politycznych planistów. Niespodziewany upadek muru berlińskiego, a następnie amerykańska zgoda i wsparcie dla zjednoczenia Niemiec otworzyły drogę do późniejszych rozszerzeń NATO i Unii Europejskiej oraz budowy ładu liberalnego w Europie. Woodrow Wilson byłby dumny.

Nie był to ład doskonały, często maskował przewagi silniejszych pod osłoną wspólnych instytucji i reguł, ale okazał się dość skuteczny w zapewnianiu stabilności tam, gdzie nad budynkami rządowymi powiewają flagi UE i NATO.

Doktryna Putina

Dziś jednak, za sprawą polityki rosyjskiej, a także (choć z innych powodów) amerykańskiej, oparty na ideach liberalnych ład bezpieczeństwa w Europie jest pod ostrzałem. To, że agresja Rosji na Ukrainę zmienia, a zapewne zmieni jeszcze bardziej kształt bezpieczeństwa Europy, jest już pewne. Nie wiemy jednak, czy z tej zmiany wyłonią się kontury nowego porządku, czy górę wezmą podziały i rozpad.

Na ten drugi scenariusz gra Rosja. Putin konsekwentnie i skutecznie kupuje czas, aby złamać ukraińską obronę oraz wyczerpać materiałowe i polityczne zasoby USA i Europy. Jego kolejnym celem jest narzucenie swoich warunków „pokoju", czyli zainstalowanie w Kijowie przychylnego sobie rządu, który wejdzie na białoruską ścieżkę współpracy. Następnym krokiem ma być powrót do biznesowej i politycznej kooperacji z USA i wybranymi państwami Europy, najchętniej na gruzach NATO i Unii.

Wojna (zarówno ta realna, w Ukrainie, jak informacyjna w internecie), „konserwatywne idee ruskiego świata", podrzucanie na wschodnią granicę uchodźców czy działania dywersyjne na terenie Europy – to wszystko ma służyć cofnięciu historii. Odzyskaniu przez Rosję tego, co „niesłusznie zostało zabrane" w wyniku „największej geopolitycznej katastrofy stulecia". Dla Putina był nią rozpad ZSRR.

Europa miałaby wtedy wrócić do wyraźnie określonych stref wpływów gospodarczych i politycznych, usankcjonowanych nowymi traktatami i instytucjami. To stały motyw polityki rosyjskiej od wczesnych lat 90., która po szoku spowodowanym zgodą Gorbaczowa na zjednoczenie Niemiec, próbowała nieskutecznie zatrzymać erozję swojego znaczenia najpierw w Europie Środkowej, a potem na obszarze byłego ZSRR. Włączenie Rosji do nowego porządku – na co liczyli architekci polityki za czasów Billa Clintona, Helmuta Kohla czy Jacquesa Chiraca – okazało się niemożliwe ze względu na całkowitą nieprzystawalność idei Rosji – jako państwa i społeczeństwa – do świata Zachodu. Rosja nie tylko nie umiała grać w nową grę. Ona jej po prostu nie rozumiała.

Nie ma zatem dla Rosji znaczenia, że Ukraina jest zbyt duża, aby ją sobie podporządkować, a krwawe koszty dla społeczeństwa rosyjskiego są ogromne. Dla Putina wojna w Ukrainie nie jest tylko narzędziem podboju politycznego, ale i celem samym w sobie, z którego nie może już zrezygnować bez konsekwencji dla „cesarstwa". Zatrzyma się tylko wtedy, gdy osiągnie cele, wykrwawi się lub zostanie „zdjęty z tronu". To nie wyklucza taktycznych przerw, dla zyskania oddechu, ale nie zmieni agresywnego charakteru polityki Rosji.

Putin, jak kiedyś Stalin, ma zatem nie tylko wizję pożądanego porządku Europy, ale i konsekwentnie wdrażaną strategię. I bardzo liczy, jeśli nie na wsparcie, to przynajmniej na neutralność Ameryki.

Znów w latach trzydziestych

Dla Trumpa i jego administracji cała historia lat pozimnowojennych, rozszerzania Unii i NATO, porozumień handlowych i rozbrojeniowych, jest balastem, którego obsługa zabiera czas, marnuje środki i spowalnia rewolucję, która ma uczynić Amerykę znowu wielką. Choć analogie historyczne są zawsze ryzykowne i należy zachować do nich dystans, to dzisiejsza Ameryka Trumpa przypomina Amerykę lat 30., a wyzwania, przed którymi stanął, są podobne do tych, z którymi mierzył się Franklin D. Roosevelt. ↦

Ćwiczenia wojsk NATO. Pabradė, Litwa, 29 maja 2024 r.

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

↦ „W sytuacji, gdy system bankowy chwiał się w posadach, co czwarty robotnik nie mógł znaleźć pracy, a wiara Stanów Zjednoczonych we własne możliwości została poddana bolesnej próbie, odnowa państwa stała się absolutnym priorytetem" – pisze John L. Gaddis w swej ostatniej książce, zatytułowanej „Geniusze strategii". Z takiej perspektywy dziedzictwo zbudowanego przez Amerykę ładu liberalnego w Europie może wydawać się Trumpowi tym samym, czym dla Roosevelta było dziedzictwo Wilsona. Składał się na nie według Gaddisa „amerykański parasol niemożliwych do utrzymania gwarancji, rozpostarty nad osłabionymi demokracjami europejskimi, które w najbliższej przyszłości będą zdane wyłącznie na siebie".

Historia zemściła się i zakpiła z Roosevelta. Zemściła, bo jego dystans wobec rosnącej potęgi hitlerowskich Niemiec i japońskiego rewizjonizmu wymusiły na nim przystąpienie do wojny, ze wszystkimi jej tragicznymi konsekwencjami. Zakpiła, bo musiał najpierw wejść w buty Wilsona jako promotor Karty Narodów Zjednoczonych, która utorowała drogę do powstania ONZ, a następnie w Jałcie dokonać podziału świata na strefy wpływów, które miały przynieść stabilność, lecz przyniosły zimną wojnę i stałą obecność wojskową USA w Europie.

Jaką drogą idzie Trump?

To nie jest wojna Ameryki

Z kakofonii komunikatów, wykluczających się nawzajem stwierdzeń i zaskakujących wolt, których świadkami jesteśmy od wielu miesięcy, a ostatnio na Alasce i w Waszyngtonie, wyłaniają się zręby pewnej strategii. Trump używa wojny w Ukrainie do zdefiniowania na nowo polityki amerykańskiej wobec Europy. Na ile jest ona świadoma, a na ile jest wypadkową wydarzeń – trudno oceniać.

Po pierwsze, to nie jest (już) wojna Ameryki. Trump zajmuje się nią, bo odziedziczył ją w spadku po prezydencie Joe Bidenie. Niechętnie bierze na siebie rolę mediatora, a na pewno nie chce być odpowiedzialny za końcowy wynik. Ucieka więc od twardych decyzji, przesuwa terminy, żongluje pomysłami, w nadziei, że sprawy rozwiążą się same bez potrzeby angażowania i narażania na ryzyko amerykańskiej potęgi. Rosja chce aneksji okupowanych terytoriów? Rozmawiajmy więc o terytoriach. Ukraina chce gwarancji? Rozmawiajmy więc o gwarancjach. Europejczycy chcą się włączyć. Zapraszam więc do Waszyngtonu.

Amerykański prezydent chciałby oczywiście (który polityk by nie chciał), aby Putin i Zełenski uścisnęli sobie ręce na trawniku przed rezydencją w Camp David, jak prezydent Anwar as-Sadat i premier Menachem Begin w 1978 r. w obecności prezydenta Jimmy'ego Cartera, zawierając traktat pokojowy między Egiptem a Izraelem. Nikt takiego finału jednak nie zagwarantuje (a poza tym pokojowego Nobla dostali wówczas obaj adwersarze, a nie prezydent USA).

Po drugie, Ameryka nie wyśle swoich wojsk i nie będzie już płacić ukraińskich rachunków. Nie zaoferuje też Kijowowi żadnych realnych gwarancji bezpieczeństwa, czyli takich, które wynikają z traktatu waszyngtońskiego albo dwustronnych traktatów obronnych z Japonią i Koreą Południową. Ameryka natomiast chętnie sprzeda uzbrojenie, za które zapłacą europejscy podatnicy, albo zaangażuje się we wspólną eksploatację ukraińskich zasobów metali ziem rzadkich. Na wiele więcej nie ma co liczyć.

Mesjasz się izoluje

To nie jest zatem wojna, która ma zwiększyć zaangażowanie Ameryki w bezpieczeństwo Europy. To jest wojna, która – z perspektywy Trumpa i zapewne nie tylko jego – zatrzymała proces wychodzenia Ameryki z europejskiego teatru działań. Gdyby nie rosyjska aneksja Krymu w 2014 r. i wojna w Donbasie, a następnie pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę, nie byłoby powodu, aby Waszyngton dalej ponosił koszty obecności na kontynencie. Tak jak nie byłoby decyzji NATO o podnoszeniu wydatków zbrojeniowych do poziomu 5 procent PKB. Trudno też myśleć o decyzji Finlandii i Szwecji o przystąpieniu do NATO, gdyby nie rosyjski atak na Kijów i masakra w Buczy.

Putin reanimował sojusz, który pogrążał się w politycznej inercji i wojskowej niewydolności, a zdaniem prezydenta Macrona był nawet w fazie „śmierci mózgowej".

Ameryka wróciła do NATO i weszła do wojny z obawy przed konsekwencjami pozostania na jej marginesie. Historycy zapewne ustalą kiedyś, na ile ten powrót był wynikiem presji amerykańskich strategów wojskowych, którzy widzą więcej i dalej niż Trump, a na ile dowodem politycznej dojrzałości przywództwa politycznego.

Dzisiaj celem Trumpa jest niedopuszczenie do sytuacji, w której wojna w Ukrainie wymusi na Ameryce zwiększenie zaangażowania wojskowego i uczyni ją ponownie w dziejach stosunków transatlantyckich odpowiedzialną za kwestię wojny i pokoju w całej Europie. A tego wciąż chcieliby Europejczycy, w tym oczywiście Polska.

Ostatnim elementem strategii Trumpa jest przekonanie, że nie jest zadaniem Ameryki ochranianie czy budowa nawet niedoskonałego ładu międzynarodowego, opartego na instytucjach czy prawie międzynarodowym. Miłośnicy realnej szkoły polityki międzynarodowej okrzyknęliby go zapewne prominentnym reprezentantem realistów, obok Xi, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin, czy Putina. Bo interes narodowy, siła militarna, suwerenność i żadnych kompromisów ze słabszymi – to są składowe instynktu politycznego Trumpa. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona.

Trump jest izolacjonistą, co nie przeszkadza mu wierzyć w prymat i cywilizacyjną misję Ameryki. Tyle, że jego ambicją nie jest szerzenie idei liberalnych, ale tych, które legły u podstaw ruchu MAGA.

Kto depcze demokrację

W maju tego roku uwagę kręgów eksperckich zajmujących się śledzeniem stosunków atlantyckich zwrócił esej Samuela Samsona, zatytułowany „Potrzeba cywilizacyjnych sojuszników w Europie". Autor jest niskim rangą urzędnikiem Departamentu Stanu (starszy doradca w Biurze ds. Demokracji, Praw Człowieka i Pracy) i reprezentantem nowej elity urzędników, którą wypromował Trumpowski „marsz przez instytucje" – ale jego tekst został opublikowany przez oficjalny profil Departamentu Stanu na platformie Substack. Oddaje

zatem i zarazem komunikuje myślenie nowej dyplomacji amerykańskiej o Europie.

W tekście nie tylko pobrzmiewają, ale rozwijane są tezy wygłoszone przez J.D. Vance'a na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa w lutym 2025 r. Amerykański wiceprezydent bez pardonu krytykował tam europejskie rządy za kneblowanie wolności słowa i ograniczanie demokracji pod pretekstem walki z dezinformacją.

„Zagrożeniem, o które martwię się najbardziej w przypadku Europy, nie jest Rosja. Nie są nim Chiny. Nie jest nim żaden inny zewnętrzny aktor. Obawiam się zagrożenia płynącego z wewnątrz – wycofywania się Europy z jej najbardziej fundamentalnych wartości, wartości, które dzieli ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki" – przekonywał Vance.

Samson tak konkluduje: „W całej Europie rządy wykorzystały instytucje polityczne jako broń przeciwko własnym obywatelom i przeciwko naszemu wspólnemu dziedzictwu. Zamiast wzmacniać zasady demokratyczne, Europa stała się siedliskiem cyfrowej cenzury, masowej migracji, ograniczeń wolności religijnej oraz wielu innych ataków na demokratyczne samostanowienie (...) Amerykanie znają te taktyki. Podobna strategia cenzury, demonizacji i biurokratycznego wykorzystania instytucji została zastosowana wobec prezydenta Trumpa i jego zwolenników. Pokazuje to, że globalny projekt liberalny nie sprzyja rozkwitowi demokracji. Przeciwnie – depcze demokrację, a wraz z nią dziedzictwo Zachodu, w imię dekadenckiej klasy rządzącej, która boi się własnego narodu".

Jeśli brać na poważnie powyższe zarzuty, to administracja republikańska już nie tylko konsekwentnie popycha nas w stronę przejęcia odpowiedzialności za obronę Europy, ale i kwestionuje zagrożenie ze strony Rosji (co zresztą ujawnia jedną z wielu niekonsekwencji jej polityki).

Czy Europa da się porwać

Perspektywa Europy słabej, której przynależność do świata Zachodu jest kwestionowana przez Trumpa i jego ideowe zaplecze, rodzi wiele pytań i dylematów.

Załóżmy, że Europejczycy spełniają oczekiwania amerykańskiej administracji. Większość członków NATO zwiększy wydatki na zbrojenia do poziomu 5 procent PKB (choć już osiągnięcie 3-4 proc. byłoby ogromnym postępem, gdyby wydać je w sposób przemyślany). Załóżmy też, że Europa bierze na siebie ciężar dozbrajania Ukrainy, kupując sprzęt w Ameryce, ale też rozwijając własny przemysł. I że decyduje się na wysłanie misji, czyli bierze na siebie polityczną i wojskową odpowiedzialność za bezpieczeństwo Ukrainy. Oraz że w przyszłości – wobec braku amerykańskiej zgody na rozszerzenie NATO – Ukraina staje się częścią europejskiego sojuszu opartego na UE.

Załóżmy, że Europejczycy spełnią oczekiwania amerykańskiej administracji i znacząco zwiększą wydatki na zbrojenia. Czy dominacja USA w NATO miałaby jeszcze jakiekolwiek uzasadnienie?

Jaka byłaby wtedy rola i pozycja USA w Europie? Czy dominacja amerykańska w NATO miałaby jakiekolwiek uzasadnienie? Czy Europa byłaby mniej czy bardziej asertywna w polityce handlowej i każdej innej dziedzinie współpracy ze Stanami?

Drugi dylemat dotyczy idei politycznych, które miałyby sprawić, że Europa osiąga dojrzałość strategiczną. Czy może się to dokonać na gruzach projektu liberalnego i w oparciu o pomysły ruchów sympatyzujących z MAGA, jak niemiecka AfD, węgierski Fidesz czy brytyjski UKIP? Czy gdyby ład liberalny miał się okazać trwale niezdolny do obrony swojej pozycji i tym samym przeszedł do historii – czego jedni się obawiają, a drudzy trzymają za to kciuki – to NATO i UE stałyby się sprawniejszymi i silniejszymi partnerami Ameryki?

Czy może w szybkim tempie obie instytucje rozpadłyby się, a w ich miejsce Europę spowiłby system dwu- i trójstronnych sojuszy, przypominający przełom XIX i XX wieku?

Polskie pytania

To dylematy i pytania, z którymi Europa, a zatem i Polska, musi się zacząć mierzyć. Zarówno na poziomie bieżącej polityki, której rytm i wydarzenia wyznaczają kierunek marszu, jak i na poziomie strategii politycznej.

Dziś za wcześnie przesądzać, w którą stronę pójdzie polityka europejska i amerykańska. I jakie będzie to mieć konsekwencje dla układu sił na kontynencie, a zatem całego systemu bezpieczeństwa, którego oparciem jest NATO i UE.

Jeśli jednak z mgły wojny w Ukrainie wyłoni się nowy porządek bezpieczeństwa w Europie, a wraz z nim nowe zasady gry, to Polska może dużo stracić. Dlatego trzeba podjąć ryzyko i usiąść przy stole z tymi, których decyzje przeniosą nas do innej epoki politycznej. Nie mamy nic do stracenia i wszystko do zyskania.

© OLAF OSICA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Zastępczyni red. naczelnego: EWELINA BURDA
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

REGRES, JAKIEGO NIE BYŁO

Ani polskiego prezydenta, ani premiera nie ma przy stole, przy którym decyduje się, czy – a jeśli tak, to za jaką cenę dokonany zostanie rozbiór sąsiadującego z nami państwa. Dlaczego znaleźliśmy się za burtą? Jakie konsekwencje poniesiemy?

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ



Jeszcze niecałe dwa tygodnie temu wydawało się, że wojna w Ukrainie znalazła się w przełomowym momencie. Tuż po spotkaniu na Alasce Donalda Trumpa i Władimira Putina, Wołodymyr Zełenski poleciał w asyście europejskich przywódców do Waszyngtonu. Zaczęto już nawet spekulować o mieście, w którym mieliby spotkać się przywódcy Ukrainy i Rosji. Wymieniano Wiedeń, Moskwę, Genewę i Budapeszt. W końcu okazało się, że Rosja nie ma żadnej sensownej oferty. Chce całego Donbasu i neutralności Ukrainy, a także nie godzi się na żadne gwarancje jej bezpieczeństwa, np. obecność zachodnich wojsk nad Dnieprem.

W odwecie Donald Trump dopuścił „ataki prewencyjne" Ukrainy przeciwko Rosji; najpewniej takie jak operacja „Pajęczyna" (przeciwko rosyjskiemu lotnictwu strategicznemu) czy zajęcie części obwodu kurskiego. „Bardzo trudno, jeśli nie niemożliwe, jest wygrać wojnę bez ataku na terytorium najeźdźcy. To tak, jakby świetna drużyna sportowa miała fantastyczną obronę, ale nie mogła grać w ataku. Nie ma szans na zwycięstwo! Tak samo jest z Ukrainą i Rosją" – napisał Trump w serwisie społecznościowym, po czym zaatakował swojego poprzednika Joego Bidena za to, że pozwolił Ukrainie tylko się bronić, a nie oddawać ciosy.

Polska w dystansie

W Ukrainie dawno nie było tak nieprzewidywalnie i niestabilnie. Wojna weszła albo w fazę tuż przed jej zamrożeniem, albo wręcz przeciwnie – przed nową eskalacją. Polska nie ma jednak klarownego stanowiska w tej sprawie. – Nie wiemy, dlaczego nie ma nas w tych rozmowach. Jeśli robimy to celowo i z wyrachowania, to jakie kalkulacje za tym stoją? – pyta polski dyplomata zaangażowany w sprawy wschodnie.

Jedna z wersji, o której mówią w rozmowie z „Tygodnikiem" źródła zarówno w polskim rządzie, jak i w Pałacu Prezydenckim, zakłada, że Polska nie chciała wejść w samo centrum sporu pomiędzy USA i Europą o przyszłość Ukrainy na najbardziej kontrowersyjnym etapie dyskusji. – To jest początek procesu i nie wiadomo, co z niego wyniknie. Może rozejm, a może wielka kłótnia. Tak samo jak nie mieszaliśmy się w debatę o skali obecności wojsk USA w Europie oraz samodzielności Unii w dziedzinie bezpieczeństwa, tak samo staramy się zachować dystans w sprawach niejasnego wciąż pomysłu na Ukrainę. Nie chcemy być między młotem a kowadłem – przekonuje nas członek polskiego rządu, prosząc o anonimowość.



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Premier Donald Tusk przed spotkaniem z prezydentem Karolem Nawrockim w Pałacu Prezydenckim. Warszawa, 14 sierpnia 2025 r.

Z podobnymi opiniami można było się spotkać także w latach 2014-2015, gdy Rosja we współpracy z Francją i Niemcami narzucała Ukrainie porozumienia Mińsk 1 i Mińsk 2. Wówczas nasze źródła w Służbie Wywiadu Wojskowego informowały, że ich rekomendacją dla rządu było trzymanie się od tych umów z daleka. Miały nie zbliżać regionu do pokoju; raczej pozbawiały Ukrainę suwerenności.

Proces miński z udziałem Paryża, Berlina i Moskwy (z Aleksandrem Łukaszenką jako mediatorem) był rzeczywiście brudny. Z perspektywy czasu można wręcz uznać, że stanowił wstęp do inwazji rozpoczętej w lutym 2022 roku. Umowy mińskie miały być dla Putina jedynie źródłem „dowodu", że Kijów łamie ustalenia i zasługuje na karę. Zresztą, tuż przed inwazją Rosji – jak relacjonował w rozmowie ze mną bliski współpracownik prezydenta Andrzeja Dudy – Emmanuel Macron i Olaf Scholz domagali się natychmiastowego wypełnienia przez Zełenskiego porozumień mińskich, co w praktyce oznaczało oddanie Donbasu bez jednego wystrzału.

Kalkulacje przyjęte na podstawie rekomendacji wywiadu wojskowego były właściwe w okresie drugiego rządu Donalda Tuska. Trzymał się ich również rząd PiS i prezydent Duda. Istniała ciągłość państwa i pewien pomysł na jednorodną politykę wobec Ukrainy.

Dobry moment na urlop

Dziś jest inaczej. Nie ma mowy o kalkulacjach i spójnej polityce. Na Alasce i w Waszyngtonie decydują się losy wojny, a polski premier jest niedostępny. Posiedzenie rządu prowadzi za niego szef MON i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. Nocnym lotem z Hiszpanii, przerywając urlop, wraca też na zebranie gabinetu wicepremier Krzysztof Gawkowski. Sam Donald Tusk występuje zdalnie na szczycie Unii Europejskiej z miejsca, które wygląda na kawiarnię. Wszyscy zastanawiają się, czy jest na urlopie.

Blamaż braku Polski przy stole negocjacyjnym rządzący próbują zrzucić na Karola Nawrockiego, któremu również – powiedzmy to uczciwie – słabo wychodzi wykorzystywanie wpływów w ruchu MAGA i mitycznych, doskonałych relacji z Trumpem.

– Nie bardzo też wiadomo, czym zajmuje się kierownik ambasady polskiej w USA Bogdan Klich i czy przypadkiem sam nie przebywa na urlopie. Jak cokolwiek ma się Polsce udać, jeśli szef placówki nie angażuje się ani w pomoc rządowi, ani w organizowanie spotkań prezydentowi Nawrockiemu w USA? – komentuje nasze źródło.

Podczas Majdanu w 2014 r. było podobnie; premier Donald Tusk pojechał na zimowy urlop. Również generał Maciej Hunia, dziś ambasador RP w Izraelu, a wtedy szef Agencji Wywiadu, odpowiedzialnej za dostarczanie najważniejszym osobom w państwie informacji na temat wydarzeń strategicznych – odpoczywał na nartach w Dolomitach. W tym samym czasie na ulicy Instytuckiej w centrum Kijowa ginęli od kul ludzie.

Osobą, która obsługiwała wówczas temat ukraiński, był szef MSZ Radosław Sikorski. Jego rozmowy w Kijowie ze słabnącym Wiktorem Janukowyczem dawały Polsce jako taki wgląd w sprawy. Miały również element prestiżowy. Sikorskiemu udało się ściągnąć na nie Niemców i przez chwilę Francuzów. Nie obyło się oczywiście bez wpadek. Sikorski o tym, że doszło do masakry, dowiedział się od przywódcy Samoobrony Majdanu Andrija Parubija, a nie od polskich służb wywiadowczych.

Zapytaliśmy w kancelarii premiera oraz w MSZ, czy Tusk i Klich byli w ostatnich dniach – czyli podczas spotkania Trumpa z Zełenskim oraz liderami Europy w Waszyngtonie – na urlopach. Zapytaliśmy również, czy łączenie szefa rządu z przywódcami UE odbywało się w warunkach zapewniających dyskrecję i ochronę poufnych informacji. Do zamknięcia tego numeru „Tygodnika" nie uzyskaliśmy odpowiedzi.

Między nami nie ma „chemii"

Ważnym aspektem polskiej nieobecności na spotkaniu koalicji chętnych i na ostatnich rozmowach Zełenskiego ↦

↦ z Trumpem w Waszyngtonie jest brak zaufania pomiędzy Polską i Ukrainą. Nie dotyczy on tylko nowego prezydenta Karola Nawrockiego, którego brak przy stole negocjacyjnym jest oczywisty, skoro w czasie kampanii publicznie zapewniał, że nie ratyfikuje przystąpienia Ukrainy do NATO (mimo że to scenariusz rodem z „Gwiezdnych Wojen"). Jak przekonuje mnie osoba z kierownictwa ukraińskiego MSZ, chemii brakuje również między Tuskiem a Zełenskim.

– Przed spotkaniem Friedricha Merza, Keira Starmera, Emmanuela Macrona i Donalda Tuska z Wołodymyrem Zełenskim w Kijowie w maju tego roku polski premier marudził. Chciał, by maraton dyplomatyczny z udziałem szefów MSZ państw Unii trwał jeden dzień, a nie dwa. Uznaliśmy, że to trochę niepoważne, zwłaszcza że chcieliśmy „przykryć" paradę 9 maja w Moskwie – mówi nasz rozmówca. – Polska nie deklaruje wysłania swoich wojsk na Ukrainę, w ostatnim czasie mocno schłodziła też swoją pomoc dla nas. Dlaczego więc mielibyście ustawiać agendę takich spotkań?

Inny ukraiński dyplomata dodaje, że Tusk miał uzasadniać konieczność skrócenia szczytu w Kijowie swoimi problemami zdrowotnymi. Rezultat był taki, że Ukraińcy postanowili go „przeczołgać" i wysadzili z pociągu, w którym w salonce zdjęcia robili sobie Starmer, Merz i Macron. Mimo że pociąg ruszał z polskiego Przemyśla, Tusk pojechał osobnym składem. Sam. Po powrocie do Warszawy miał zdenerwowany ustalać, kto odpowiada za ten despekt i żądać głów.

Jednak ambasador Ukrainy w Polsce twierdzi, że nie było mowy o żadnej pociągowej ustawce. Polska strona – zarówno w MSZ, jak i w naszej ambasadzie – miała być poinformowana zawczasu o zasadach organizacji wizyty. – Poza tym premier Tusk wracał z Kijowa razem z Merzem. Nie ma żadnej afery. Nikt nie miał złej woli – przekonuje Wasyl Bodnar.

Jeśli polscy dyplomaci wszystko wiedzieli – jak przekonuje ukraiński ambasador – to jest jeszcze gorzej, bo pozwolili na upokorzenie szefa naszego rządu. Jak przekonuje anonimowo były minister w kancelarii Andrzeja Dudy, należało w tej sytuacji „zrobić awarię na kolei" i przesadzić wszystkich „na koła", czyli do samochodów, a następnie dowieźć do Kijowa każdego osobno.

Stosunki z Zełenskim – facetem o wyjątkowo trudnym charakterze – to nie są relacje personalne Tuska czy Nawrockiego. **To kwestia polskiego bezpieczeństwa.**

Nie pierwszy taki despekt

Wcześniej do podobnego incydentu doszło jesienią 2024 r. podczas kongresu Yalta Economic Strategy (YES) w Kijowie, organizowanego przez zięcia byłego prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy, Wiktora Pinczuka, oraz Aleksandra Kwaśniewskiego. Jak ujawnił w Onecie Witold Jurasz, Zełenski na zamkniętym spotkaniu z ministrem Radosławem Sikorskim miał po chamsku na niego pokrzykiwać. Było to pokłosie braku polskiej zgody na liberalizację rynku UE dla towarów – głównie rolnych – z Ukrainy.

Chichotem historii jest fakt, że dziś w Radzie Najwyższej leży projekt ustawy przygotowany pod auspicjami Zełenskiego, który zakłada cła na wywóz rzepaku z Ukrainy. Gdy wcześniej to Polacy wprowadzili ograniczenia na napływ rzepaku, Zełenski twierdził, że Warszawa gra w drużynie Putina, zamykając rynek dla walczącego z agresją kraju. Dziś on sam za chwilę ograniczy wywóz. Zmieniły się jego kalkulacje.

Nie zawsze tak było. Przed rosyjską inwazją w 2022 r. prezydentowi Dudzie udało się doprowadzić do spotkania w Wiśle i nawiązać ścisłe relacje z Zełenskim. Dzień przed wojną Duda był w Kijowie, a potem Polska stała się nie tylko dostarczycielem broni, ale też ważnym uczestnikiem rozmów o gwarancjach dla Ukrainy. Obok USA, Wielkiej Brytanii, Turcji czy Niemiec. Szef KPRM Michał Dworczyk polskimi *black hawkami* woził szefa MON Ukrainy Ołeksija Reznikowa na rozmowy z Rosjanami na Białoruś. Prezydencki minister Jakub Kumoch towarzyszył rosyjskiemu oligarsze Romanowi Abramowiczowi oraz przedstawicielom Ukrainy, w tym wpływowemu Rustemowi Umierowowi, w drodze na rokowania do Ankary i Stambułu. Nie zawsze byliśmy więc skazani na decyzje wielkich graczy.

Co możemy zrobić, by zatrzymać obecny regres i sprawić, by Polska na powrót znalazła się przy stole rozmów o przyszłości Ukrainy? Według jednego z naszych rozmówców, musimy uporać się z podstawowym błędem, jakim było jednoznaczne opowiedzenie się przez rząd Donalda Tuska (ale i przez Pałac Prezydencki) przeciwko wysłaniu wojsk na Ukrainę. – Nie chodzi o to, żebyśmy deklarowali zaraz wysłanie brygady. Chodzi o niezaprzeczanie, że coś jesteśmy w stanie zrobić. Choćby pomóc przy obsłudze ukraińskich F-16, dać cysterny do ich tankowania oraz obsługę – komentuje nasze źródło w polskiej dyplomacji. – Dziś tracimy na staniu poza koalicją chętnych, choć przecież nikt nie mówi, że finalnie musielibyśmy wysyłać żołnierzy. Możliwe, że w ogóle nie dojdzie do powołania kontyngentu z europejskich państw.

Ważnym krokiem na drodze do powrotu do stołu rozmów musi być też unormowanie relacji z Zełenskim. Fakt, jest wyjątkowo trudnym partnerem; wybucha, obraża się, ma pretensje o wszystko. Ale przecież nie tylko do polskich polityków. Atakował również Starmera, gdy ten jesienią 2024 r. zbyt wolno dostarczał pociski Storm Shadow. Zełenski wykłócał się, mimo że był tylko klientem.

– Zełenski zachowuje się, jakby miał PTSD. Niemniej relacje z Ukrainą to nie są relacje personalne Dudy, Tuska czy Nawrockiego z facetem o wyjątkowo trudnym charakterze. To kwestia polskiego bezpieczeństwa. Polityka wobec Kijowa to ciągłe łatanie dziur, małe kroki, które prowadzą do celu czasem lepiej niż spektakularne wydarzenia – przekonuje były minister w kancelarii Andrzeja Dudy.

Idzie wielka zmiana

Stawka jest wysoka. Rozmowy o przyszłości Ukrainy to układanie bezpieczeństwa światowego znacznie szerzej rozumianego niż Donbas, Charkowszczyzna, Zaporoże czy Sumy. Trump zdaje się patrzeć na problem szerzej, czego dowodem są jego inicjatywy nie tylko wobec Kijowa, ale też Azerbejdżanu, Armenii czy Białorusi. One zaś będą dotyczyły również Polski; ważna będzie zwłaszcza amerykańska próba przekonania Białorusi do powrotu do handlu ze światem trasą północ–południe, przez Morze Czarne i Ukrainę. Elementem tego procesu są m.in. negocjacje w sprawie uwolnienia więźniów

politycznych. Wiadomo jednak, że w tle są również biznes i bezpieczeństwo, w tym gaz i ropa oraz paliwa rafinowane w białoruskim Mozyrzu. A także surowce rosyjskie, które miałyby przestać trafiać na rynek chiński, a powrócić do Europy.

Najważniejszym elementem tej gry jest oczywiście kwestia gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Będzie nią najpewniej amerykańska inwestycja w armię: coś na kształt militarnego planu Marshalla. Ale czy wielka armia ukraińska zawsze będzie z punktu widzenia Polski korzyścią? Czy w razie przejęcia władzy przez populistę lub kogoś o skrajnie antypolskich poglądach, sąsiad z półmilionową armią to zaleta?

Kijów – oprócz tego, że będzie kupował broń w USA i u partnerów europejskich – będzie też kontynuował rozwój własnych możliwości, m.in. w dziedzinie pocisków balistycznych i manewrujących. Wiadomo, że już dziś zakłady Piwdenmasz w Dnieprze we współpracy z Brytyjczykami są w stanie zbudować pocisk manewrujący o zasięgu do 3 tys. km. Ukraińcy dysponują również własnymi pociskami balistycznymi Grom 1 i Grom 2, a oprócz tego dysponują największą w Europie armią dronów, budowanych w kooperacji z USA, Niemcami czy Czechami. W tym dronów dalekiego zasięgu, które są w stanie razić cele w Moskwie czy położonej w Tatarstanie Ałabudze, gdzie produkowane są drony Gerań, rosyjskie wersje irańskich Szahedów.

Jeśli Trumpowi uda się wprowadzić w życie choć małą część z planowanej przebudowy (zmianę sojuszy w byłym ZSRR i przezbrojenie armii Zełenskiego), wywróci do góry nogami pozycję i bezpieczeństwo Polski. Na wiele pytań będziemy musieli sobie odpowiedzieć na nowo. Nie da się tego zrobić z pozycji potrawy w menu, trzeba być jednym z kucharzy. Polska może oczywiście tkwić w poczuciu, że nic się nie zmieniło od lat 90., gdy wstąpiliśmy do NATO. Może wierzyć w koniec historii i wieczne gwarancje ze strony USA. To jednak droga donikąd. Tego świata już nie ma. Wie o tym poddawana rozbiorowi Ukraina, która stara się ułożyć życie na nowo. Wie Europa Zachodnia. Wiedzą nawet Węgrzy i Czesi. A Polska? © ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”



MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

Obchody 81. rocznicy Powstania Warszawskiego. Godzina W na Wiśle. Warszawa, 1 sierpnia 2025 r.

Klucz do serca Polski

MARCIN KĘDZIERSKI

ROCZNICE | Wybór okresu wakacyjnego na ogólnonarodowe celebracje wydaje się całkiem zrozumiały. Ale czy uwzględnia on w wystarczającym stopniu uczucia i historię ludzi spoza Warszawy?

Sierpień rozpoczęliśmy rocznicą Powstania Warszawskiego, w połowie miesiąca wspominaliśmy Cud nad Wisłą, kończymy go upamiętnieniem Porozumień Sierpniowych – a już dzień później mamy 1 września i kolejną rocznicę wybuchu II wojny światowej. Wszystko to przypada na okres urlopowy, kiedy na dodatek dochodzą duże uroczystości kościelne, związane z sunącymi przez Polskę pielgrzymkami na Jasną Górę.

Z moich obserwacji wynika, że wakacyjny sierpień dużo lepiej nadaje się do publicznego celebrowania narodowego święta niż 3 maja czy 11 listopada. Co prawda długi weekend majówkowy nie byłby zły, ale dla Polaków stał się świętem wiosny i okazją do narodowego grillowania w gronie rodziny i przyjaciół. Jeszcze gorzej wypada tu Święto Niepodległości – niby radosne wspomnienie, ale przypada niedługo po Wszystkich Świętych, w jesiennej plusze skłaniającej do nostalgii, kiedy o piątej po południu jest już ciemno i zimno, a na dodatek jesteśmy w wirze pracy lub nauki. To nie przypadek, że listopad jest chyba ostatnim miesiącem, w którym ktokolwiek chciałby organizować wesele. Już styczniowo-lutowy karnawał, mimo lichej zazwyczaj pogody, wypada lepiej. W efekcie wybór ↦

↦ sierpnia na ogólnonarodowe celebracje wydaje się całkiem zrozumiały.

Powstanie zakładnikiem PRL

Nie chcę twierdzić, że rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego stała się w praktyce (patrząc na skalę obchodów) kluczowym świętem narodowym wyłącznie z powodów „wakacyjno-urlopowych", ale z pewnością czynnik ten odegrał rolę w budowaniu atrakcyjności tej rocznicy. Publiczne śpiewanie „nie-zakazanych" piosenek w listopadzie mogłoby wypaść znacznie mniej okazale.

Jednak wybór akurat tej rocznicy jako *de facto* najważniejszego święta narodowego spotyka się wśród części Polaków, zwłaszcza tych niezwiązanych z Warszawą, z niezrozumieniem, a nawet lekką irytacją. Mój wpis w mediach społecznościowych, w którym wskazywałem na percepcję tej rocznicy w różnych regionach Polski, wzbudził mnóstwo kontrowersji. Postawiłem bowiem hipotezę swoistej „warszawocentryczności" mitu powstania, z którym nie utożsamia się spora liczba Polaków. Nie chodzi tu oczywiście o pamięć o samych ofiarach tej straszliwej zbrodni dokonanej przez Niemców, ale o traktowanie Powstania Warszawskiego jako kluczowego wydarzenia z historii najnowszej naszego kraju, symbolu narodowej tożsamości.

Reakcje na ten komentarz były niezwykle emocjonujące. Część komentujących oburzyła się szarganiem narodowego dziedzictwa, inni wyrażali zrozumienie i wsparcie, wskazując, że również nie czują się „częścią" mitu zbudowanego w ostatnich kilkunastu latach wokół powstania. Trzeba bowiem wyraźnie zaznaczyć, że jeszcze w latach 90. XX wieku, kiedy już pamięć o tym wydarzeniu nie była zakładniczką PRL (choć w czasach komuny też bywało różnie – mamy choćby świadectwa oficjalnego upamiętnienia dziesiątej rocznicy w 1954 r.), obchody miały znacznie spokojniejszy, bardziej lokalny charakter. Nie było koncertów i hucznych akademii, raczej palenie zniczy na warszawskich cmentarzach i warty honorowe przy powstańczych kwaterach. Dopiero na przełomie wieków środowiska intelektualne związane z prawicą rozpoczęły proces budowania narodowego mitu, którego efektami było choćby otwarcie nowoczesnego muzeum w Warszawie (2004), a później dzieła popkultury: kultowa płyta Lao Che (2005), iście hollywoodzka ekranizacja „Miasta 44" czy serial „Czas honoru. Powstanie" (oba z 2014).

Regionalna perspektywa

Należy oddać twórcom mitu Powstania Warszawskiego, że dziś żadne inne wydarzenie historyczne nie ma huczniejszych obchodów. Transmitowanie przez telewizję w *prime time* „Nie-zakazanych piosenek" z udziałem prezydenta, syreny alarmowe wyjące w całym kraju w godzinę W, wreszcie specjalne wydania najważniejszych dzienników w kraju oraz zmienione ramówki w telewizjach – żadnej innej rocznicy nie towarzyszy podobny anturaż. Osoby, które wchodziły w dorosłość na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI wieku, prawdopodobnie traktują te głośne obchody jak coś oczywistego. Inaczej wygląda sytuacja wśród osób starszych, zwłaszcza niezwiązanych ze stolicą.

Historia mojej górnośląsko-lwowskiej rodziny, podobnie jak większości rodzin w Polsce, została głęboko przeorana przez wojnę. Z jednej strony wcielenia do Wehrmachtu, front wschodni, obozy jenieckie, ale też walka z Niemcami w RAF podczas powietrznej Bitwy o Anglię, powojenne prześladowania, przymusowe emigracje, dożywotnie rozłąki rodzeństw. Z drugiej strony – rozstrzeliwania przez NKWD, zsyłki na Sybir, pogromy dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów, internowanie na Węgrzech, repatriacja. W tym ogromnym „repertuarze" nie ma jednak Powstania Warszawskiego. Choć o wojnie w rodzinnym domu mówiło się dużo i często, o powstaniu dowiedziałem się z mediów i podręczników historii. O podobnych doświadczeniach pisali socialmediowi komentatorzy z byłej Galicji, Śląska, Pomorza czy Ziem Odzyskanych. Wskazywali w swoich wpisach, że podobnie jak ja nie czują, dlaczego akurat 1 sierpnia został wybrany do roli najdonośniej świętowanej rocznicy.

Jaskółki nowego myślenia

Skłoniło mnie to do nieco szerszej refleksji nad przyczyną stojącą za taką emocją wśród ludzi zamieszkujących różne regiony naszego kraju. Pomijając kontrowersje wokół samej decyzji o wybuchu powstania, opisane choćby w książce Piotra Zychowicza „Obłęd '44", moją uwagę zwrócił ogólny stosunek do stolicy i jej mieszkańców. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, papierkiem lakmusowym mogą być np. sympatie kibicowskie, choć akurat te środowiska, związane raczej z nurtem konserwatywno-narodowym, należą do najzagorzalszych piewców kultu powstania.

Z badań przeprowadzonych przed kilkoma laty wynika, że są takie regiony, gdzie ponad 20 proc. respondentów utożsamia się z Legią Warszawa – mowa tu o Mazowszu, Podlasiu, Lubelszczyźnie,

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

ZŁOTY WIEK

O życiu osób dojrzałych, opiece nad seniorami i roli starszego pokolenia w kulturze i polityce

Prowadzi MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

ziemi świętokrzyskiej i części Podkarpacia. Choć warto to traktować nieco z przymrużeniem oka, bo znajdziemy pewnie kilka innych uzasadnień takiego rozkładu (choćby brak własnych klubów na najwyższym poziomie rozgrywkowym), coś nam to jednak mówi. Sam z górnośląskiego podwórka pamiętam, że można było kibicować Górnikowi Zabrze, Ruchowi Chorzów, GKS-owi Katowice czy Polonii Bytom, ale nie daj Boże Legii (jeśli ktoś sympatyzował z „wojskowymi", było wiadomo, że pochodzi z Zagłębia). Opinie o mieszkańcach stolicy były jednoznacznie – że warszawiacy się szarogęszą, że nami pomiatają, że nas wykorzystują.

Choć to tylko stereotyp, dobrze pamiętam wyjazdy wakacyjne, podczas których rówieśnicy z Warszawy okazywali mi wyższość. Nie oskarżam tamtej młodzieży, tego rodzaju postawę zapewne zaczerpnęli z klimatu panującego w domu. Nie zapomnę też kuriozalnych sytuacji podczas kolonii, kiedy grupy ze Śląska były przesuwane na stołówkach, bo przyjechała Warszawa. Polityka komunistycznych władz starała się za wszelką cenę wzmocnić spójność państwa w nowych granicach, z silną stolicą w Warszawie, jednocześnie glajchszaltując wszelkie regionalne odmienności.

Dziś różnica jest tylko taka, że po 35 latach od transformacji ustrojowej Powstanie Warszawskie doczekało się ogólnonarodowych obchodów, tymczasem wrażliwość na regionalne zróżnicowania i doświadczenia wciąż jest słabo obecna, albo gorzej – traktowana z podejrzliwością. Wystarczy spojrzeć na reakcję wokół wystawy „Nasi chłopcy": ona może budzić kontrowersje, ale spotkała się z absolutnie histeryczną reakcją w przestrzeni publicznej, dodatkowo wzmacniając irytację części mieszkańców Pomorza czy Górnego Śląska.

Oczywiście pojawiają się jaskółki innego myślenia, czego przykładem był spektakl Teatru Telewizji „Mianujom mie Hanka" ze stycznia 2025 r., prezentujący skomplikowane losy Ślązaków w XX wieku. Choć dla przeciętnego odbiorcy to mogła być teatralna ciekawostka, dla wielu mieszkańców regionu stała się wydarzeniem epokowym.

Doświadczenie solidarności

To jednak wciąż wyjątki. Nie negując pamięci o Powstaniu Warszawskim (i zostawiając na boku kontrowersje związane z decyzją o jego wywołaniu), wydaje mi się, że swoisty dystans niektórych Polaków wobec tego wydarzenia mogłoby przełamać docenienie pamięci rodaków o innych doświadczeniach historycznych, a tym samym wrażliwości ludzi zamieszkujących takie regiony jak Górny Śląsk czy Pomorze (ale nie tylko). W 2025 r. stać nas już chyba na to, aby dostrzec, jak zróżnicowanym pod względem historycznym i kulturowym społeczeństwem jesteśmy. Zobaczyć, że bogactwo narodowego dziedzictwa płynie bardziej z różnorodności niż tworzonej na siłę jednolitości. Co warte podkreślenia, także na polskiej prawicy zaczynają się pojawiać głosy, że budowa swoistej „polifonii" polskiej tożsamości byłaby czymś pożądanym. Mówił o tym choćby prof. Andrzej Nowak w kontekście sporów wokół uznania śląskiego za język regionalny. W liście otwartym do prezydenta Andrzeja Dudy napisał: „Okazanie siły, wiary w siłę państwa polskiego, kultury polskiej, języka polskiego, że ochrona języka regionalnego, którym mówi kilkadziesiąt tysięcy czy choćby 100 tysięcy osób w trzydziestoparomilionowym narodzie, nie stanowi śmiertelnego zagrożenia ani dla Polski, ani dla polskiej kultury".

Jesteśmy społeczeństwem zróżnicowanym historycznie i kulturowo.

Bogactwo naszego narodowego dziedzictwa płynie bardziej z różnorodności niż tworzonej na siłę jednolitości.

Choć sam mam wątpliwości wobec budowania mitu narodowego akurat wokół Powstania Warszawskiego, nie oczekuję, aby sporej części społeczeństwa go odebrać. Jednak trzeba zastanowić się, czy nie warto zacząć budowy alternatywnego mitu (lub mitów), który z jednej strony będzie bardziej włączający dla ludzi z innych części Polski, z drugiej zaś – zrodzi mniej kontrowersji, a przede wszystkim będzie nieść bardziej aktualne przesłanie.

W tym kontekście uważam, że warto przemyśleć wzmocnienie pamięci o Kampanii Wrześniowej, która miała ogólnokrajowy charakter (z takimi elementami jak choćby pamięć o mordzie w Piaśnicy). Z drugiej strony, czy nie warto bardziej w naszej narodowej pamięci „docenić" wojennych przesiedleń i repatriacji? Przecież nie ma chyba w Polsce rodziny, w której nie pojawił się ten problem. Jeśli coś nas jako Polaków łączy, to właśnie doświadczenie wojennej tułaczki, a co się z tym wiąże – także solidarności. Nieraz przekraczającej różnice narodowościowe. Przecież ludzie, którzy musieli uciekać ze swoich domów, nierzadko przeżywali wyłącznie dzięki życzliwości nowych sąsiadów. Moja rodzina, która przybyła ze Lwowa do Bytomia, w pierwszym okresie korzystała z pomocy mieszkającej tam... Niemki. Wojenne losy potrafiły być naprawdę bardziej skomplikowane niż proste historyczne narracje.

Dziedzictwo Sierpnia

Niezależnie od upamiętniania tragicznych kart polskiej historii, marzy mi się, abyśmy polski mit narodowy budowali wokół dziedzictwa Solidarności. Da się wtedy zbudować bardziej uniwersalną (także w wymiarze regionalnym), nośną, a jednocześnie unikatową w wymiarze międzynarodowym opowieść. Tym bardziej że widać wyraźnie, iż kreowanie kultu Polaków jako ofiar wojny niespecjalnie dobrze się „sprzedaje" na świecie w obliczu globalnej pamięci o Holokauście.

Powstanie Solidarności można świętować w sposób radosny bez silnego poczucia niestosowności, że tańczymy na grobach. Mogłoby to pomóc w odzyskaniu powagi nad pamięcią o Powstaniu Warszawskim, która dziś w iście kapitalistycznym stylu została „skremówkowana". Wreszcie mit Solidarności wydaje się nieść ze sobą znacznie istotniejsze przesłanie formacyjne w czasach narastających nierówności oraz lęków, zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Migracje nie znikną i albo będziemy wciąż wzmacniać przekonanie: *my home is my castle*, prowadzące do ludzkich tragedii i wzrostu emocji nacjonalistycznych, albo odważymy się choć spróbować budować społeczne postawy na bazie solidarności i odpowiedzialności za drugiego człowieka.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Na tej łódce płyniemy razem

RYSZARD IZDEBSKI, PSYCHOTERAPEUTA:

PSYCHOLOGIA | Trzynastolatek ma naturalne prawo do zgłoszenia się do psychologa bez zgody rodziców. Przecież nie pyta rodziców, czy może pogadać z kolegą na boisku, nauczycielem, księdzem czy chatem GPT.

ANNA GOC: Jak myśli człowiek, który ma trzynaście lat?

RYSZARD IZDEBSKI: Rano może zachowywać się jak małe dziecko, które nie chce wstać z łóżka i protestuje przed wyjściem do szkoły. A kilka godzin później może próbować dźwigać ciężary dorosłych.

Tuż po agresji Rosji na Ukrainę udostępniliśmy pokój Ukraince z dwoma synami. Starszy miał dwanaście lat, młodszy – niespełna rok. Dwunastolatek, który sam miał prawo być przestraszony, zaopiekował się natychmiast mamą i bratem.

W jaki sposób?

Znał język angielski, więc wziął na siebie formalności. Kupił też kartę SIM, żeby zadzwonić do ojca i do babci w Ukrainie i poinformować ich, że dojechali bezpiecznie.

Ten dzielny człowiek był jednocześnie wymagającym opieki dzieckiem i młodym dorosłym, który próbował wziąć odpowiedzialność za rodzinę.

Nie bez konsekwencji.

Gabor Maté, psychiatra, który zajmuje się osobami z silnymi uzależnieniami, stawia hipotezę, że u spodu każdego uzależnienia są traumatyczne przeżycia. W jego życiu była to trauma żydowskiego niemowlaka, który został oddzielony od mamy i cudem przeżył wojnę.

Dzieci, jeśli muszą, zachowują się niezwykle dorośle, ale wciąż potrzebują wsparcia dorosłych.

13-latek w kryzysie – zgodnie z ustawą, którą przyjął Sejm i Senat, ale prezydent skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego – mógłby pójść do psychoterapeuty bez wiedzy i zgody rodziców. To dobry pomysł?

Chciałbym stanowczo podkreślić, że nastolatek ma naturalne prawo do zgłoszenia się do psychologa bez zgody rodziców. Przecież nie pyta rodziców, czy może pogadać z kolegą na boisku, nauczycielem, księdzem albo chatem GPT. W ustawie była propozycja, by mógł – bez zgody opiekunów – porozmawiać z psychologiem pracującym na NFZ. To daje gwarancję odpowiedzialnego, fachowego kontaktu, założenia karty pacjenta, superwizji przypadku, wdrożenia stosownych procedur medycznych i prawnych.

Skąd więc wątpliwości?

Wydaje się, że mają raczej ideologiczny niż merytoryczny charakter. 13-latek ma prawo do decyzji, z którym rodzicem chce mieszkać albo z którym nie chce, a nie ma prawa do samodzielnej decyzji, czy w ważnej i osobistej sprawie może zgłosić się sam do specjalisty. Nie chcę epatować zagrożeniem samobójstwem, ale i to należy wziąć pod uwagę.

Przyjrzymy się tej relacji – 13-latka i psychoterapeuty.

Psychoterapeuta jest po stronie swojego pacjenta. To jest absolutnie konieczne, żeby dziecko miało o tym stuprocentowe przekonanie. Sprawca czegoś złego, czasami rodzic, czasami wychowawca, ma tylko jeden interes: uniknąć odpowiedzialności.

Równocześnie psychoterapeuta próbuje zachować balans uczciwości i do dziecka, i do rodziców. Załóżmy, że moim pacjentem jest nastolatek, który – jak podejrzewają rodzice – pali marihuanę. Wiem od nich, że syn zaczął wychodzić z domu o stałej porze, zrobił się drażliwy, coś ukradł.

Do gabinetu przychodzą razem?

Zwykle o to proszę, bo dzięki temu mogę od razu poobserwować, jak się ze sobą komunikują. Pytam dziecko, czy jest tu z własnej woli, czy zostało wzięte z zaskoczenia i przywleczone. Jeśli z zaskoczenia i jest wściekłe, od razu mówię, że choć tutaj siedzę, jestem niewinny.

Po wstępnej rozmowie melduję rodzicom, że chciałbym porozmawiać z synem czy córką na osobności.

I że oni niekoniecznie dowiedzą się o szczegółach tej rozmowy?

Mówię rodzicom, że jeszcze nie wiem, czego dowiem się od ich dziecka, ale jeśli powie mi coś, co mnie będzie niepokoiło, to będziemy mieli dwa wyjścia.

Wróćmy na chwilę do przykładu z marihuaną. Jeśli nastolatek powie, że pali, i zapewni mnie, że ma motywację, by przestać, mogę przez jakiś czas nie mówić o tym rodzicom, bo możemy z pacjentem wspólnie nad tym pracować.



Jeśli jednak przyzna, że zamierza palić dalej, to wtedy mówię dziecku: „OK, twój wybór, ale na szczęście nie jestem niewolnikiem i nie muszę być dalej twoim psychoterapeutą. Chcesz palić, to pal, ale ja nie chcę z tobą trzymać w tym sztamy".

Co się dzieje dalej?

Żeby być w konwencji tajemnicy z nastolatkiem, mówię wcześniej rodzicom, że jeśli uznam, iż zachowanie dziecka jest dla niego groźne i nie będzie ze strony dziecka motywacji do zmiany, to wtedy zdecyduję, że nie będziemy kontynuować psychoterapii.

Więc rodzice dowiadują się, że kończymy nasze spotkania. Mówię im wtedy, że powinni dopytać dziecko, co takiego zaszło, że ja nie chcę mieć z nim więcej spotkań.

Robią to?

Czasami boją się swojego nastolatka, bo wiedzą, że zdążył już zadać kilka pytań sztucznej inteligencji i ma zebrane argumenty. Np. na to, że „marihuana wcale nie jest aż tak bardzo szkodliwa, a już na pewno są rzeczy bardziej szkodliwe".

I wtedy najpierw mogę powiedzieć dziecku: super, nie chcesz ze mną rozmawiać, masz prawo. Jednak twoi rodzice mogą się ze mną w twojej sprawie dalej naradzać. I ja im poradzę, by odzyskali kompetencje wychowawcze, czyli żeby zwrócili się do sądu rodzinnego z prośbą o wsparcie kuratora.

Jakie są reakcje?

Zdarza się, że rodzice zaczynają się obawiać, że syn zwyzywa ich od konfidentów i wymówi posłuszeństwo jeszcze skuteczniej. Zapewniam ich, że powinno się stać przeciwnie – zwróceniem się do sądu pokażą dziecku, że są zdeterminowani, by odzyskać kontrolę nad jego wychowaniem.

Jeśli dziecko nie chce współpracować ani z rodzicami, ani z psychoterapeutą, przekazuje władzę nad sobą obcemu człowiekowi – kuratorowi sądowemu. A rodzice, odpowiedzialnie, dbając o dziecko i nie radząc sobie, proszą o wsparcie.

Jestem na tej samej łódce z człowiekiem, który tę łódkę dziurawi. Nie mam wyboru, muszę tak mocno wiosłować, żeby zdążyć dopłynąć do brzegu, zanim razem utoniemy.

Zdarzają się też sytuacje, które wymagają natychmiastowej reakcji. Jedną z moich pacjentek była 13-latka, która opowiedziała mi, że uprawiała seks z dorosłym mężczyzną. Wyznała to w przekonaniu, że obowiązuje mnie tajemnica. I była w błędzie, bo choć rzeczywiście obowiązuje, jestem też obywatelem, który ma obowiązek ją chronić, zwłaszcza wtedy, gdy nie robią tego rodzice.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Czy dowiaduje się w czasie psychoterapii, co będzie dalej?

Mówię jej, że muszę tę sprawę zgłosić prokuraturze i że nie ma innego wyjścia.

Jeśli czuję, że jest istotne zagrożenie dobra dziecka, to w pewnym sensie jestem bezwzględny. Raz, że mamy taki obowiązek wynikający z prawa. Dwa – nie waham się nad uruchomieniem instytucji sądu rodzinnego, ponieważ wiem, że nie możemy dopuścić do sytuacji, że dopiero śmierć Kamilka czy małej Madzi nas wybudza.

Co ciekawe, nigdy nie zdarzyło mi się przestrzelić – doprowadzić do sytuacji, że kogoś oskarżyłem pochopnie.

Gdy dziecko zaczyna współpracować z psychoterapeutą, czym się różnią te spotkania od psychoterapii dorosłych?

Być może tylko tym, że z kilkuletnim pacjentem łatwiej o porozumienie. Dziecko dąży do niego, bo ma w tym interes. Na przykład chce, żeby w domu było dobrze. Jeśli widzi, że wspólnie ze mną udaje mu się ten cel osiągnąć, współpracuje. I diagnostycznie, bo podsuwa mi różne hipotezy, i prognostycznie, bo coś obieca, coś wykona.

Z dzieckiem rozmawia się bardziej wprost, nie trzeba szukać drugiego dna. Może też nie chcieć odpowiadać, bo jest uwikłane w sprawy rodziców. Jeżeli jednak wie, że nie przekabluję, to zaczyna czuć się bezpieczniej i przekonuje się, że może mi zaufać.

Nie przekablujesz?

To, o czym rozmawiamy z dzieckiem w gabinecie, jest między nami. Dziecku, które ma już kilka lat, mówię, że tylko sąd może mnie zwolnić z tej tajemnicy. A tę tajemnicę – zapewniam go – mogę zdradzić wtedy, gdy się dowiem, że ty się chcesz zabić, albo że chcesz kogoś zabić. Albo że spotyka cię jakaś straszna krzywda. Wtedy mogę o tym poskarżyć.

Jak się buduje bezpieczną więź z dzieckiem?

↦

↦ Gdy dziecko jest małe, ważne, by miało rodziców blisko, widziało ich zachwyt i to, że jest kochane. Jest wtedy uspokojone tym, że rodzic czuwa, jest na każde pisknięcie, na każde wezwanie, na sikanie, na ból brzuszka. Przez całą dobę pilnuje, żeby dziecko się nie udusiło, nie zachłysnęło klockiem, nie wyszło przez uchylone okno. Pełni nieustanny dyżur.

Około trzeciego roku życia dziecko uzyskuje wstępną separację emocjonalną.

Co się wtedy zmienia?

Powoli staje się osobne. Mówi o sobie: „Rysiu jedzie samochodzikiem, brum, brum", potrafi już spojrzeć na siebie z metapozycji.

Gdy młody człowiek idzie do szkoły, rozpoczyna się jego formacja w oderwaniu od rodziców. Dziecko zaczyna rozumieć, że w wielu sytuacjach powinno radzić sobie samo wśród rówieśników.

Rodzina jest nie tylko od budowania więzi. Więź, jeśli wszystko idzie dobrze, a rodzina poprawnie funkcjonuje, staje się podstawą do separacji. Bez separacji nie ma człowieka.

Skąd wiadomo, że coś poszło nie tak?

Najczęściej poprzez porównanie z rówieśnikami. Jeśli inne dzieci już coś robią, a nasze nie, zaczynamy się martwić. Ale czasami widzimy też, że inne dzieci żyją w sposób, który nam się nie podoba i nie chcielibyśmy, żeby nasze dziecko zachowywało się podobnie.

Badania Jeana Piageta dotyczące rozwoju poznawczego dzieci pokazały, że od dziesiątego roku życia rozumiemy śmierć – to, że jest ona nieodwracalna i jest utratą, z którą musimy się jakoś pogodzić. Rozumiemy też, że będziemy musieli się kiedyś rozstać sami z sobą.

Jedną z moich pacjentek była 9-latka, która powiedziała mi, że boi się śmierci. Dałem jej gwarancję, że przez najbliższy rok nie umrze.

Gwarancję?



GRAŻYNA MAKARA

RYSZARD IZDEBSKI jest psychologiem klinicznym, psychoterapeutą i superwizorem psychoterapii Sekcji Naukowej Psychoterapii i Terapii Rodzin Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Tak, nawet jej ją napisałem. Ucieszyła się, nie potrzebowała więcej. Po roku przyszła, strach minął. Minął, bo osiągnęła wiek, w którym paradoksalnie przestajemy się bać, że umrzemy.

10-latek nie potrafi jeszcze myśleć alternatywnie. Jeśli mama powie mu, że jak będzie grzeczny, to pójdzie z nim do kina, zapamiętuje raczej to, że pójdą do kina, a nie to, że wcześniej musi spełnić postawiony warunek.

Od dwunastego roku życia rozumiemy alternatywę. Proces ten dokonuje się na *continuum*, ale też skokowo. 13-latek odchodzi od konkretnego, obrazowego myślenia, zaczyna myśleć alternatywnie.

Staje się coraz bardziej dorosły. Wielu z nich przychodzi do gabinetu świadomie. Dzięki sztucznej inteligencji wiedzą, czym jest psychoterapia, dopytują mnie o to, w którym nurcie będziemy pracować.

Z czym przychodzą do gabinetu?

Na pewno obniżył się wiek, w którym występują niektóre problemy rozwojowe. To, co pojawiało się dawniej w piętnastym, szesnastym roku, teraz obserwujemy w jedenastym, dwunastym. Przykładem mogą być zaburzenia jedzenia, z którymi zgłaszają się coraz młodsze dzieci. Zgłoszenie do psychiatry lub psychoterapeuty bywa jednak niewystarczające, bo z wyniszczenia fizycznego u 16-latka czasami łatwiej wyjść niż u dziecka, które ma jedenaście lat.

Rodzice próbują ingerować w psychoterapię dziecka?

Mogą próbować, choć najczęściej wychodzą z założenia, że skoro wybrali psychoterapię, bo sami nie wiedzą, co się dzieje z ich dzieckiem, i chcą mu pomóc, to muszą psychoterapeucie w tej kwestii zaufać.

To bywa trudne?

Mogą pojawiać się zazdrościowe pomysły, na przykład: ja nie mogę dogadać się z synem, a tu koleś po piętnastu minutach ma z nim komitywę. Z drugiej strony, rodzice przychodzą z dzieckiem do specjalisty. Innym specjalistom, którzy naruszają powłoki cielesne naszych dzieci, też ufamy i nie zaglądamy co jakiś czas na salę operacyjną, by się upewnić, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Jeżeli dziecko poprawia się objawowo – przestaje się moczyć albo chętniej się uczy, to ucieszeni tym rodzice zaczynają je wzmacniać. Zaistniała zmiana w systemie rodzinnym generuje kolejne zmiany.

Dziecko może spajać, ale rodzina może też na nim wisieć. I ta druga sytuacja bywa dla niego groźna. Bo ono nie może być jedynym spoiwem rodziny. Rodziców powinno łączyć coś poza tym, że wychowują razem dziecko. A jeśli tego czegoś nie ma, istnieje duże ryzyko, że nie pozwolą potomstwu się odseparować.

Dziecko może samo zdecydować o zakończeniu psychoterapii?

Przychodzi moment, kiedy można zapytać: czy tobie się nie wydaje, że moglibyśmy się przestać spotykać? Z reguły jest na to wspólna zgoda.

Decyzja o zakończeniu spotkań może nie być łatwa, zwłaszcza gdy dziecko je polubiło. I to jest smutne, bo jeśli coś było dobre, trudniej się z tym rozstać. W pewnym sensie to jest powtórka z relacji, którą rodzice budują z własnymi dziećmi – tak ślicznie wyrosłeś, ale musimy się troszkę rozstać, bo idziesz w świat.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

REKLAMA



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Scena mos

Jarosław Murawski

POLISH HORROR STORY

Reżyseria: Marcin Liber

PREMIERA: 12 września 2025

Obsada: Karolina Kazoń, Magdalena Osińska, Marta Waldera, Wojciech Dolatowski, Rafał Dziwisz, Daniel Malchar, Antoni Milancej, Dominik Stroka

Scenografia i kostiumy: Mirek Kaczmarek
Muzyka na żywo: zespół Nagrobki
Choreografia: duet Hashimotowiksa
Asystentka reżysera: Aniela Płudowska
Inspicjent: Iwona Cieślik
Producentka: Agata Schweiger

Autor grafiki: Wojciech Pietrasz

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARNERZY TEATRU
BMW M-Cars Group
Bielenda
Santander Private Banking

PATRONI MEDIALNI Ppremiery
ELLE
GLAMOUR

PATRON MEDIALNY TEATRU
TVP3 KRAKÓW

teatrwkrakowie.pl



ROZMOWA

WYSPA NAM POMAGA

SZYMON DROBNIAK, ORNITOLOG:

Ptaki muszą przekraczać morze z precyzją. Gotlandia to miejsce, w którym niemal na pewno się zatrzymają, żeby odpocząć. Dzięki temu łatwo je tam badać.

ADAM ROBIŃSKI: Muchołówka białoszyja to taki niepozorny ptak. A jednak potrafi namieszać człowiekowi w biografii.

SZYMON DROBNIAK: Nie jest tak wyrazista jak inne gatunki, ale ornitolog nigdy nie powiedziałby o niej, że jest niepozorna. To mały, ale bardzo interesujący ptak. W moim życiu pojawił się przypadkiem. Pierwszy raz pojechałem na Gotlandię w ramach pracy magisterskiej, która dotyczyła sikor modraszek. Wracałem tam wiele lat z rzędu, właśnie po to, żeby badać sikory. W międzyczasie szwedzki profesor, który od początku prowadził monitoring tamtejszej populacji muchołówki, przeszedł na emeryturę. Nie zostawił po sobie nikogo, kto mógłby ten projekt przejąć. Więc zrobiliśmy to my, Instytut Nauk o Środowisku Uniwersytetu Jagiellońskiego, biorąc również na siebie finansowanie. To było osiem lat temu.

Dlaczego na środku Bałtyku bada się muchołówki?

Bo znajdują się tam poza północnym zasięgiem gatunku, czyli „typowymi" granicami swojego występowania. Około czterysta kilometrów dalej niż inne populacje muchołówki białoszyjej. Dwie szwedzkie wyspy, Gotlandia i Olandia, są w tej kwestii zagadką. Nikt nie wie, skąd wzięły się tam muchołówki białoszyje. Ani dlaczego nie kolonizują pobliskiego Półwyspu Skandynawskiego. Na Olandii są mniej więcej od 70 lat. Jeśli chodzi o Gotlandię, możemy tylko zgadywać. Mamy sprzeczne relacje. Czy widział je tam w 1741 r. Karol Linneusz? Nie wspomina o nich w swojej relacji z podróży. Ale przybył na wyspę dopiero w lipcu, na dodatek bardzo ciepłego roku. Dlatego sądzę, że mógł je po prostu przeoczyć. O tej porze roku muchołówki białoszyje opiekują się już podlotami poza gniazdem i z uwagi na pierzenie upodabniają się do innych muchołówek. Tak czy inaczej szacujemy, że Gotlandia jest ich wiosenno-letnim domem od dwustu, może trzystu lat.

„Delikatne, nieagresywne, bajecznie łatwe w badaniu". Tak o muchołówkach piszesz w książce „Gęsi odpoczywają na Gotlandii".

Gdy otwierasz budkę lęgową, w której siedzi modraszka, reakcją ptaka jest agresja. Próbuje cię odstraszyć. Muchołówka białoszyja nawet się nie ruszy. Udaje, że jej tam nie ma. Możesz ją wziąć do ręki, odczytać obrączkę, policzyć jajka w gnieździe i z powrotem odłożyć na miejsce. A ona się będzie zachowywać tak, jakby się nic nie stało.

Jak to rozumieć?

Może to forma maskowania? Pstrokata sikora nie ma wyjścia, musi wierzgać, bo jest widoczna jak na dłoni. Za to brązowa samica muchołówki wtapia się w barwy gniazda.

Ogólnie rzecz biorąc, mało wiemy na temat różnic w temperamencie ptaków czy ssaków, dlaczego jedne zachowują się tak, a nie inaczej. W przypadku muchołówki może chodzić o trudny rozród. Być może szkoda im marnować zasoby energetyczne na agresywne zachowanie w gnieździe, bo zaraz będą się musiały sposobić do długiej podróży na południe? Szacujemy, że wylatują z Afryki Subsaharyjskiej pod koniec marca. Kilka

ERNI / ADOBE STOCK



Muchołówka białoszyja rozmnaża się zwykle w Europie Środkowo-Wschodniej, zimuje na południu Afryki. Jej obecność na Gotlandii i Olandii jest zagadką.

razy zatrzymują się po drodze, w połowie kwietnia docierają do Europy, pod koniec miesiąca są już na Gotlandii. Tydzień lub półtora po przylocie samce szukają miejsc na gniazdo, z kolei samice szukają samców. Dwa tygodnie po przylocie składają jaja. To bardzo intensywny czas. Wśród polskich muchołówek, których migracja jest krótsza, czasami zdarzają się dwa lęgi w jednym roku. W Szwecji sezon jest tak krótki, że nie ma na to szans, bo pod koniec lipca młode muszą się już sposobić do wylotu. Cała energia jest inwestowana w to, żeby im się udało.

Ale czy takie wrzucanie wszystkich osobników danego gatunku do jednego worka jest sprawiedliwe?

Oczywiście znajdujemy modraszki, które są spokojne, albo muchołówki, które po schwytaniu tylko czekają na moment, gdy wyczują luźniejszy uchwyt dłoni, żeby zwiać. Zmienność między osobnikami jest bardzo duża. Wiemy, że ma ona do pewnego stopnia podłoże genetyczne, to znaczy, że niektóre osobniki są konsekwentnie takie, a nie inne. W biologii ewolucyjnej nazywa się to osobowością. Choć ja bardzo nie lubię tego określenia. Jest zbyt antropomorfizujące. Unikam przypisywania określeń ludzkich zwierzętom.

Czyli otwierając budkę, nigdy nie wiesz, co Cię czeka?

Tym bardziej że z tych samych budek korzystają różne gatunki ptaków. Nie tylko modraszki, bogatki i muchołówki białoszyje, ale też inne ptaki podobnej wielkości, które można spotkać na Gotlandii, np. kowaliki, krętogłowy czy mazurki. Moglibyśmy sprawić, żeby tak nie było. Wystarczyłoby odrobinę zmniejszyć otwór wejściowy. Ująć pół centymetra średnicy, wtedy sikora się nie przeciśnie, a dla muchołówki będzie na styk. Ale przecież nie o to chodzi w badaniach, żeby pozbawiać inne gatunki szansy.

Na Gotlandii zagląda się do tych budek od prawie pięćdziesięciu lat.

Na świecie jest tylko kilka podobnie długotrwałych projektów. Na przykład w Kanadzie od około 30 lat bada się populację szarobrewki śpiewnej. Bezkonkurencyjnym rekordzistą jest zaś Wydham pod Oksfordem, gdzie monitoring kilku gatunków prowadzony jest od ponad 70 lat.

Jak to się zaczęło?

Na Gotlandii – od ornitologa Larsa Gustafssona, który zainteresował się przede wszystkim kwestią hybrydyzacji gatunków. Bo jeszcze w latach 80. muchołówki białoszyje krzyżowały się na Gotlandii z żałobnymi. Ale najważniejsze było to, że białoszyja jest gatunkiem filopatrycznym, czyli że gdy dorosłe ptaki zaczynają się w jakimś miejscu rozmnażać, to w kolejnych sezonach wracają niemalże do tej samej budki. Albo do sąsiedniej. To daje gwarancję, że dużą część ptaków będziemy mieć okazję obserwować za ich życia wiele razy. Wyspa nam dodatkowo pomaga, bo w okolicy, na Bałtyku, trudno o konkurencyjne miejsca lęgowe. Dzięki temu możemy się pochwalić dużą rekrutacją, a więc liczbą osobników, które przychodzą na świat w badanej przez nas populacji, a potem wracają, by samemu się rozmnażać. ↦

↦ **O ilu pokoleniach podopiecznych mówimy?**

O kilkudziesięciu, bo co roku mamy nowe. Nie wszystkie zaczynają się jednak rozmnażać rok po wykluciu. Niektóre robią sobie przerwę. Muchołówki żyją dość długo, nawet osiem lat. Ale śmiertelność jest duża. O trudnej migracji już mówiliśmy. Poza tym są bardzo wrażliwe na pogodę. Polegają przede wszystkim na owadach latających, więc wystarczy, że w czerwcu, gdy pisklęta potrzebują najwięcej pokarmu, zdarzy się okres z silnym wiatrem lub deszczem, by zdziesiątkować tę populację. Były takie sezony, gdy traciliśmy 60-70 proc. gniazd. Ale to wszystko trudno policzyć, bo populacja mocno się rozrosła. Na początku tych budek było kilkaset, teraz jest 1,8 tys. I staramy się ją utrzymać na takim poziomie.

Jak to „staracie się utrzymać"?

Mało efektywne powierzchnie badawcze, albo te, które są trudne do monitorowania, po prostu likwidujemy. Każda dodatkowa grupa budek to więcej pracy, żeby je utrzymać. Nie chcemy tej populacji niepotrzebnie rozdymać.

To brzmi tak, jakbyście ręcznie sterowali jej wielkością.

Muchołówki nie zajmują wszystkich dostępnych budek. Powiedzmy, jedną czwartą. Więc jeśli część z nich usuniemy, to nie będzie to dla ptaków specjalnie ograniczające. Populacja od początku wieku delikatnie rosła. Teraz jest na stabilnym poziomie z lekką tendencją spadkową.

Ale trudno powiedzieć, czy to chwilowa fluktuacja, czy istotny trend. Lata 2023 i 2024 były bardzo złe, jeśli chodzi o sukces lęgowy, z kolei bieżący rok okazał się zaskakująco dobry. Za to nieudany dla sikor, które zwykle okazują się bardzo odporne na wahania środowiskowe. Powód? Ciepły kwiecień i zimny maj. Sikory są na Gotlandii przez cały rok, nigdzie nie odlatują. W kwietniu, gdy zrobiło się cieplej, zaczęły się przygotowywać do rozmnażania. A potem w kluczowym momencie, gdy samice składają jaja, przyszły przymrozki. Z kolei muchołówki przylatują później, więc nie wiedziały, jaką zastaną pogodę. Po prostu zaczęły robić swoje w swoim własnym tempie. Pod koniec maja zrobiło się cieplej. I stąd ich sukces.

Każdego roku przychodzi moment, w którym przestajemy rozumieć to, co akurat dzieje się z ptakami.

Przyjeżdżamy z przekonaniem, że wszystko już wiemy, a tu klops.

Zdarza się, że znajdujecie je również w naturalnych gniazdach? Poza budkami?

Tak, ale budki są dla nich jednak bardzo atrakcyjne. Po co mają się wysilać? Na każde 30-50 gniazd w budkach natrafimy na jedno naturalne. Rzadko mamy do nich dostęp, bo są zwykle w dziuplach. Trzeba by je rozwiercić, żeby dostać się do środka. W takim przypadku staramy się chociaż złapać dorosłe do zaobrączkowania.

Jak wygląda sam monitoring? Musicie zajrzeć do każdej budki?

Interesują nas również sikory, więc przyjeżdżamy na Gotlandię w połowie kwietnia, gdy te zaczynają budować gniazda. Mamy do skontrolowania dwadzieścia kilka powierzchni badawczych, każda z nich to od niecałego kilometra do kilku kilometrów kwadratowych, rozrzuconych w pasie około dwudziestu kilometrów w osi północ-południe. To tylko wycinek wyspy. Na Gotlandii nie ma jednego zwartego kawałka lasu. Płaty są porozdzielane pastwiskami i polami uprawnymi. Każda taka ptasia społeczność jest sprawdzana regularnie, co kilka dni, a przynajmniej raz w tygodniu, bo nie zawsze mamy do dyspozycji odpowiednio duży zespół. Do każdej budki zaglądamy w każdym roku pięć-sześć razy. Jeśli odnotujemy, że w środku zaczął się lęg, przyglądamy jej się uważniej. Potem skupiamy się oczywiście tylko na tych, w których są rozmnażające się ptaki.

Brzmi jak bardzo powtarzalna, mrówcza robota.

Na początku sezonu sprawdzenie wszystkich budek na jednej powierzchni badawczej zajmuje nam około trzech godzin. Większość z nas robi to co roku, znamy więc teren i metody. Jeżdżę na Gotlandię od 18 lat, a jeszcze się nie zdarzyło, żeby ta rutyna mnie znudziła.

Każdego roku przychodzi moment, w którym przestajemy rozumieć to, co akurat dzieje się z ptakami. Pojawia się wzorzec, którego nie znamy. Przyjeżdżamy z przekonaniem, że wszystko już wiemy, a tu klops. Wciąż wiemy mało. W tym roku nagle porzucone zostało co trzecie gniazdo modraszki. To się wcześniej nie zdarzało, byliśmy przekonani, że to „pancerny" gatunek. Zupełnie nowa łamigłówka do rozwiązania.

Poza tym, ta praca jest wynagradzana w jeszcze jeden sposób – wyspa późno budzi się do wiosny. Gdy przyjeżdżamy, jest jeszcze szaro i ponuro, wręcz zimowo. I to na naszych oczach pojawiają się pierwsze oznaki nowego. Biolodzy bardzo lubią ten moment w roku, a my na dodatek spędzamy go w terenie. Owszem, po kilku tygodniach niektórzy mają dosyć, ale potem człowiek zaczyna się cieszyć na myśl, że za rok znowu pojedzie się na Gotlandię. Tęsknimy za tymi lasami i za ptakami. Gdybyśmy prowadzili podobne badania pod Krakowem, pewnie byłoby inaczej. Wciskałoby się taką pracę między codzienne zajęcia. Tymczasem na wyspie jest się tylko dla ptaków. Nic nas nie rozprasza.

Mieszkańcy Gotlandii nie dziwią się, że ich ptaki liczą Polacy?

My te badania finansujemy, co nie znaczy, że nie przyjeżdżają z nami osoby innej narodowości. Ale wioska, w której mieszkamy, na stałe liczy raptem kilkanaście osób. Każdy każdego zna i wszyscy doskonale wiedzą, co się dzieje. Poza tym, wyspiarze zdają sobie sprawę, że ich dom jest ważnym punktem na mapie migracji ptaków. Duże akweny – nie tylko Bałtyk – to przestrzenie, które muszą one przekraczać z precyzją. Są na nich miejsca – wyspy, ale też mierzeje i cyple – w których koncentrują się szlaki migracyjne. Chodzi o to, żeby jak najdłużej pozostawać nad lądem. Dzięki temu łatwo je tam badać.

I dlatego w takich miejscach znajdują się na ogół stacje obrączkowania ptaków. Na Bałtyku to choćby Kąty Rybackie, litewski przylądek Ventė, szwedzkie Falsterbo. I południowy skraj Gotlandii.

Z kolei Morze Czarne jest bardzo interesujące dla badaczy drapieżników, których korytarze migracyjne koncentrują się nad Bosforem i Kaukazem. A nad Morzem Śródziemnym obrączkuje się raczej wróblaki, które gniazdują na południu Europy. Wyspa – w naszym przypadku Gotlandia – to takie miejsce, w którym ptaki niemal na pewno się zatrzymają, żeby odpocząć.

Nad Bałtykiem ptaki obrączkuje się od ponad stu lat. To ogromny zasób danych na ich temat. Co się z nimi robi?

To temat kontrowersyjny. Wiem, co robimy z naszymi danymi, bo non stop publikujemy na ich podstawie kolejne prace naukowe. Inaczej jest w przypadku wielu stacji obrączkarskich. Jeszcze do niedawna część z nich nie digitalizowała swoich danych. Wypełniały one kolejne teczki czy segregatory, do których mało kto miał dostęp. O tyle dobrze, że na ogół nowe dane mają od razu postać cyfrową. Ale cała historia badań już nie.

Problemem wielu stacji jest również to, że trzeba się postarać, żeby do ich danych uzyskać dostęp. A te ze szwedzkich stacji są dostępne dla każdego, niemal od ręki, w internecie. Zresztą w erze *citizen science* – nauki obywatelskiej, która obsługuje o wiele bogatsze zasoby, nie zawsze chcę prowadzić niekończącą się korespondencję z centralami obrączkarskimi, z reguły nawet nie wiedząc, jakie dokładnie dane posiadają. Po co to robić, skoro mogę sobie za darmo pobrać o wiele większą bazę danych, np. z aplikacji eBird utrzymywanej przez amerykański Uniwersytet Cornella, do której każdy użytkownik może dodać swoją obserwację ptaka. W efekcie eBird ma obecnie bodaj ponad miliard rekordów. Trudno sobie nawet wyobrazić, ile to danych.

Ale czy one są równie wiarygodne jak te z placówek naukowych?

Oczywiście, że nie, ale są sposoby, by odsiać z nich wątpliwą część. Umiemy ocenić jakość konkretnych danych w zbiorze. W każdym kraju eBird ma moderatorów, którzy wyłapują podejrzane obserwacje. Wcale nie jest łatwo zafałszować tamtejsze dane. Dlatego na ich podstawie powstało już wiele publikacji naukowych. Ten zbiór ma oczywiście trochę inny charakter. Nie da się na przykład na jego podstawie śledzić konkretnego, pojedynczego ptaka. Ale jest niezastąpiony, jeśli chodzi o wzorce występowania i liczebności gatunków.



ZDJĘCIE Z ARCHIWUM AUTORA / WYDAWNICTWO CZARNE

SZYMON DROBNIAK (ur. 1984) jest biologiem ewolucyjnym, ornitologiem, projektantem graficznym, poetą i tłumaczem anglojęzycznej literatury popularnonaukowej. Pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się właśnie jego książka „Gęsi odpoczywają na Gotlandii".

Wróćmy na Gotlandię, do muchołówek. Czego o nich jeszcze nie wiemy?

Na przykład tego, dokąd dokładnie lecą na zimę. Wiemy, że to w przybliżeniu region Afryki subsaharyjskiej, bo swego czasu wysyłaliśmy ptaki z transponderami. One nam dały ogólne pojęcie, nakierowały na Namibię, Angolę, Malawi. Problem w tym, że nie mamy żadnej informacji zwrotnej na temat naszych ptaków, która by stamtąd pochodziła. Ani jednego rekordu, który ktoś wprowadziłby do globalnej sieci obrączkarskiej. To jest wręcz niewiarygodne, biorąc pod uwagę fakt, że co roku na Gotlandii obrączkujemy kilka tysięcy muchołówek białoszyich. Najwyraźniej w tym regionie nie działa żaden ośrodek naukowy, który byłby lustrzanym odbiciem naszych badań.

Może trzeba za ptakami polecieć na zimę do Afryki?

Mieliśmy, oczywiście, takie pomysły. Tylko że to byłoby szukanie igły w stogu siana. Na dodatek bardzo kosztowne. Mamy namiary do stowarzyszeń ornitologicznych, np. w Angoli, ale to bardziej grupy pasjonatów niż placówki badawcze. Ciągle więc liczę na sygnał, że ktoś w Afryce złapie naszą muchołówkę. Dlatego wydaje mi się, że obrączkowanie wciąż ma rację bytu.

A czy gotlandzkie muchołówki reagują jakoś na zmieniający się klimat?

To, że ptaki przesuwają swoją fenologię, a więc rozród, jest trendem światowym. W tym przypadku mówimy o przyspieszeniu o około dziesięć dni. Poza tym na Gotlandii jest coraz cieplej i ubywa wody. Zimy stały się dość suche. Tymczasem byt muchołówek zależy przede wszystkim od owadów latających, a te mają coraz mniej miejsc do rozmnażania się.

Gdy lata temu zaczynałem swoje badania na wyspie, komarów było zatrzęsienie. Nie dało się wyjść w teren bez moskitiery na twarzy. W tym roku nie było ich niemal wcale. W poprzednich latach, gdy na początku sezonu wchodziło się do lasu, to wody było miejscami po kolana. W tym roku w ogóle nie musiałem zakładać gumowców. Gotlandia to wyspa wapienna, poszatkowana rowami, z których dawno temu pozyskiwano ten kamień. Choć dawno zarosły, to od kiedy pamiętam, stała w nich woda. W tym roku już nie.

Czyli muchołówki mają problem?

Dopiero się przekonamy, jak duży. Dane z dziesięciu czy kilkunastu lat to jeszcze wciąż za mało, by uchwycić długoterminowy trend. Populacja trochę się zmniejsza, ale to jest redukcja o kilkadziesiąt par lęgowych z mniej więcej czterystu na przestrzeni 15 lat. Wciąż jednak musimy brać pod uwagę scenariusz, w którym ten gatunek będzie w stanie się ustabilizować w nowych realiach klimatycznych.

Mówiłeś, że ten sezon był dla nich wyjątkowo udany.

Podejrzewam, że w przyszłym roku, gdy znów pojedziemy na Gotlandię, wróci do nas bardzo dużo ptaków. Czy jednak jest to zwiastun odwrócenia się negatywnej trajektorii? O tym mogą nas przekonać tylko kolejne lata monitoringu. Tyle możemy na razie zaplanować.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

NIESPOKOJNE SERBSKIE LATO

Ostatnie antyrządowe protesty w Serbii i starcia z policją wywołały także napięcia pomiędzy Serbami a mniejszością słowacką w Wojwodinie.

JULIUSZ PIELICHOWSKI



Bački Petrovac to miasto o populacji liczącej niewiele ponad pięć tysięcy osób, leżące w Wojwodinie, regionie zamieszkiwanym przez liczną mniejszość słowacką. Dość nieoczekiwanie to niepozorne miasteczko przyciągnęło ostatnio uwagę mediów z powodu drobnego – jak się wydawało – incydentu, który jednak wywołał ożywioną reakcję w Bratysławie. Na początku sierpnia doszło tam do konfrontacji pomiędzy zwolennikami rządzącej Serbskiej Partii Postępowej (SNS) a organizatorami wystawy fotograficznej, dokumentującej trwające od wielu miesięcy antyrządowe protesty.

Kameralna wystawa, którą – zaznaczmy – zorganizowano w ramach Słowackiego Festiwalu Narodowego, najważniejszego w roku wydarzenia kulturalnego w życiu mniejszości słowackiej w Wojwodinie, została zniszczona przy bierności policji przez popierających SNS i prezydenta Aleksandara Vučicia Serbów. I choć Słowacy i Serbowie na ogół żyją w Wojwodinie w zgodzie, w przeszłości zdarzały się między nimi incydenty – jak dwa lata temu, gdy na drzwiach jednego z kościołów w regionie umieszczono listę z nazwiskami Słowaków do wydalenia z kraju.

Echa nad Dunajem

Wydarzenia w Bačkim Petrovacu odbiły się szerokim echem na Słowacji, skłaniając Michala Šimečkę, lidera opozycyjnej wobec słowackiego rządu Roberta Ficy liberalnej partii Postępowa Słowacja (PS), do wizyty w serbskim miasteczku. Jak napisał on w poście na Facebooku: „Słowacy w Serbii czują się całkowicie opuszczeni, pozostawieni na łasce lokalnych chuliganów i bandytów". Šimečka wezwał Ficę oraz słowackiego ministra spraw zagranicznych Juraja Blanára do niezwłocznej interwencji.

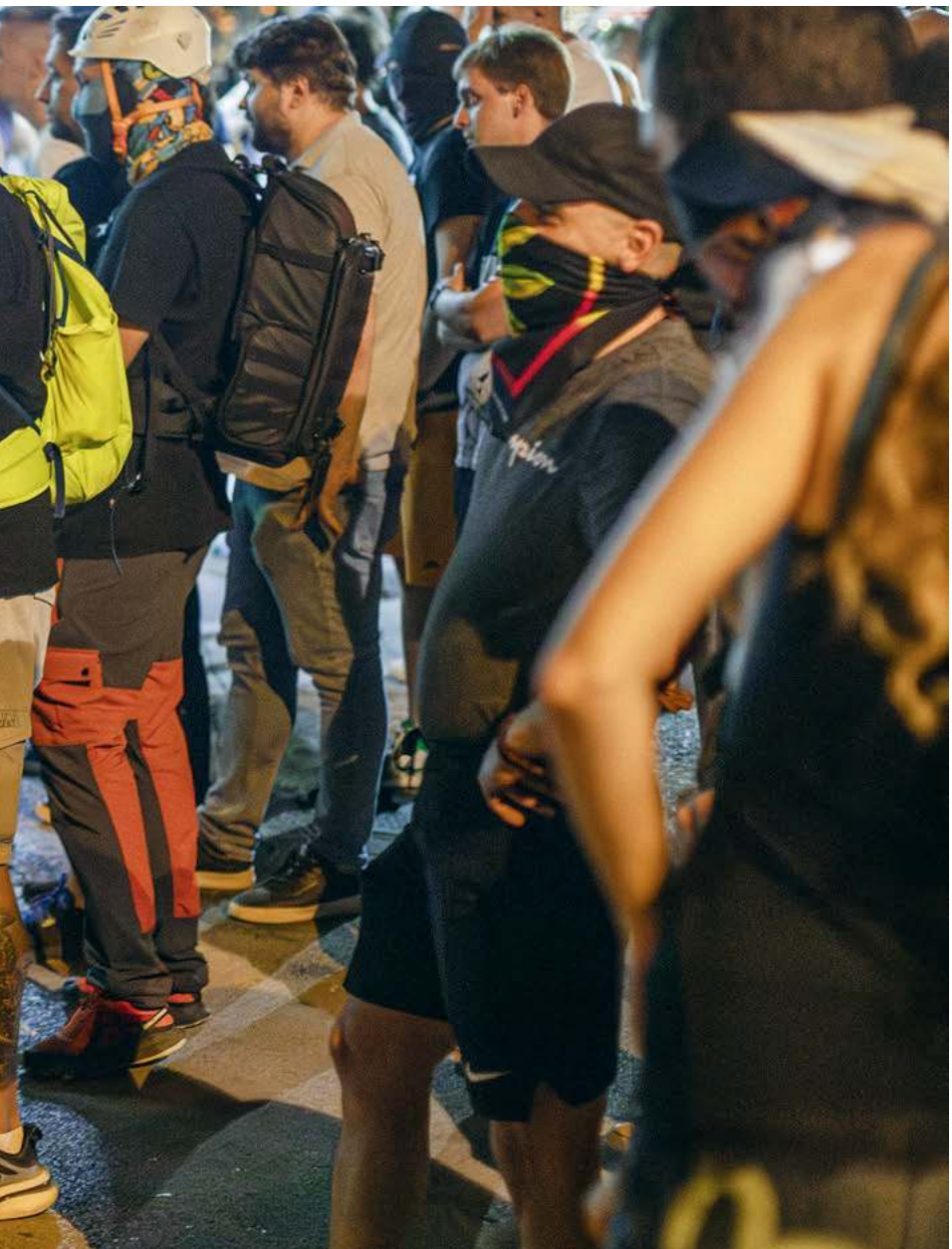
Premier Fico, jak można było się spodziewać, podczas konferencji prasowej skrytykował Šimečkę i oskarżył go o ingerowanie w wewnętrzne sprawy Serbii, a całą opozycję o podżeganie do analogicznych protestów na Słowacji. Ponadto wyparł się wiedzy o rzekomych przypadkach łamania praw mniejszości słowackiej w Wojwodinie, sugerując zarazem, że sprawa jest wyłącznie faktem medialnym, który ma na celu zdyskredytowanie suwerennych, legalnie wybranych rządów – tak na Słowacji, jak w Serbii. W odpowiedzi opozycja zorganizowała w Bratysławie kilkusetosobowy marsz solidarności z protestującymi w Serbii. Należy się spodziewać, że w kolejnych tygodniach sprawa ta będzie powracać, tak ze względu na realne napięcia pomiędzy Słowakami i Serbami w Wojwodinie, jak i na polityczny interes słowackiej opozycji.

Geneza protestów

Posiadające dodatkowy, międzynarodowy wymiar wydarzenia w Bačkim Petrovacu zaświadczają także – a może przede wszystkim – o tym, że fala protestów w Serbii zeszła na poziom, którego w poprzednich miesiącach władze w Belgradzie zapewne się nie spodziewały.

Protesty na ulicach serbskich miast odbywają się od przeszło dziewięciu miesięcy. Przypomnijmy, że początek dała im katastrofa budowlana w Nowym Sadzie, gdy zawalił się dach nowo wyremontowanego dworca kolejowego. Tragedia, która w listopadzie 2024 r. pochłonęła życie 16 osób, stała się zarzewiem społecznego sprzeciwu wobec powszechnej korupcji i słabego nadzoru nad infrastrukturą publiczną.

W pierwszych miesiącach po tragicznych wydarzeniach protesty miały charakter pokojowy. Studenci organizowali symboliczne blokady ruchu ulicznego, milczące hołdy dla ofiar, okupowali uniwersytety, żądając pociągnięcia do odpowiedzialności winnych – między innymi publikacji dokumentów związanych z budową zniszczonego dworca, przejrzystego ↦



MAXIM KONANKOV / GETTY IMAGES

Starcia z policją przy Bulwarze Wyzwolenia w Nowym Sadzie. Serbia, 13 sierpnia 2025 r.

↦ śledztwa, a także – co przez niektórych zostało odebrane jako próba wykorzystania sytuacji do własnych celów – zwiększenia budżetu na edukację o 20 proc. Studenci przyjęli nawet manifest „*We Deserve Better*" („Zasługujemy na więcej").

Z upływem czasu pokojowe protesty przekształciły się w masowy ruch społeczny, wykraczający poza środowisko akademickie, wymierzony w sprawującą od kilkunastu lat władzę Serbską Partię Postępową (SNS) oraz Aleksandara Vučicia, zdradzającego autorytarne skłonności prezydenta Serbii.

Rząd pod presją

W obliczu narastającej presji społecznej, w styczniu tego roku ustąpił premier Miloš Vučević, licząc na uspokojenie sytuacji, jednak demonstracje nie ustały, bo i niezmienny pozostał główny adresat protestów – Aleksandar Vučić. Rosnącemu w siłę ruchowi społecznego sprzeciwu poparcia udzieliło wiele środowisk – od związków zawodowych po artystów, pisarzy i instytucje kulturalne. Na reakcję władzy nie trzeba było długo czekać. W pierwszych miesiącach tego roku dochodziło do przypadków prowokacji organizowanych przez zwolenników SNS, ale także (drobnych zazwyczaj) zajść na uniwersytetach.

W marcu wybuchły ogromne, masowe manifestacje. Już wtedy było jasne, że tegoroczna fala protestów to coś więcej niż tylko reakcja na katastrofę budowlaną w Nowym Sadzie. Blokady uliczne, jakie paraliżowały Belgrad i inne miasta na przełomie czerwca i lipca, były niejako zapowiedzią wydarzeń, które dziś wstrząsają Serbią. Wydarzeń, dodajmy, których skala i intensywność – zwłaszcza gdy chodzi o brutalność policji – jest zaskoczeniem także dla samych protestujących. Do konfrontacji z władzą w letnich miesiącach dochodziło także w niedużych miastach i miasteczkach, właśnie takich jak Bački Petrovac w Wojwodinie.

Protesty na prowincji

Sierpniowe konfrontacje protestujących Serbów z policją oraz zwolennikami SNS i Vučicia są z pewnością nowym rozdziałem w fali sprzeciwu, nadając jej zarazem trudnej do utrzymania w ryzach dynamiki. Opór wobec władzy nie jest już tylko sprawą mieszkańców wielkich miast w Belgradzie, Niszu czy Kragujevacu. Tak obecny rząd, jak i Vučić, muszą się mierzyć z rosnącym niezadowoleniem – by nie powiedzieć wściekłością – w miejscach, w których nawet jeśli zdarzały się wcześniej protesty, miały one charakter pokojowy i nie zakłócały życia tradycyjnie popierającej rząd prowincji.

Powszechne oburzenie wywołały wydarzenia, jakie we wtorek 12 sierpnia miały miejsce w niewielkich miastach Vrbas i Bačka Palanka. W wyniku konfrontacji z siłami popierającymi obóz władzy w Vrbas rannych zostało co najmniej 50 osób. Nie mniej wstrząsający przebieg miały zamieszki, do jakich kilka dni później doszło w Valjevie – jeszcze jednym stosunkowo niewielkim mieście, tym razem w środkowo-zachodniej Serbii. Po początkowo pokojowej demonstracji, część demonstrantów przypuściła atak na lokalne biuro SNS, wybijając w nim okna i wzniecając ogień.

Jak donoszą organizatorzy manifestacji, protestujący na serbskich ulicach często nie wiedzą, czy walczą z policją, czy z paramilitarnymi oddziałami SNS. W mediach społecznościowych mnożą się nagrania, na których widać zorganizowane grupy zamaskowanych młodych mężczyzn, uzbrojonych w pałki, atakujących demonstrantów. Wśród zwolenników SNS ma nie brakować ludzi o ponurych życiorysach i bogatych kartotekach kryminalnych. Niepokój budzi także rosnąca brutalność policji, która coraz częściej stosuje wobec protestujących gaz łzawiący i przemoc fizyczną. Dochodzi także do masowych aresztowań.

Prezydent oskarża

Sytuacja w Serbii zaczęła także przyciągać uwagę międzynarodową. Niemcy, jedno z kluczowych państw wspierających drogę akcesyjną Serbii do Unii Europejskiej, publicznie zażądały wyjaśnień dotyczących przemocy wobec demonstrantów i dziennikarzy. Również Rada Europy i Komisja Europejska domagają się poszanowania prawa do zgromadzeń i wolności słowa, ostrzegając zarazem, że ewentualne niestosowanie się do standardów demokratycznych może doprowadzić do impasu w procesie integracji z Unią Europejską.

Wydaje się, że ostatnia konfrontacja serbskiego społeczeństwa obywatelskiego z obozem władzy osiągnęła punkt, z którego bardzo ciężko będzie powrócić do względnej normalności bez rozpisania nowych wyborów – choć na tym etapie Vučić raz jeszcze jednoznacznie odrzucił taką możliwość i zapowiedział surową reakcję służb porządkowych na kolejne protesty. Jednocześnie kategorycznie zaprzeczył, jakoby rozważał wprowadzenie stanu wyjątkowego.

Na niedawnej konferencji prasowej oskarżył studentów i część obywateli o próbę zniszczenia państwa, przyrównując ich do faszystów i nazistów. Dodał także, że to tylko kwestia dni, zanim ktoś zostanie zabity. Do ostatecznej konfrontacji może dojść we wrześniu i październik, gdy wielu Serbów, w tym studenci, powróci z wakacyjnych podróży do swoich zrewoltowanych już dziś miasteczek i miast. © JULIUSZ PIELICHOWSKI

Słowacy w Wojwodinie: mała społeczność z wielką tradycją

▪ **POŁOŻONA W PÓŁNOCNEJ SERBII WOJWODINA**, ciesząca się statusem okręgu autonomicznego, to region o niezwykłej mozaice narodowościowej. Wśród ponad 20 uznanych grup etnicznych, jedną z najstarszych i najbardziej znaczących mniejszości stanowią Słowacy. Pierwsi słowaccy osadnicy przybyli na te tereny w XVIII w. w czasie kolonizacji południowych ziem monarchii habsburskiej. Cesarzowa Maria Teresa i później cesarz Józef II zachęcali ludność z północnych prowincji do osiedlania się na zniszczonych przez wojny terenach naddunajskich. Słowacy zamieszkali głównie w regionie Bačkiej i Banatu, a największe skupiska Słowaków powstały w miejscowościach takich jak Kovačica, Bački Petrovac, Padina czy Stara Pazova.

▪ **WEDŁUG OSTATNIEGO SPISU LUDNOŚCI** z 2022 r., w Serbii mieszka około 41 tys. Słowaków, z czego ponad 90 proc. w Wojwodinie właśnie. Chociaż liczba ta wykazuje trend spadkowy (jeszcze w 2002 r. było ich ponad 60 tys.), społeczność słowacka wciąż pozostaje aktywna i dobrze zorganizowana. Największym ośrodkiem życia słowackiego w Serbii jest opisywane w artykule miasteczko Bački Petrovac, gdzie funkcjonują liczne instytucje kulturalne, szkoły z językiem słowackim oraz redakcje gazet i czasopism. Bački Petrovac jest również siedzibą Narodowej Rady Mniejszości Słowackiej – organu reprezentującego interesy społeczności na poziomie państwowym. © JP



JAIME SALDARRIAGA / AFP / EAST NEWS

„Marsz Ciszy" po zamachu na senatora Miguela Uribe Turbaya. Kolumbia, 15 czerwca 2025 r.

Polityka karabinów

MARTYNA LESZCZYŃSKA

KOLUMBIA | Po dwóch miesiącach walki o życie zmarł postrzelony w czerwcu Miguel Uribe Turbay – kandydat na prezydenta Kolumbii z ramienia opozycyjnej centroprawicy.

Miguel Uribe Turbay jest czwartym zamordowanym kandydatem na prezydenta w najnowszej historii Kolumbii. Zabójstwa wysoko postawionych i wpływowych osób nie budzą już sensacji w tym rejonie świata. Stały się raczej ponurym elementem lokalnego cyklu przemocy, który wciąż pogłębia traumę społeczeństwa żyjącego w mentalnym stanie wojny. To, w jakim stopniu przemoc przeniknęła latynoską tkankę społeczną, znajduje swoje odbicie również w języku hiszpańskim – istnieje bowiem oddzielne słowo, dzięki któremu można oszczędzić sobie długich objaśnień, zamykając cały ciężar czynu w jednym wyrazie: *magnicidio*. Od dwóch dekad wyraz nie cieszył się w kolumbijskich mediach przesadną popularnością, wrócił jednak z pełną siłą. Pochodzi z łaciny, gdzie *magnus* oznacza „wielki", a przyrostek – *cidio* stworzony jest od czasownika *caedere* (zabijać). *Magnicidio* to zatem dosłownie „zabójstwo wielkiego" – ważnej osoby publicznej, głowy państwa lub innego wysokiego rangą polityka.

WOJNY PABLA | Do poprzednich zamachów na polityków aspirujących do stanowiska głowy państwa dochodziło w latach 80. i 90. XX w. W Kolumbii był to szczytowy okres chaosu politycznego i ulicznego terroru, który zrodził się na przecięciu interesów rosnącego w siłę narkobiznesu, działalności partyzanckich ugrupowań zbrojnych, ekspansji prawicowych struktur paramilitarnych i głęboko skorumpowanych instytucji państwa. Kluczowym momentem był rok 1982, gdy Pablo Escobar – którego znana dziś na cały świat działalność kryminalna nie była jeszcze oficjalnie udowodniona – został posłem w kolumbijskiej Izbie Reprezentantów. Był już ścigany za przemyt kokainy w Stanach Zjednoczonych, ale jako członek Kongresu zyskiwał immunitet polityczny i wpływy, które mogły uchronić go przed ekstradycją.

Rok później plan idealny barona narkotykowego wziął w łeb, gdy ówczesny minister sprawiedliwości Rodrigo Lara Bonilla ujawnił powiązania jego fortuny z handlem kokainą. Po serii publikacji dziennikarza śledczego Guillerma Cano Isazy w gazecie „El Espectador" wybuchł skandal polityczny, który doprowadził do usunięcia Escobara z parlamentu. Ten wypowiedział państwu otwartą wojnę, eliminując swoich największych przeciwników, w tym jego śmiałych demaskatorów. W ciągu zaledwie ośmiu miesięcy zamordowano również trzech różnych kandydatów na urząd prezydencki: Luisa Carlosa Galána, Bernarda Jaramillo i Carlosa Pizarro.

POLITYKA OCALAŁYCH | Żywa nienawiść, która nie gaśnie i jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, skierowana jest często przeciwko tym samym wielkim rodowym nazwiskom, które od wieków sprawują władzę w Kolumbii. Sieroctwo wśród elit politycznych przestało być tragedią jednostki, a stało się dziedziczne. Dość wspomnieć, że aktualnym burmistrzem Bogoty jest syn zamordowanego Luisa Carlosa Galána – Carlos Fernando Galán, który wygrał lokalne ↦

↦ wybory w starciu z synem zuchwałego ministra sprawiedliwości z czasów Escobara, Rodriga Lary Restrepo. Co równie symboliczne, w dniu zaprzysiężenia Gustava Petro na prezydenta Kolumbii szarfę prezydencką założyła mu senatorka María José Pizarro – córka Carlosa Pizarro, dowódcy partyzanckiego ugrupowania M-19 (Ruch 19 Kwietnia), który złożył broń, zawarł pokój z rządem, po czym został zamordowany przez skrajną prawicę. Współczesna scena polityczna w Kolumbii należy więc do „ocaleńców" uwikłanych w splot brudnych, często niewyjaśnionych w satysfakcjonujący sposób aktów przemocy. Choć nazwiska zamachowców są znane, o wiele trudniej uchwycić jest prawdziwych architektów zbrodni – tych, którzy z pieczołowitością wszystko planują i dbają o to, by nie ubrudzić sobie rąk. To oni na tym korzystają.

HISTORIA (NIE)JEDNEJ RODZINY | Miguel Uribe Turbay pochodził z wpływowej rodziny o arabskich korzeniach z terenu dzisiejszego Libanu. Jego matka Diana była dziennikarką wielkiego formatu. Od 1987 r. pełniła funkcję dyrektorki i prezenterki Noticiero Criptón, jednego z najważniejszych programów informacyjnych w kraju. Zwabiona w 1990 r. fałszywym zaproszeniem na ekskluzywny wywiad z El Cura Pérezem – ukrywającym się w górach legendarnym przywódcą lewicowej partyzantki Armii Wyzwolenia Narodowego – została porwana. Przestępcy sterowani przez kartel z Medellín chcieli w ten sposób wymusić na rządzie kolumbijskim rezygnację z ekstradycji ludzi Escobara do USA. Zdaniem kartelu, lepiej było zginąć w Kolumbii, niż gnić w amerykańskich zakładach karnych.

Diana była idealnym „łupem" – nie tylko znaną dziennikarką, ale i córką byłego prezydenta kraju Julia Césara Turbaya Ayala (1978-1982). Jej zniknięcie gwarantowało rozgłos w mediach państwowych i większe szanse na wywarcie presji politycznej. Dziennikarkę przetrzymywano w trudnych warunkach przez niemal pięć miesięcy na farmie Escobara w Antioquii. Podczas nieautoryzowanej operacji jej odbicia doszło do strzelaniny, w wyniku której Diana zmarła w drodze do szpitala.

W BŁĘDNYM KOLE PRZEMOCY | Ten tragiczny rozdział porwań znanych osób w historii kraju opisał parę lat później sam Gabriel García Márquez, poświęcając im dziennikarskie śledztwo wydane w 1996 r. jako „Raport z pewnego porwania". Zaś na jednej z głównych arterii Bogoty stoi dziś upamiętniające postać dziennikarki popiersie.

Zamach na życie Turbaya pokazuje, jak napięta jest atmosfera w kraju, gdzie w przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie.

Niemal w tym samym miejscu, parę przecznic dalej, w 1948 r. zamordowano liberalnego kandydata na prezydenta Jorgego Eliécera Gaitána, zwolennika radykalnych reform, jawiących się jako realne zagrożenie dla establishmentu. To właśnie po jego śmierci kraj wszedł w cykl systemowego przelewu krwi, inicjując okres zwany dzisiaj przez historyków *La Violencia*, czyli „Przemoc". Po zamachu w Bogocie wybuchły masowe zamieszki – tzw. *El Bogotazo* – a trwająca przez kolejną dekadę wojna domowa między zwolennikami zamordowanego polityka i konserwatystami pochłonęła tysiące ofiar. Długoletnia niestabilność, słabość instytucji państwa i brutalizacja życia społecznego miały wpływ na rozwój wydarzeń z lat 80 i 90. XX wieku.

PODZIELONY NARÓD | Mały Miguel stracił więc mamę w wieku czterech lat, pamiętał ją tylko dzięki wspomnieniom innych ludzi. Zainspirowany zaangażowaniem obywatelskim matki, sam podążył jej śladami. Ukończył studia prawnicze, został senatorem i jako faworyt partii Centrum Demokratyczne oficjalnie ogłosił chęć ubiegania się o prezydenturę w 2026 r.

Postrzelony 7 czerwca na wiecu wyborczym przez 14-letniego *sicario*, czyli działającego na zlecenie płatnego zabójcę, 39-letni Miguel Uribe Turbay trafił w ciężkim stanie na oddział intensywnej terapii do kliniki Santa Fe w Bogocie. Gdyby udało się go uratować, stałby się potężnym symbolem narodowym i dał iskierkę nadziei na to, że rozwiązania pokojowe mogą jeszcze zatryumfować nad brutalną polityką karabinów.

Miguel Uribe Turbay był głośnym krytykiem polityki prowadzonej przez prezydenta Gustawa Petro, a jego śmierć pogłębiła polaryzację kolumbijskiego społeczeństwa. Na prośbę rodziny zmarłego prezydent i inni członkowie rządu nie pojawili się na oficjalnych ceremoniach pogrzebowych 12 i 13 sierpnia, co część opinii publicznej odebrała jako kolejny dowód na dezintegrację narodu i symboliczny moment dalszego pogłębiania przepaści między rywalami politycznymi.

Zamach na jego życie pokazuje, jak bardzo napięta jest atmosfera w kraju, gdzie w przyszłym roku planowane są wybory. Rywalizacja na scenie politycznej zaostrza się, a różne grupy interesów walczą o swoje miejsce w hierarchii władzy i przywilejów. Do pierwszej tury wyborów pozostał mniej niż rok (odbędzie się ona 31 maja), a pełna lista tych, którzy zadeklarowali chęć objęcia urzędu w Casa de Nariño, z każdym dniem się wydłuża.

WYBACZCIE MI | Miguel Uribe Turbay był jednym z pięciu prekandydatów wyłonionych z ramienia Centrum Demokratycznego. Zmarłego zastąpi jego ojciec 79-letni Miguel Uribe Londoño, który chce kontynuować pracę syna. Dokładne motywy zbrodni na senatorze wciąż nie są znane, a zleceniodawca zabójstwa pozostaje niezidentyfikowany. Do tej pory zatrzymano pięciu podejrzanych, m.in. osobę, która miała być odpowiedzialna za logistykę zamachu. Wiadomo, że grupa przestępcza odpowiedzialna za przeprowadzenie całej operacji działała za wynagrodzeniem w ramach „kryminalnego outsourcingu", a wykorzystany instrumentalnie nastolatek-zabójca sam jest ofiarą uwikłanego w długą wojnę domową skłóconego narodu.

Jego matka zmarła, ojciec przebywa poza krajem, chłopak mieszkał w biednej dzielnicy na zachodzie stolicy razem ze swoją ciotką. Pod koniec maja został zaproszony do udziału w rządowych programach Instytutu Ochrony Dzieci i Młodzieży realizowanych przez władze Bogoty. Z raportów specjalistów wynikało, że nastolatek miał trudności w nawiązywaniu kontaktów społecznych. Wytrwał w programie dwa miesiące, zrezygnował dobrowolnie. Przy zatrzymaniu krzyczał: „Wybaczcie mi, zrobiłem to dla pieniędzy, dla rodziny". © MARTYNA LESZCZYŃSKA



DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

Król Karol III w wiosce Viscri w południowej Transylwanii. Rumunia, 6 czerwca 2023 r.



PATRYCJA BUKALSKA

Dom Króla został otwarty dla zwiedzających przed kilku laty. Viscri, 2025 r.

Rumuński dom króla

PATRYCJA BUKALSKA Z VISCRI

RUMUNIA | W południowej Transylwanii, w małej wiosce Viscri, Karol III ma wiejski dom. Zachwyciła go tradycyjna kultura i nietknięty cywilizacją krajobraz.

W DRUGIEJ POŁOWIE SIERPNIA SPORA grupa turystów zgromadziła się przed bramą szkockiego zamku Balmoral, by zobaczyć uroczyste powitanie króla Karola III. Maszerowali żołnierze w kiltach, dudziarze grali, był nawet niewielki kuc szetlandzki należący do Królewskiego Pułku Szkocji. Król pogłaskał konika o wdzięcznym imieniu Kapral Cruachan IV, pogawędził chwilę z zebranymi i udał się do swojej rezydencji, gdzie podobnie jak kiedyś jego matka królowa Elżbieta II, co roku spędza koniec lata.

Niemal co roku król Karol przyjeżdża też do Rumunii, gdzie choć na kilka dni zatrzymuje się w jednej ze swoich rumuńskich posiadłości. Są one jednak tak różne od szkockiego zamku w stylu baronialnym, jak tylko można sobie wyobrazić. Otoczenie też jest inne, a i pobyt króla zwykle bardziej dyskretny.

Niebieska chata

Viscri w Transylwanii uważana jest za jedną z najlepiej zachowanych wsi saskich w tym regionie. Sasi, osadnicy głównie z terenów obecnych Niemiec, przybyli tu w XII i XIII wieku. Po niemiecku wieś nazywa się więc Deutsch-Weißkirch, czyli Biały Kościół. Viscri to jej skrócona, rumuńska nazwa. Kościół rzeczywiście jest biały, podobnie jak otaczające go warowne mury, za którymi chronili się kiedyś mieszkańcy w czasie zagrożenia najazdami. Nie tylko kościół, ale i cała Viscri jest wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. To właśnie tam król Karol III kupił w 2006 r. – wtedy jeszcze jako książę Walii – swój pierwszy rumuński dom.

Ze względu na kolor nazywany jest Domem Niebieskim, ale kiedy wjeżdżamy do wsi okazuje się, że budynków w charakterystycznym kolorze ultramaryny lub jasno błękitnym nie brakuje – tak tradycyjnie malowane są budynki nie tylko w Viscri, ale i w całym regionie. Który należy do króla? Wszystkie wyglądają dość niepozornie. Wątpliwości rozwiewa drewniany drogowskaz ustawiony przy parkingu na obrzeżach wsi i kierujący do głównych atrakcji: „Warowny kościół", „Dom Króla", „Centrum wsi".

Główna ulica przecinająca wieś to właściwie szeroka, gruntowa droga. Wzdłuż niej ciągną się charakterystyczne dla tutejszych saskich wsi domy z szeroką, przysadzistą ścianą szczytową, wysokim poddaszem, dachem pokrytym dachówką i zamykaną bramą prowadzącą na podwórze. Drewniane okiennice chronią wnętrze przed upałem. Na trawnikach wzdłuż drogi panoszą się kury i gęsi, przed domami przysiedli mieszkańcy. Do jednego z budynków – niebieskiego z zielonym okiennicami, numer 163 – co chwila ktoś wchodzi i wychodzi. To właśnie Dom Króla. ↦



WIĆEK SOSNA

Warowny kościół z XII wieku jest obok Domu Króla głównym celem odwiedzających Viscri, 2025 r.

Królewski zielnik

↦ Podwórze za bramą przynosi chwilę wytchnienia w letnie, gorące popołudnie. Ściany domu porasta winorośl, w drewnianych donicach czerwienią się pelargonie. Jest sielsko, anielsko, spokojnie. Jedynie kilka tablic informacyjnych opisujących historię właściciela przypomina, że nie jest on zwykłym domownikiem.

Na samym początku rumuńskiej przygody książę Karol zatrzymywał się w tym domu. Z czasem kupił większy w wiosce Valea Zălanului – w tamtym można teraz nawet przenocować w okresie, gdy stoi pusty. Zaś pierwszy dom, ten w Viscri, został kilka lat temu zamieniony w dom otwarty – dzięki temu można zajrzeć do środka i zobaczyć, jak wyglądało dawne saskie gospodarstwo domowe. Są tam też organizowane warsztaty artystyczne i rzemieślnicze oraz wystawy.

W odnowionym budynku dawnej stodoły pokazywane są botaniczne ilustracje z „The Transylvania Florilegium", które król Karol zamówił u ponad 30 artystów z całego świata.

W zbiorze znalazło się ponad 100 roślin z rumuńskich łąk – to i tak drobna ich cząstka, bo kwitnących polnych kwiatów jest tam aż 1200. Zdaniem botanika dr. Johna Akeroyda, który nadzorował kilkuletni projekt, są to już ostatnie nizinne łąki kwietne w Europie. „To otwiera nam drogę do ochrony bioróżnorodności, a książę jest jedną z niewielu osób, które dostrzegły, jak ważny jest ten obszar" – tłumaczył w mediach. Karol III od dawna znany jest z głębokiego zainteresowania ogrodnictwem, ekologią i środowiskiem.

Za stodołą urządzono niewielki ogród warzywny – zajmują się nim dzieci z wioski. To kolejny z projektów prowadzonych w Domu Króla – dzieci uczą się, jak uprawiać rośliny, a przy okazji też punktualności, konsekwentnej pracy i cierpliwości. W ubiegłym roku mali ogrodnicy pojechali w nagrodę na wycieczkę do jednego ze szkockich „domów" króla – posiadłości Dumfries House.

Dla społeczności

– To tylko jeden z przykładów projektu społecznego, który był możliwy dzięki dochodom generowanym przez Dom – podkreśla Raluca Grigore, zarządzająca Domem Króla, z którą jakiś czas później kontaktuję się i pytam o relacje Dom–wieś. – Fundusze przeznaczane są również na utrzymanie czystości na ulicach wioski oraz na zakup i konserwację wiklinowych koszy rozstawionych po wiosce – to alternatywa dla koszy na śmieci – które pomagają zachować urok Viscri.

Wiosną wzdłuż ulic posadzono ponad 100 sadzonek gruszy tradycyjnych odmian, by wioska wyglądała jak kiedyś. Są i inne plany, jak nowe ławki dla mieszkańców i turystów. – Członkowie naszego zespołu pochodzą częściowo z Viscri i okolicznych wiosek. Wszyscy są głęboko zaangażowani w życie lokalnej społeczności – podkreśla Grigore.

Od chwili jego otwarcia dla odwiedzających w 2022 r., do Domu Króla przyjechało z Rumunii i z innych krajów już ponad 75 tysięcy osób. Zwiedzają, a przy okazji zostawiają pieniądze w sklepiku w Domu Króla – można tam kupić piękną miejscową ceramikę, książki, ale też dżemy czy słoiczek miodu, który choć nazwano Highgrove, tak jak nazywa się ulubiona rezydencja króla w Anglii, to pochodzi od pszczół jak najbardziej transylwańskich, zbierających nektar z głogu. Większość zysków jest inwestowana w lokalne projekty.

Na popularności wioski korzysta część mieszkańców, którzy wynajmują kwatery i prowadzą restauracje. Sprzedają wełniane skarpety, ceramikę i sery. Wszystko prowadzone dyskretnie, jak na wioskę UNESCO przystało. Nie ma krzykliwych reklam i szyldów.

Chłopskie tradycje

Książę Walii po raz pierwszy przyjechał do Rumunii w 1998 r. Po wizycie w Sybin poprosił, by pokazać mu jedną z saskich wiosek ze słynnymi warownymi kościołami.

Ufortyfikowane kościoły i przycupnięte przy nich wioski w Transylwanii przetrwały czas średniowiecznych wojen i najazdów, ale w latach 80. XX w. pojawiło się dla nich śmiertelne zagrożenie – rumuński dyktator Nicolae Ceaușescu w ramach akcji „systematyzacji miast i wsi" postanowił je wyburzyć. Gdy wieści o tym dotarły do księcia Karola, nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego i wyraził swe oburzenie publicznie. „Trudno milczeć, gdy tradycje chłopskie i historyczne budynki innego europejskiego społeczeństwa są burzone, by zrobić miejsce dla (...) pseudonowoczesności" – stwierdził. Był kwiecień 1989 r. Za parę miesięcy rządy Ceaușescu upadły. Wsiom znów udało się przetrwać.

Przemiany ustrojowe przyniosły jednak nowe niebezpieczeństwo – potomkowie dawnych Sasów masowo wyjeżdżali do Niemiec. Saskie wioski opustoszały, warowne kościoły i tradycyjna zabudowa niszczały. Książę jednak o nich nie zapomniał i zapewne dlatego, gdy przyjechał do Sybin, pojechał też do pobliskiej wsi Moșna.

Jak powrót do domu

To, co książę Karol zobaczył podczas tamtej pierwszej wizyty – unikalną architekturę, ale też nienaruszony naturalny krajobraz – musiało zrobić na nim olbrzymie wrażenie, bo od tamtej pory wraca do Rumunii niemal co roku. Żeby po-

kazać, że dawne wioski są cenne i warte zachowania, postanowił kupić w jednej z nich swój dom. Wspiera też i współpracuje z rumuńskimi organizacjami i fundacjami, starającymi się zachować tradycyjne rzemiosło, zrównoważone rolnictwo i sposób życia, który jak często się podkreśla, miał się nie zmienić od stuleci. W pewien sposób król odnalazł w Rumunii coś, co jego rodzinna Anglia już utraciła – naturalny krajobraz z całym bogactwem flory, fauny i tradycji. Jak ujął to John Akeroyd w swojej książce „The Historic Countryside of the Saxon Villages of Southern Transylvania": „Tak wyglądała wieś za życia (...) Szekspira i Chaucera setki lat wcześniej".

Na marginesie – Karol III ma też i rodzinne związki z Rumunią. Spokrewniony jest nawet z niesławnym Władem III Palownikiem, będącym inspiracją dla postaci Draculi. Praprababką cioteczną Karola była rumuńska królowa Maria – urodzona w 1875 r. w Kent, brytyjska arystokratka, która poślubiła króla Rumunii Ferdynanda I i zakochała się w tym kraju, jego tradycjach i kulturze.

Głos wioski

Jedną z fundacji, której książę Karol udzielał swego wsparcia, jest MET Mihai Eminescu Trust. Stara się ona od ponad dwudziestu lat łączyć ochronę lokalnego dziedzictwa z ożywieniem transylwańskich wiosek, w tym właśnie Viscri. Jednym z jej głównych projektów jest koncept „Cała Wioska" – chodzi w nim o dostosowanie projektów do potrzeb lokalnych społeczności i o zachęcenie ich do działania. Ostatecznie to przecież ludzie decydują o tym, że wioska pozostaje miejscem żywym i autentycznym, a nie staje się skansenem. „Pusty dom, nawet najpiękniej odnowiony, będzie martwy" – uważa szefowa fundacji, pochodząca z Viscri Caroline Fernolend. MET podkreśla znaczenie zrównoważonej turystyki, w tym odpowiedzialnej turystyki kulturowej, która opiera się na wykorzystaniu lokalnych produktów i gastronomii.

Nadmierna turystyka nie jest jeszcze problemem Viscri, ale biorąc pod uwagę, że w dwustu domach mieszka tam jedynie kilkaset osób, a już przyjeżdża kilkadziesiąt tysięcy zwiedzających rocznie, może się to łatwo zmienić.

– Pomimo rosnącego zainteresowania, Viscri pozostaje małą, tętniącą życiem wioską, w której wciąż pielęgnowany jest tradycyjny sposób życia. Turystyka przyniosła nowe możliwości dla lokalnej społeczności i przyciągnęła młodych ludzi z miast, jednak należy ją starannie równoważyć z zachowaniem autentyczności wioski – uważa Raluca Grigore i podaje przykłady: zbudowano duży parking dla turystów na obrzeżach wioski i jednocześnie ograniczono dostęp dla samochodów i autobusów turystycznych do centrum wsi (ruch samochodowy na progu ich domów był dużym problemem dla mieszkańców). Podkreśla: – Myślę, że to właśnie ta równowaga między ochroną dziedzictwa, życiem społecznym i odpowiedzialną turystyką nadaje Viscri jej nieprzemijający urok i może służyć jako przykład dobrych praktyk dla innych wiosek.

Cień Sasów

Jest już późne popołudnie, gdy docieram do warownego kościoła w Viscri. Nadal jest bardzo gorąco, ale otaczające wejście do niego kolorowe rabaty pełne kwiatów wydają się odporne na upał. Wewnątrz murów dawni mieszkańcy zbudowali pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze. To tam mogli przeczekać kolejny najazd wrogów. Pachnie drewnem, drobinki pyłu unoszą się w prześwietlonym słońcem powietrzu, czas wydaje się płynąć wolniej. Wnętrze kościoła jest proste i jasne, i niewiele się zapewne zmieniło. Razem z otaczającymi ją murami świątynia jest przykładem nie tylko znakomitych umiejętności dawnych saskich budowniczych, ale też ich odwagi i woli przetrwania. Bo osiedli na niespokojnej, mało zaludnionej ziemi, zbudowali na niej swe domy, stworzyli własny samowystarczalny świat. I mieli swój kościół, który dawał im poczucie bezpieczeństwa i który chyba nigdy nie został zdobyty.

– Urok Viscri bierze się od Sasów, którzy ponad siedem wieków temu wybrali to niezwykłe miejsce, kładąc podwaliny pod dzisiejszą wioskę. Dobrze zachowane zabytkowe domy zawdzięczają wiele poświęceniu tych, którzy ich strzegli, w tym królowi Karolowi III – podkreśla Raluca Grigore.

Król był wielokrotnie pytany, co przyciąga go do Rumunii. Mówił o rozległych krajobrazach, bezcennej bioróżnorodność i pradawnych lasach. O kulturze, sztuce, zrównoważonym rolnictwie, bogactwie natury. Kiedyś powiedział też jednak o czymś jeszcze – o ponadczasowości. „Ten krajobraz jest niemal jak z bajek, które czytało się w dzieciństwie" – mówił.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA



FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



TUTYE / ADOBE STOCK

POKUSA DUCHOWEJ WŁADZY

Duchowi przemocowcy działają bezkarnie, bo krzywdę, którą wyrządzają – choć jest ogromna – trudno ująć w paragrafy. Dlatego rozmawiajmy o niej.

MONIKA BIAŁKOWSKA

To stwierdzenie brzmi absurdalnie, choć kilkakrotnie w rozmowach je usłyszałam: „Gdyby przynajmniej mnie zgwałcił, miałabym dokąd iść po pomoc. Wiedziałabym, komu to zgłosić. Kogoś by to zainteresowało".

Przemoc duchowa czy – jak to nazywają amerykańscy specjaliści – duchowe znęcanie się jest tą krzywdą, o której dopiero zaczyna się w Polsce mówić. Na razie ci, którzy zostali nią dotknięci, pozostają niewidzialni. Nie ma prawa, systemu i narzędzi, które pozwalałyby na zidentyfikowanie takich przypadków. Skrzywdzeni milczą, bo nawet gdyby zaczęli mówić, spotka ich co najwyżej współczujące spojrzenie, o ile nie obojętne wzruszenie ramion.

O duchowym znęcaniu się trzeba zacząć mówić, by jak najszybciej mogły powstać i prawo, i systemy pomocy. I by przemoc nie zbierała większego żniwa.

Niewidzialny mechanizm

W rozmowach z ludźmi, którzy doświadczyli duchowej przemocy wewnątrz katolickich wspólnot, powracają jak echo

podobne opowieści. O tym, że „razem jesteśmy w stanie dokonywać niemal cudów, że jesteśmy najlepsi, elita Kościoła". O Biblii, która podawana była poza kontekstem, z dowolnymi interpretacjami, byle tylko uzasadnić wolę lidera. O pracy, która była ciężka i zajmująca wiele godzin, ale przecież „pracujesz dla Jezusa, nie dla pieniędzy". O subtelnym dawaniu do zrozumienia, że samodzielność jest niewskazana. O presji na zerwanie relacji ze środowiskiem rodzinnym czy studenckim, bo przecież nie ma na to czasu. O uzależnieniu finansowym, publicznych karach, nazywaniu wątpliwości i pytań „duchową słabością". O publicznym zawstydzaniu, kontroli, aurze tajemniczości. O faworyzowaniu niektórych członków grupy, dzięki czemu zwiększa się kontrola i wpływ na tych, którzy do grona faworyzowanych pragną dołączyć. O rosnącym w ludziach przekonaniu, że bez wspólnoty i jej lidera nie nadają się do niczego, że poza wspólnotą, „na zewnątrz", nie ma już życia.

To nie jest sytuacja jednostkowa, wypadek przy pracy, jedna, tajemnicza i nieopisana w mediach sprawa jednej wspólnoty. To mechanizm powracający w opowieściach wielu ludzi z większych i mniejszych grup, bardziej i mniej znanych. To mechanizm, który trwa niewidzialny.

Przemoc realna

Przemoc duchowa to nic innego, jak wykorzystanie autorytetu Boga po to, by samemu osiągnąć władzę lub inny wpływ na drugiego człowieka, aby przy pomocy argumentów religijnych kierować cudzym życiem. Pojawić się może wszędzie tam, gdzie relacje nie są symetryczne: gdzie jedna ze stron (jednostka, wspólnota, instytucja) ma autorytet, pozwalający jej interpretować lub powoływać się na „wolę Boga". Człowiek poddany takiej przemocy zostaje pozbawiony lub oduczony możliwości samodzielnego rozeznawania i podejmowania wolnych decyzji. Zaburzony zostaje jego obraz Boga. Bóg może być uważany za mściwego i nieczułego, czyhającego na ludzkie przewinienie.

Skutkiem przemocy duchowej są trudności z zaangażowaniem się we wspólnotę religijną i rozczarowanie, wręcz niechęć do wszystkiego, co związane z wiarą i duchowością. W człowieku pojawiać się może wstyd i poczucie winy, ale też lęk, gniew, trudności w podejmowaniu decyzji, myśli samobójcze. Doświadczony przemocą duchową człowiek może mieć poważne problemy z zaufaniem innym, czasem będzie odczuwał skutki somatyczne: zaburzenia snu, bóle głowy, ataki paniki, wyczerpanie. To wszystko świadczy o tym, że przemoc duchowa jest realna, a nie jedynie symboliczna, a badania pokazują, że pozostawia w człowieku taki sam ślad, jak inne traumy.

Być może najtrudniejsze w kościelnym mówieniu o przemocy duchowej jest przyjęcie do wiadomości faktu, że nie zawsze jest ona intencjonalna. Sprawca przemocy może jej nie zakładać i samemu nie być świadomym, że krzywdzi. Zło łatwo ukrywać się może pod pozorami „wierności doktrynie", „ocalania wspólnoty", „ochrony powołania". Często stoi za tym gorliwość i priorytet dzieła, kiedy tak bardzo ktoś chce robić rzeczy wielkie, że sięga po wszystkie możliwe środki, nie zwracając uwagi na ludzi zniszczonych niejako „przy okazji". Niezależnie od intencji sprawcy, jeśli jego działania są krzywdzące, to trzeba stawiać im tamę – bo skutki dla życia duchowego, psychicznego, a czasem i fizycznego wielu osób mogą być tragiczne.

Autorytet czy guru

Mówiąc o duchowej przemocy, trzeba sobie uświadomić jedno: nikt nie jest bezpieczny, każdy może jej ulec. Owszem, będą ludzie mniej lub bardziej na nią podatni. Jednak manipulanci umiejętnie wykorzystują naturalne mechanizmy psychologiczne, w pułapkę których – umiejętnie skonstruowaną przez manipulanta – przy sprzyjających okolicznościach wpaść może każdy.

Jednym z takich mechanizmów jest potrzeba sensu i autorytetu. Opisana przez Victora Frankla potrzeba sprawia, że łatwo przyjmujemy gotowe odpowiedzi, które podaje nam religijny autorytet: a przyjmujemy je tym chętniej, w im większym kryzysie akurat jesteśmy. Duchowi liderzy szczególnie mocno i łatwo wpływać będą zatem na ludzi w żałobie, przeżywających rozwód, utratę pracy, konflikty w rodzinie. Im większa będzie ich potrzeba sensu i autorytetu, tym chętniej przyjmą oferowaną im „prawdę" – nawet jeśli w jej imię trzeba będzie zrezygnować z przestrzeni własnej wolności.

W grupach religijnych ogromne znaczenie ma autorytet lidera, który przypisuje sobie rangę wręcz boskiego proroka. Jeśli uznany jest za reprezentanta Boga, jeśli uchodzi za pobożnego i rozmodlonego, jeśli powszechnie widoczne jest jego mistyczne rozmodlenie, czasem wręcz towarzyszy mu aura „świętości" – osłabia to krytyczne myślenie. Człowiek przestaje sobie zadawać pytania, ale gotów jest działać nawet niezgodnie z własnym sumieniem, byle tylko pozostać w zgodzie z autorytetem lidera.

Równie duże znaczenie ma ludzka potrzeba przynależności i lęk przed wykluczeniem. To właśnie one pozwalają liderom utrzymać posłuszeństwo grupy i powstrzymać to, co nazywane bywa „szemraniem" – plotki, podejrzenia, ale i krytyczne opinie czy trudne pytania. W obawie przed izolacją i opuszczeniem człowiek gotów jest przemilczeć wiele zła, racjonalizując je jako „drobiazgi" w obliczu wielkiego dzieła.

Przemocowi liderzy wykorzystują również fakt, że ludzie starają się unikać sprzeczności i jeśli już raz zainwestowali swoje emocje, czas i życiową energię w jakieś działanie czy grupę, trudno im przyznać się do błędu i z tego działania wycofać. Będą raczej bronić swoich wcześniejszych wyborów, szukając uzasadnień i usprawiedliwień dla przemocy – i to przyjdzie im łatwiej niż przyznać, że zostali oszukani. Z tego też powodu trwać będą przy destrukcyjnym liderze nawet wówczas, gdy Kościół formalnie zabroni mu nauczania czy nawet suspenduje.

Piękni ludzie

Czasem – i to też trzeba przyznać – duchowi manipulanci są zwyczajnie pociągający, z wieloma talentami, potrafiący przekonująco głosić, udzielający realnego wsparcia. Sprawiają wrażenie pięknych i dobrych ludzi, którzy mają tylko jeden problem: nie potrafią puścić człowieka samego w jego własną drogę, lecz za wszelką cenę i używając religijnych argumentów starają się utrzymać nad nim kontrolę.

Naturalne mechanizmy psychologiczne działają na wszystkich. Dodatkowo jednak człowiek może znaleźć się w sytuacji, która czyni go jeszcze bardziej podatnym na wykorzystanie. Bardziej narażeni z pewnością będą ci, którzy mają definiowane przez psychologię niskie poczucie własnej skuteczności i wysoką potrzebę zależności. Będzie się to wiązało również z zewnątrzsterownością, czyli ↦

↦ naturalnym poddawaniem się władzy i oczekiwaniem, że to ona podejmować będzie decyzje.

Tym, co zwiększa podatność na duchowe wykorzystanie, jest szukanie w religii ukojenia po trudnych doświadczeniach czy traumie, bo w tej sytuacji osłabiony jest krytycyzm wobec autorytetów. W większym niebezpieczeństwie znajdować się będą również osoby z lękowym stylem przywiązania, które żyją w przekonaniu, że muszą zasługiwać na miłość i akceptację. Manipulujący lider z pewnością to wykorzysta, konstruując swoją pułapkę.

Jak rozpoznać przemocowca

Czym się będzie wyróżniał człowiek skłonny do stosowania przemocy duchowej? Czy można go jakoś rozpoznać, zanim będzie za późno i staniemy się jego ofiarami?

Psychiatra Jean-Marie Abgrall twierdzi, że „nie ma guru bez paranoi". To właśnie ten stan ma dawać liderowi/guru poczucie odrębności od reszty ludzkości. Ona daje mu przekonanie, że ma do spełnienia rolę przewodnika lub proroka, że ma do wypełnienia w świecie wyraźną i pochodzącą bezpośrednio od Boga misję. Na to, co Abgrall nazywać będzie „paranoją", składać się zatem będą wybujałe ego, zaburzenia w osądzie rzeczywistości, nieufność i psychiczna sztywność. Przemocowy lider jest przekonany, że wszystko wie i rozumie, a każde jego działanie jest jedynie wypełnianiem woli Bożej. Jest przekonany, że władzę otrzymał bezpośrednio od Boga, że jako jedyny we właściwy sposób interpretuje Biblię i że właśnie przez niego przychodzi zbawienie dla świata. Wybujałe ego wiąże się zwykle z charyzmatyczną osobowością i zdolnościami do uwodzenia (niekoniecznie w kontekście seksualnym) – ale też z nieustępliwością, ambicją i autorytarną potrzebą kontroli, wykluczającą wszelką spontaniczność.

Zaburzenia w ocenie rzeczywistości sprawiają, że przemocowy lider nie dopuszcza żadnej krytyki i nie jest w stanie przyznać się do błędu. Przeciwnie, na każdy swój błąd znajdzie uzasadnienie, nawet jeśli zaprzecza ono logice. Nieufność lidera wiązać się będzie z uznaniem, że wszystko, co w najmniejszym choćby stopniu podważa jego autorytet, stawia jego zachowania pod znakiem zapytania, rzuca na niego cień wątpliwości, jest diabelskim atakiem. Ta sama nieufność spowoduje, że przemocowy lider łatwo będzie wpadać w gniew i złość, a z zazdrości ograniczać będzie kontakty z innymi osobami.

Taki człowiek nie wykazuje empatii, innych ludzi traktuje instrumentalnie, jako narzędzia do osiągania własnych celów. Stawia innym wysokie wymagania, równocześnie usprawiedliwiając własne przywileje. Trudne, jeśli nie niemożliwe, jest przekonanie go do zmiany zdania. Nigdy nie jest do końca zadowolony.

Jeśli w naszym otoczeniu pojawia się człowiek, któremu przypisać można kilka z wymienionych cech, z pewnością zachować należy dużą ostrożność.

Jak się chronić

Człowiek nie umie żyć sam – ale i Kościół nie mógłby istnieć bez wspólnoty. Wspólnoty potrzebują przewodników czy liderów. W klimacie wzajemnej nieufności nie jesteśmy w stanie budować niczego

Miniporadnik ochrony przed duchową przemocą

▪ ZACHOWAJ AUTONOMIĘ SUMIENIA

Pamiętaj, że sumienie jest najwyższą normą moralności (Sobór Watykański II, „Gaudium et spes", 16).

Pytaj, wątp, szukaj odpowiedzi. To nie jest brak wiary, to jej dojrzewanie.

Nie podejmuj ważnych decyzji życiowych wyłącznie na podstawie polecenia lidera duchowego. Rozeznawaj, konsultuj, używaj własnego rozumu, przyglądaj się swoim talentom.

▪ MYŚL KRYTYCZNIE

Zawsze zadawaj pytania: „Czy to, co słyszę, jest zgodne z Ewangelią i nauką Kościoła?".

Porównuj różne źródła – Biblię, Katechizm, dokumenty Kościoła. Czytaj różnych teologów, różne media. Nie opieraj się tylko na jednym głosie.

Uważaj na typowy dla mechanizmów kontroli język „absolutny" (np. „tylko my mamy prawdę", „poza nami nie ma zbawienia").

▪ DBAJ O SWOJE GRANICE I PRAWA

Masz prawo powiedzieć „nie" wobec praktyk, które łamią twoje sumienie lub naruszają poczucie bezpieczeństwa.

Twoje ciało, czas, pieniądze i życie rodzinne należą do ciebie, a nie do wspólnoty ani lidera.

Żaden ksiądz ani lider nie ma prawa wymuszać szczegółowych informacji o twoim życiu intymnym czy prywatnym. Nawet na spowiedzi wyznajesz to, co chcesz wyznać.

▪ DBAJ O WSPARCIE I RELACJE

Zachowaj różnorodność więzi: z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi również spoza środowiska kościelnego. To ochroni cię przed izolacją.

Rozmawiaj o tym, co cię niepokoi, z zaufanymi ludźmi spoza wspólnoty. To może być przyjaciel, psycholog, ksiądz z innego środowiska.

Pamiętaj, że zdrowa wspólnota wspiera twoją wolność, a nie ją ogranicza.

▪ TRZYMAJ SIĘ ZDROWEJ RELIGIJNOŚCI

Szukaj Boga, który daje wolność, a nie strach: „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus" (Ga 5, 1).

Nie daj się zastraszyć groźbą wiecznego potępienia, używaną jako narzędzie wymuszania posłuszeństwa. Bóg nie manipuluje strachem.

Rozwijaj osobistą modlitwę i relację z Bogiem. W ten sposób zmniejszysz zależność od ludzkich autorytetów.

▪ TROSZCZ SIĘ O SWÓJ ROZWÓJ OSOBISTY

Inwestuj w swoją edukację religijną, psychologiczną i społeczną. Czytaj, rozmawiaj, wykup kursy, idź na studia.

Rozwijaj pasje poza wspólnotą religijną.

Ćwicz asertywność – przyda się również w Kościele.

Jeśli doświadczyłeś/aś przemocy duchowej, nie wahaj się szukać pomocy psychoterapeutycznej.

PAMIĘTAJ:

Bóg działa w wolności. Tam, gdzie pojawia się przymus, lęk i poczucie winy wykorzystywane do kontroli, tam kończy się Ewangelia, a zaczyna przemoc duchowa.

© MB

konstruktywnego. Jednocześnie to właśnie wspólnoty religijne są szczególnie narażone na przemoc duchową. Jak w takim razie działać, żeby ochronić siebie, nie rezygnując z relacji?

Tym, co najbardziej chroni przed wykorzystaniem i zniewoleniem duchowym, jest świadomość mechanizmów manipulacji, religijna dojrzałość, krytyczne myślenie oraz umiejętność stawiania granic. Pytania „dlaczego mam to zrobić?", „czy to naprawdę wynika z Ewangelii?" nie są złe, przeciwnie: należy je stawiać jak najczęściej. W zderzeniu z autorytetem ważna jest również wiedza: świadomość różnych nurtów w teologii, orientacja w historii Kościoła, umiejętność rozpoznawania herezji, które zasadniczo, choć w różnych kształtach, powracają wciąż te same.

Dojrzały chrześcijanin powinien wiedzieć, na czym polega autonomia sumienia i jego priorytet, i żadnemu zewnętrznemu autorytetowi nie oddawać nad tym sumieniem władzy. Jednocześnie powinien pozostawać otwarty na inne środowiska, bo to właśnie relacje „na zewnątrz" wspólnoty – rodzinne, przyjacielskie, zawodowe – chronią przed izolacją i zależnością od lidera/guru.

Można by nawet napisać prosty kodeks. Czytaj Ewangelię. Pytaj swojego sumienia. Nie zgadzaj się na nic wbrew sobie. Ucz się odmawiać. Daj sobie czas do namysłu. Nie pozwól budzić w sobie poczucia winy. Śmiej się i obracaj w żart (tego szczególnie nie lubią przemocowi liderzy). Uciekaj. To ostatnie jest szczególnie ważne, bo w ludziach wierzących może pojawiać się pokusa „uzdrowienia" przemocowego lidera czy całej wspólnoty. To się nigdy nie udaje, jedynie ofiar będzie o jedną więcej.

Ostatnią rzeczą, o którą przyjdzie nam zadbać, już nie indywidualnie, ale w całej wspólnocie Kościoła, będzie stworzenie systemu rozpoznawania, zgłaszania i reagowania na przemoc duchową, analogicznego do systemu reagowania na przemoc seksualną. Czy to stanie się szybko? Niestety, trudno tu być dobrym prorokiem.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

Dwa wspomnienia o możnym nuncjuszu

IGNACY DUDKIEWICZ

ZMARLI | Po abp. Józefie Kowalczyku pozostaną dwie opowieści: jego własna i osób przez niego skrzywdzonych.

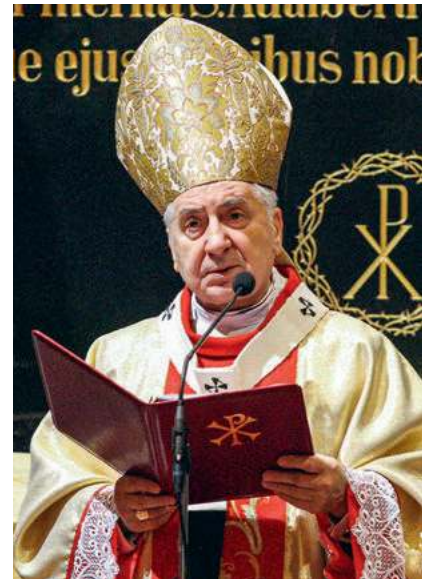
„Ależ to są Himalaje!" – powiedział abp Józef Kowalczyk (na zdjęciu), gdy w 1989 r. Jan Paweł II mianował go nuncjuszem apostolskim w Polsce. To, co papież odebrał jako wyraz skromności, było realną oceną własnych możliwości kandydata. Z perspektywy czasu widać, jak trafną.

Abp Kowalczyk zrobił wiele, by pamięć o nim była jak najlepsza. Konsekwentnie budował swój wizerunek człowieka zasłużonego dla Kościoła i realizatora woli św. Jana Pawła II Wielkiego, nuncjusza, który sprostał „czasom przełomu" (przeprowadził reformę administracyjną polskiego Kościoła, doprowadził do podpisania konkordatu, na bardzo korzystnych dla Kościoła rzymskokatolickiego warunkach), filantropa i patrioty Ziemi Tarnowskiej, z której pochodził (gdzie zbudował Ośrodek Opiekuńczo-Rehabilitacyjny w Jadownikach Mokrych oraz izbę pamięci – teoretycznie Jana Pawła II, praktycznie – samego siebie, bo jest równoważnym bohaterem ekspozycji).

Nuncjuszem był niezwykle długo (1989-2010). Sam mówił, że nie zna drugiego przypadku tak długo urzędującego nuncjusza w jednym, co więcej – własnym kraju.

Tuż przed emeryturą został jeszcze nagrodzony funkcją Prymasa Polski, choć była to nagroda wręczona samemu sobie – owoc wpływów, jakie wciąż miał w Kościele.

Ale jest też druga część pamięci o nim. Pamięć tych, którzy podlegali jego wpływom i władzy, dla których pozostał symbolem wszystkiego, co w polskim Kościele instytucjonalnym najgorsze: kolesiostwa, układów, koterii, załatwiania spraw pokątnie i poza procedurami oraz fatalnej polityki personalnej, której skutki odczuwamy do dziś. To także pamięć o jego roli w dwóch największych aferach w polskim Kościele, które starał się ukrywać: sprawy abp. Stanisława Wielgusa (z całym tematem lustracji w Kościele) i abp. Juliusza Paetza (z całym tematem przestępstw i przemocy seksualnej).



ADAM CIEREŚZKO / PAP

Podczas ceremonii pogrzebowych z pewnością bardziej widoczny będzie wizerunek, który sam kreował: zostanie pochowany z honorami godnymi byłego prymasa i nuncjusza, człowieka, który całe swoje życie poświęcił służbie Kościołowi.

Ale z przestrzeni publicznej nie zniknie pamięć druga – wiernych, duchownych, a nawet części biskupów – o tym, jak wiele szkód wyrządził jako nuncjusz wspólnocie Kościoła w Polsce. Nie zniknie pamięć też tych, którzy decyzjami czy zaniechaniami abp. Józefa Kowalczyka zostali skrzywdzeni. ©



THE NATIONAL GALLERY OF ART W WASZYNGTONIE

Wiliam Blake, Duch Samuela ukazuje się Saulowi, akwarela, ok. 1800 r.

Bramy nieskończoności

ALISON MILBANK, PROFESORKA TEOLOGII I RELIGIOZNAWSTWA:

LITERATURA | Coraz więcej teologów sięga po teksty literackie. Bo w niemal każdym mogą znaleźć temat do teologicznej refleksji.

PIOTR POPIOŁEK: Ile wspólnego ma literatura z teologią?

ALISON MILBANK: Może być formą teologicznej refleksji. Myślę o całej literaturze, nie tylko tzw. religijnej. Napisanie wiersza lub opowiadania jest wyjściem poza to, co bezpośrednie i materialne. Zatem w każdym rodzaju pisania jest jakiś rodzaj elementu religijnego, nawet wbrew sobie. Na przykład, jeśli piszesz powieść *science-fiction* lub *fantasy*, musisz stworzyć świat, który działa, ma system moralny i metafizykę. Więc nawet pisząc tego typu teksty, oddajesz się zagadnieniom metafizycznym.

Właściwie wszystkie opowiadane historie zakładają, że istota ludzka ma głębię, która wykracza poza świat naturalistyczny. Mówił o tym np. Nathan Scott, który w latach 70. zapoczątkował interdyscyplinarne ćwiczenia akademickie na kilku uniwersytetach amerykańskich z teologii i literatury. Czytał różnych autorów i pokazywał, że szukali Boga, czasem w bardzo dziwny sposób.

Czyli nie tylko literatura religijna prowadzi nas do refleksji teologicznej?

W mojej pracy dydaktycznej często wracam do takich tekstów jak „Boska komedia" Dantego, która jest dziełem chrześcijanina o teologicznych zainteresowaniach. Wchodząc w tekst, student musi wejść w ten świat, nadać mu sens i pracować z jego założeniami. Często więc taka refleksja jest odkrywcza, ale działa w oparciu o konkretne teologiczne założenia. Ale przecież nie chodzi o to, by przyjąć punkt widzenia, który jest nam ukazany na kartach książki, ale by zastanowić się nad nim teologicznie.

Dzisiaj coraz więcej brytyjskich teologów uprawia teologię przy pomocy tekstu literackiego. Choćby Graham Ward. Używał tekstów Szekspira, by przemyśleć ideę dobrego życia, życia w mieście i tak dalej. To oczywiście też jest dość łatwe, bo Szekspir pisał „w ramach chrześcijaństwa", wiele osób twierdzi wręcz, że jest „pisarzem chrześcijańskim". Ale Graham robi to również poprzez inne teksty, których używa do refleksji teologicznej.

Literatura religijna bywa też często pretensjonalna i odpychająca w nachalnym promowaniu swej chrześcijańskiej wizji.

Chyba wiem, co masz na myśli. Jest taki rodzaj książek religijnych, które lubię nazywać „religią kucyków Pony". Masz dzieci, więc pewnie wiesz, o co mi chodzi. To sposób mówienia o religii na bardzo ograniczonym poziomie, bez zadawania pytań i zbytniego zagłębiania się. To zwykle literatura kaznodziejska i dość płytka, jak już powiedziałeś. Dlatego że próbuje w pierwszym rzędzie ewangelizować, mówi tylko to, co jej zdaniem powinniśmy usłyszeć.

Oczywiście nie twierdzę, że prawdziwą teologiczną refleksją jest tylko ta, która wszystko kwestionuje. Chodzi raczej o świadomość faktu, że Bóg wymyka się naszym definicjom i naszemu językowi.

To zresztą dziwne, bo właśnie dzieci mają naturalną skłonność do myślenia metafizycznego, zadawania pytań wykraczających poza materialistyczny światopogląd. Nawet w niewierzących rodzinach.

Tak. „Jest świat, więc musi być ktoś, kto go stworzył". Ale to, co powinniśmy im zaoferować, powinno być kuszące, piękne i silne. Dlatego opowiedz im historię naszej wiary. Z mocą, ale bez moralizowania. Musisz sprawić, by opowieści były performatywne i pociągające. Nie dawać dzieciom niczego na tacy. One muszą się tego uczyć.

Dzieci mają też bardzo silne poczucie sprawiedliwości, mocno czują, że coś jest niewłaściwe, albo że mają prawo do czegoś. Lubią porównywać się z innymi – dorosłymi i rodzicami. Myślę, że mają silny kompas moralny, który nie lubi niuansów.

Jakie książki Pani czytała swoim dzieciom?

Gdy były małe, najbardziej lubiły „Wizytę w gospodzie Williama Blake'a. Wiersze dla niewinnych i doświadczonych podróżników". To książka Nancy Willard, amerykańskiej artystki i pisarki, która patrzy na świat oczami malarza i poety Williama Blake'a. Moje dzieci uwielbiały te wiersze o żywych obrazach. Teraz fascynuje się nimi mój wnuk.

Dzieci trzeba zapraszać do tajemnicy i głębi. Pokazywać, że świat jest czymś więcej, niż nam się wydaje. Dorosłym zresztą też. Myślę, że autorzy popularnych czy fantastycznych książek zawsze powinni to robić.

Kościół bywał bardzo krytyczny wobec wielu dzieł literackich.

To prowadzi nas też do Platona i jego narzekań, że edukacja odbywa się przez dzieła Homera, w których bogowie nie prowadzą raczej przykładnego życia. To zawsze był problem z literaturą, którą uważano za demoralizującą.

Kiedyś były indeksy ksiąg zakazanych, a w czasach całkiem nowych choćby awantura o Harry'ego Pottera, który zdaniem księży czy prasy katolickiej miał promować magię.

Gdyby przeczytali Harry'ego Pottera do końca, zdaliby sobie sprawę, że wręcz przeciwnie, że to właśnie krytyka manipulacyjnej idei magii.

Strach przed magią wynika z braku zaufania w moc Wcielenia. To jeden z problemów dzisiejszych mediów – jak szukać głębszej refleksji teologicznej w książkach, których autorzy nie mieli zamiaru moralizować ani mówić o wartościach.

Szukać teologicznego sensu w książce nawet wbrew jej autorowi?

Zajmuję się powieściami o wampirach. Ich autorzy nie muszą być w jakikolwiek sposób zaangażowani religijnie, ale przecież sam temat pokazuje, że na pewnym poziomie protestują przeciwko ograniczeniom naturalistycznego, materialistycznego i ateistycznego rozumienia rzeczywistości. Uważam, że mają z natury wymiar teologiczny, nawet jeśli sami autorzy tego nie dostrzegają.

Dziś szukamy teologii także w kulturze popularnej – w Gwiezdnych Wojnach czy uniwersum Marvela.

Nawet takie prace, jak fotografia „Piss Christ" Andresa Serrano, zdjęcie krucyfiksu w naczyniu z moczem, są bardzo łatwe do teologizowania. Tu mamy Chrystusa odrzuconego, który właśnie w odrzuceniu objawia nam swoją boskość. Zawsze istnieje teologiczna głębia, którą możemy znaleźć dzięki wcieleniu, kenozie. Taka interpretacja jest zresztą zgodna z myślą niektórych starożytnych autorów.

Klemens Aleksandryjski pisał, że Chrystus był brzydki. Chciał Go w ten sposób pokazać w kontraście do światowej, zepsutej idei piękna.

A Augustyn mówił, że Chrystus uległ deformacji dla naszego upiększenia. Stał się brzydki, abyśmy stali się piękni. To wszystko przecież brzmi bardzo nowocześnie.

Których współczesnych autorów ceni Pani z tego powodu najbardziej?

Z angielskich – Susannę Clarke. Napisała niesamowitą powieść, zatytułowaną „Piranesi", która opowiada o człowieku, któremu się wydaje, że żyje w dziwnym rodzaju więzienia. Piranesi, jak wiemy, stworzył serię rycin o więzieniu. Nie chcę zdradzać fabuły, ale oczywiście okazuje się, że za tą wizją uwięzienia jest coś innego. Również pierwsza powieść Clarke – „Jonathan Strange i pan Norrell", mieszanka fantasy i Jane Austen – jest głęboko religijna, choć autorka, gdy ją pisała, wcale religijna nie była.

Inną angielską pisarką, którą lubię, jest Sarah Perry. Też nie jest religijna, ale pisze bardzo kuszący neogotyk. Polecam jej książkę „Melmoth" o otchłani cierpienia i o tym, czy może ono służyć odkupieniu. Bardzo podoba mi się też dzieło Kazuy Ishiguro „Nie opuszczaj ↦

↦ mnie", na podstawie którego nakręcono film. Bohaterowie Ishiguro odkrywają, czym jest bycie człowiekiem, klonem, czym są roboty i sztuczna inteligencja. To prowokuje do naprawdę głębokich, quasi-religijnych pytań o naturę tego, czym jest istota ludzka – dziś moim zdaniem coraz bardziej zagrożona.

A klasycy literatury teologicznej? Tolkien, Lewis czy Chesterton?

Lewis, szczególnie w swojej trylogii science-fiction, skierowanej raczej do dorosłych, w każdym razie bardziej niż kroniki Narnii, stara się zdestabilizować centralność Ziemi i pokazać, że istnieją inne rodzaje życia. Obcy w jego historii nie są poddani grzechowi pierworodnemu, podczas gdy zwykle, w popularnej fantastyce naukowej, mamy skłonność pokazywania, że kosmici są nam wrodzy.

Z kolei Tolkien podąża inną ścieżką – daje nam świat, który ma ukrytą teologię stworzenia. Mam na myśli to, co jest tak wyraźne w jego Silmarillionie – mit stworzenia, bardzo teologiczny, z nieco innym opisem natury zła niż w chrześcijaństwie. Tam zło istnieje jeszcze przed stworzeniem świata. Tolkien jest teologiczny na głębszym poziomie. To jest prawie pogańska wersja Starego Testamentu, która stawia chrześcijaństwo w dobrym świetle.

To nie przypadek, że pierścień zostaje zniszczony 25 marca w kalendarzu Shire, który jest dniem zarówno Zwiastowania, jak i – według Złotej Legendy – Ukrzyżowania. To jakby sugestia, że świat nie może sam się uratować.

Świat Tolkiena jest pełen melancholii. Upadły, chociaż stworzony jako dobry. W tekstach niepublikowanych za jego życia jest dialog elfa z ludzką kobietą, jasnowidzką, opowiadający o naturze śmierci. To czysta teologia. Myślę, że to nie przypadek, że tak dużo chrześcijan przywiązało się do Tolkiena – on oferuje literaturę bez moralizatorstwa. Lewis natomiast moralizuje...

Lewisa łatwiej jest wytłumaczyć dzieciom. Metafory są dość proste i dzieci łatwo je pojmują.

Popatrzmy, jak w bardzo sprytny sposób odtwarza mit Platona o jaskini w „Srebrnym krześle", z Zieloną Panią, która sprowadziła księcia do podziemi, tak że zapomniał swojego imienia, i próbuje go przekonać, że nie ma powierzchni. Jest zauroczony przez czarownicę, która wmawia mu, że Aslan ani Narnia nie istnieją. Zachowuje się jak ludzie w micie Platona, którzy przekonują więźniów, że jaskinia to jedyny świat, jaki istnieje. To ukryty zabieg apologetyczny, ale całkiem sprytny, ponieważ dzieci, czytając tę historię, doskonale wiedzą, że Narnia istnieje – przecież czytały o niej. Wiedzą, że Czarownica kłamie. Lewis pokazuje w ten sposób, że istnieje świat poza tym, który możemy zobaczyć. To przydatne w ukazaniu, że istnieje transcendencja.



UNIVERSITY OF NOTTINGHAM / MATERIAŁ PRASOWY

PROF. ALISON MILBANK jest profesorką teologii i religioznawstwa na Uniwersytecie Nottingham (Wielka Brytania). Jest księdzem anglikańskim, kanonikiem przy katedrze w Southwell. Naukowo zajmuje się teologią w literaturze i kulturze. Razem z mężem Johnem Milbankiem, również teologiem, są członkami ruchu Radykalnej Ortodoksji, zrzeszającego chrześcijańskich teologów i filozofów.

Jak Pani – nie tylko wykładowca uniwersytecki, ale też ksiądz – wykorzystuje literaturę w kaznodziejstwie?

Od czasu do czasu sięgam po literaturę piękną. Pamiętam kazanie ślubne, w którym nawiązałam do sceny z końca powieści Dickensa, gdzie ludzie po ślubie wychodzą do świata. Używam tego w sposób zupełnie naturalny. Nie myślę o tym.

Dużo mówię o poezji. Częściej niż o powieściach. Myślę, że poezja jest bardziej potrzebna i łatwiej ją odnieść do różnych sytuacji.

Poezja jest bardziej otwarta na refleksję teologiczną? Czy może wierni lepiej rozumieją odniesienia do niej?

W poezji język jest bardzo zakrzepły, mocny. Często w kazaniach cytuję tylko kilka wersów wiersza, które nadają głębi temu, co mówię. Myślę, że poezja mocno dziś rezonuje w ludziach.

Choć pewnie niewiele osób ją czyta. To jednak lektura wymagająca.

Wybieram zazwyczaj konkretny obraz albo ideę. Obrazy przemawiają do ludzi. Wystarczy zacytować krótkie fragmenty, które pokazują jakiś obraz albo zabierają ludzi w jakieś miejsce. Albo przenoszą w jakiś stan umysłu.

Czasem pozwalam sobie nawet pójść na skróty. Jest taki ksiądz-poeta, Malcolm Guite, który napisał dużo poezji liturgicznej, np. sonety o różnych świętach i temu podobne rzeczy. Wielu księży go cytuje. Nie jest to wielka poezja, jak T.S. Eliota czy Geoffreya Hilla, ale znajduje głęboki oddźwięk, mocno przemawia do ludzi. Też z niej korzystam.

Czytała Pani list papieża Franciszka na temat literatury i jej roli w formacji religijnej?

Bardzo mi się spodobał. Papież odniósł się do problemu formacji seminarzystów, ja to samo obserwuję u moich studentów. Oni po prostu nie czytają.

A przecież kiedy czytasz wiersz, opowiadanie czy sztukę, musisz się temu tekstowi poddać. Papież mówi, że jesteś zmuszony posłuchać, jak inna osoba widzi świat, musisz w niego wejść. Na przykład w powieściach – czytając je, zdajesz sobie sprawę, że postacie mają głębokie życie wewnętrzne. Inni ludzie ujawniają się wtedy w całej swojej głębi i tajemniczości. Papież w tym liście zacytował słowa Karla Rahnera, że wiersze są bramami do nieskończoności. To prawda.

Ale mówi też, by potraktować poważnie kulturę, w której się żyje. Dzieła literackie są sposobem, by dowiedzieć się, jakie są problemy świata, w którym żyjesz, jakie są wyobrażenia o tym świecie. Takich rzeczy nie dowiesz się i nie doświadczysz, żyjąc w seminarium. I możesz nigdy nie być ich świadomy.

© Rozmawiał PIOTR POPIOŁEK



GM PHOTO IMAGES / ALAMY / B&EW

Kościół Nossa Senhora Do Rosário, zwany „kościołem niewolników". Salvador, stan Bahia, Brazylia

Rachunek za kajdany

MARCIN CHODUŃ

MISJE | Czarnoskórzy Brazylijczycy coraz głośniej pytają o rolę Kościoła w systemie niewolniczym. I domagają się zadośćuczynienia za popełnione winy.

Benedyktyni w Rio de Janeiro mieli dużą farmę, na której niewolnicy uprawiali fasolę, ryż, maniok, hodowali bydło i wytwarzali ceramikę – mówi Vitor Hugo Monteiro Franco, doktor historii na Uniwersytecie Federalnym Fluminense i pracownik naukowy Biblioteki Narodowej. – Mnisi mieli też niewolniczych żeglarzy, którzy pływali po zatoce Guanabara.

Dyskusja na temat udziału i roli Kościoła katolickiego w systemie niewolniczym toczy się w Brazylii od początku lat 80. XX w. Wielu aktywistów, głównie czarnoskórych, zaczęło właśnie wtedy pisać własną historię swojego kraju. Nowej dynamiki debata nabrała jednak w ubiegłym roku. Na kilka dni przed obchodami 50. rocznicy Rewolucji Goździków, która w 1974 r. uwolniła Portugalię od dyktatury, prezydent Marcelo Rebelo de Sousa oznajmił, że jego kraj powinien zrekompensować swoim byłym koloniom kilkuwiekowe niewolnictwo i wyzysk.

W Brazylii na taką deklarację czekano od dekad. Anielle Franco, ministra ds. równości rasowej, stwierdziła, że słowa de Sousy są „owocem wielowiekowej walki czarnych o sprawiedliwość". Głos zabrali wówczas także przedstawiciele rdzennych ludów zamieszkujących Brazylię, domagając się większego zaangażowania Kościoła w dyskusję o niewolnictwie.

Klasztory niewolników

Instytucje katolickie w Brazylii nigdy wprost nie potępiły niewolnictwa. Na dodatek same w nim bezpośrednio uczestniczyły. W wielu klasztorach z epoki kolonialnej można do dziś zobaczyć tzw. *senzala* (domy niewolników), niegdyś zamieszkiwane przez sprowadzanych z Afryki czarnoskórych robotników. Nazywano ich zwykle „kawałkami z Gwinei". Według Sérgio Vasconcelosa, profesora teologii na Katolickim Uniwersytecie Pernambuco, owe „kawałki" były wykorzystywane na różne sposoby. Zdaniem teologa katolickie zakony w Brazylii – benedyktyni, karmelici czy jezuici – były bez wątpienia jednymi z największych posiadaczy niewolników w kraju.

– Zakon benedyktynów posiadał w XIX w. łącznie 4000 niewolników – mówi mi Vitor Franco, autor książki „Niewolnicy religii: rodzina i społeczność w Fazenda São Bento de Iguassú". – Zakonnicy zaczęli nawet inwestować w miejskie posiadłości w Rio de Janeiro, gdzie do budowy wykorzystywali elementy produkowane przez niewolników w należących do nich cegielniach.

By pokazać skalę tego procederu, Franco wyjaśnia, że w samym Rio de Janeiro było ↦

↦ 1200 niewolników, a większość posiadłości w Brazylii miała w tym czasie średnio 16 zniewolonych ludzi.

Przemoc i opieka

Jak traktowano niewolników w brazylijskich klasztorach? Bywało z tym różnie. Jeden z odkrytych przez Vitora Franco dokumentów podaje przykład usunięcia z klasztoru mnicha, który szkolił niewolników na kowali. Powodem była jego „zbytnia surowość". Franco dotarł też do akt sprawy niewolnika, który zmarł po biczowaniu na farmie benedyktynów w Cabo Frio. Odpowiedzialny za to zakonnik został aresztowany i przewieziony do Rio de Janeiro.

Z kolei o. Mauro Fragoso z klasztoru benedyktynów w Rio de Janeiro twierdzi, że niewolnicy mieszkali zwykle w domach tej samej jakości co mnisi, otrzymywali też opiekę medyczną, byli zachęcani do zakładania rodzin i szkoleni w różnych zawodach.

Kościół – pisał o. Fragoso – nakazywał właścicielom ziemskim, by umożliwiali swoim niewolnikom przyjmowanie sakramentów, zezwalali na uczestnictwo we mszy oraz zapewniali dzień odpoczynku. Zazwyczaj to właśnie duchowieństwo reagowało na nadużycia i przemoc, odmawiając udzielania komunii właścicielom niewolników, którzy źle traktowali swoich niewolników.

– Owszem, wyjątki się zdarzały – przyznaje Vitor Franco. – Niektórzy mnisi mieli dobre relacje z niewolnikami i byli przez nich kochani. Ale nie zmienia to faktu, że niewolnictwo jako system zawsze było czymś brutalnym. Badania historyczne dowodzą, że los niewolników żyjących na terenie klasztorów i tych przebywających w świeckich posiadłościach ziemskich zasadniczo niczym się nie różnił.

Darmowa siła

Niewolnicy odgrywali kluczową rolę w brazylijskiej gospodarce. Zdaniem badaczy zajmujących się historią niewolnictwa w Brazylii trudno wskazać zabytek kolonialny w tym kraju (jak zresztą na całej zachodniej półkuli), przy którego budowie nie została użyta darmowa siła robocza. Ina von Binzer, niemiecka pedagog, która mieszkała w Brazylii pod koniec XIX w., pisała: „W tym kraju niewolnicy wytwarzają całe bogactwo tej ziemi. Biały Brazylijczyk po prostu nie pracuje".

Wiele osób uważa, że niewolnictwo w posiadłościach Kościoła katolickiego było „łagodniejsze" czy „bardziej humanitarne" niż w majątkach świeckich. **A to nieprawda.**

System niewolniczy w Brazylii został wprowadzony w 1530 r. – czyli w chwili ustanowienia przez Portugalczyków kolonialnego władztwa w tej części świata – a zniesiony dopiero w 1888 r. (Brazylia zrobiła to jako ostatnia w Ameryce Łacińskiej). W tym czasie na jej teren przetransportowano z Afryki prawie 5 mln ludzi – niemal połowę wszystkich niewolników przewiezionych z Afryki do obu Ameryk.

Rdzenny niewolnik

Tematem współgrającym z rozliczeniami za niewolnictwo jest też udział Kościoła w procesie kolonizacji ludów Amazonii. Była to jedna z istotnych kwestii poruszanych podczas przygotowań do Synodu Amazońskiego w 2019 r. W pewnej mierze było to jedyne forum, na którym omawiano ścieżki, jakimi Kościół powinien podążać, by „odwrócić" proces kolonizacji.

Zdaniem Vitora Franco Kościół katolicki zapewniał filozoficzną podstawę dla zniewolenia rdzennych mieszkańców obu Ameryk, uznając, że taka była po prostu cena ich ewangelizacji. Takie podejście niewątpliwie pomogło portugalskim kolonizatorom zlikwidować rdzenne społeczności i podbić ich ziemie. Kościół jest też oskarżany o promowanie przymusowego nawracania większości z amazońskich ludów i niszczenie ich tradycyjnej kultury w procesie katechizacji.

Chociaż niektóre kongregacje początkowo walczyły o utrzymanie rdzennej ludności w swoich misjach, chroniąc ją przed handlarzami niewolników (na przykład jezuici, co pokazano w słynnym filmie „Misja" z 1986 r.), to jednak wiele zakonów w późniejszym okresie zniewalało rdzennych mieszkańców i zmuszało do pracy we własnych gospodarstwach. Ich los różnił się od losu czarnoskórych niewolników w znikomym stopniu.

Czas zapłaty

A jak jest dzisiaj?

Vitor Franco uważa, że Kościół katolicki w Brazylii nie tylko wciąż nie uznał w pełni swojej odpowiedzialności za współuczestnictwo w systemie niewolniczym, ale nawet nie zajął w ogóle oficjalnego stanowiska w tej sprawie.

– Często spotykamy się z protekcjonalnym podejściem do przeszłości, wielu przedstawicieli duchowieństwa i wiernych nadal uważa, że niewolnictwo w posiadłościach Kościoła katolickiego było „łagodniejsze" czy „bardziej humanitarne" niż w majątkach świeckich – mówi historyk. – Pojawiają się też głosy, które w ogóle odrzucają dyskusję na ten temat. Dlaczego? Bo to, ich zdaniem, dawne historie, których nie ma sensu dzisiaj roztrząsać. Zdarza się, że duchowni i wierni postrzegają prace naukowców na tym polu jako obrazę ich wiary.

Jednym z najbardziej aktywnych brazylijskich duchownych w debacie nad udziałem Kościoła w systemie niewolniczym jest o. David Raimundo Santos, franciszkanin, wieloletni działacz na rzecz praw czarnoskórych. Uważa on, że zarówno portugalski, jak i brazylijski Kościół nie chcą włączyć się w proces uznawania błędów przeszłości, który toczy się już w wielu miejscach na świecie. Co gorsza, winy Kościoła katolickiego wobec czarnoskórej ludności w Brazylii wciąż rosną.

– Ślepota Kościoła dotycząca jego roli w systemie niewolniczym jest równie poważna jak fakt, że katolickie szkoły i uniwersytety w naszym kraju mają jedynie 2 proc. studentów pochodzenia afrykańskiego z pełnym stypendium – mówi zakonnik. I dodaje, że Kościół katolicki w Brazylii powinien podjąć konkretne działania, by wynagrodzić wyrządzone krzywdy. Mogłoby się to dokonać w dwóch wymiarach: poprzez usługi oferowane afrykańskim Brazylijczykom, zwłaszcza w obszarze edukacji, oraz przez bardziej proporcjonalny podział instytucjonalnych stanowisk między białymi i czarnymi duchownymi.

Vitor Franco dodaje: – Nie chodzi o to, by Kościół katolicki uznał swój udział w systemie niewolnictwa, bo to zostało już udowodnione i pozostaje poza sporem. Dziś domagamy się od niego po prostu zadośćuczynienia za winy.

© MARCIN CHODUŃ

O. WACŁAW

Oszajca:
Czyste sumienie



„Rzeczywistość, do której otrzymaliście dostęp, nie jest dotykalna. To nie tamten ogień płonący, gęsty obłok i wicher, dźwięk trąby i grzmiące słowa. Ci, którzy to słyszeli, prosili Boga, aby do nich nie mówił (...). Wy natomiast otrzymaliście dostęp do (...) Boga żywego (...) na zgromadzenie pierworodnych, do Jezusa, pośrednika Nowego Przymierza” – głosi List do Hebrajczyków. Tenże pośrednik, umierając, zostawił nam w testamencie swój skarb, „zgromadzenie”, gromadkę przyjaciół, którzy pozostali Mu wierni na śmierć i na życie. To znaczy, że będzie On z nimi „przez wszystkie dni, aż do końca czasu”. Zapamiętali, że „W dniach swego życia w ciele Jezus z wielkim wołaniem i ze łzami zanosił błagania oraz usilne prośby do Tego, który mógł Go wybawić od śmierci, i ze względu na pobożność został wysłuchany”, co obecnie również, tworzącym dzisiejsze „zgromadzenie świętych”, czyli Kościół, pozwala widzieć śmierć jako wydarzenie najściślej związane z życiem. Tego sposobu patrzenia na los „synów ludzkich” nie możemy się wyzbyć, zwłaszcza gdy znowu wspominamy kolejną rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej.

Nie spadła ona na naszych ojców znienacka, a rozpoczęli ją politycy wybrani demokratycznie, ale już „w atmosferze terroru”, z poparciem ponad 90 proc. przy 8 proc. głosów nieważnych. Ci obdarowani mocnym mandatem wyborców zaczęli natychmiast „zbawiać świat” – w co uwierzyło również sporo chrześcijan – od pozbycia się „ubogich, ułomnych, kulawych i niewidomych”, czyli tych, których jako „pasterze ludu” powinni byli otoczyć szczególną troską.

Pamiętając o tym, nie możemy nie przyjąć do wiadomości, że biorąc lub nie biorąc udziału w wyborach, zawsze bierzemy odpowiedzialność za tych, którym władzę powierzamy. Jeśli damy się okłamać i pójdziemy ręka w rękę ze złoczyńcami, przegramy życie. Nie mnie, grzesznikowi, przesądzać o tym, co z winnymi wojny stanie się po ich śmierci. Ale nie sposób nie widzieć, że piekło zaczyna się tu, na ziemi, w ludziach o czystych sumieniach. Te prawie 8 proc. sprawiedliwych, którzy nie głosowali zgodnie z nakazem: „Jeden Lud, jeden Wódz, jedno »Tak«”, zagłosowało, jak się w krótce miało okazać, nie tylko przeciw śmierci milionów, ale za życiem, a więc za Bogiem. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Jefte i Bóg



Liturgia niedawno zadała nam trudne spotkanie z sędzią Izraela o imieniu Jefte (Sdz 11, 29-39a). W zamian za zwycięstwo nad Ammonitami, złożył on Bogu w ofierze jedyne dziecko – córkę. Zapyta ktoś: Czy można złożyć Bogu większą ofiarę? Biblijna odpowiedź brzmi: Tak! Udziela jej prorok Micheasz: „Z czym stanę przed Panem i pokłonię się Bogu wysokiemu? (...) Czy trzeba, bym wydał pierworodnego mego za mój występek, owoc łona mego za grzech mojej duszy? Powiedziano ci, człowiecze, co jest dobre. I czegoż żąda Pan od ciebie, jeśli nie pełnienia sprawiedliwości, umiłowania życzliwości i pokornego obcowania z Bogiem twoim?” (Mi 6, 6-8). Oto dary, których pożąda Bóg: sprawiedliwość, życzliwość i pokora w relacji z Nim. Bóg nie żądał od Jeftego życia jego córki! Nie dał też Jeftemu zwycięstwa nad Ammonitami w zamian za śmierć jego dziecka. Ta ofiara była bluźnierstwem. Od czasów Abrahama każdy Żyd winien był to wiedzieć. Boga trudno jest obrazić czymś bardziej niż kontraktowo-kupiecką manipulacją typu „daję, żebyś dał”. On zawsze daje za darmo. I zawsze jako pierwszy.

Liturgia wprowadza Jeftego słowami: „Duch Pana był nad Jeftem”. Tu nasze nogi czują, że grzęzną... Jak to? Duch Boży był z nim wtedy, gdy wypełniał tak straszny ślub? Oczywiście, że nie wtedy. Poczytajcie wcześniejszą historię Jeftego. Jego matką była prostytutka. Jego bracia poniżali go z tego powodu przy każdej okazji, aż wreszcie... wyrzucili go z domu i wydziedziczyli. Kiedy jednak zaczęli im zagrażać Ammonici, bracia odnaleźli go w dalekim „kraju Tob”, i poprosili, by wrócił i podjął walkę z wrogiem. Był bowiem „walecznym wojownikiem” (Lb 11, 1-6). Dla o wiele mniejszych powodów zrywamy nieraz więzi – również z Ludem Boga – nie wyobrażając sobie powrotu. Ale Jefte wrócił. Wybaczył. Podjął walkę za tych, którzy go sponiewierali. To było działanie Ducha!

Historia Jeftego pokazuje, jak blisko w naszym życiu od prawdziwie Bożego heroizmu do postaw i działań niemających z Bogiem nic wspólnego. Nutę nadziei przynosi List do Hebrajczyków, który wymienia Jeftego wśród bohaterów wiary – między Gedeonem, Barakiem, Samsonem, Dawidem i Samuelem (Hbr 11, 32nn). Bóg odniósł więc ostateczne zwycięstwo – nie tylko dla Jeftego (z Ammonitami), ale również w nim samym. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

CZARNY WRZESIEŃ SULEJOWA

To jedna z pierwszych wojennych zbrodni hitlerowskich Niemiec: niewielkie miasto nad Pilicą zostało niemal całkowicie zniszczone.

GRZEGORZ ŁUBCZYK



ARCHIWUM JANA I TOMASZA MILLERÓW

Rynek w Sulejowe przed bombardowaniem, 1939 r.

Czwarty, piąty i szósty września 1939 r. to najczarniejsze dni w osiemsetletnich dziejach Sulejowa. Elitarne eskadry niemieckiego lotnictwa systematycznie, dzień po dniu, trzema seryjnymi nalotami zrównały wtedy z ziemią bezbronne miasto. Strzelcy pokładowi Luftwaffe polowali na kryjących się i uciekających mieszkańców. Zginęło ponad 700 osób, wiele było rannych, a niemal 80 procent domów i budynków użyteczności publicznej legło w gruzach.

Zanim zniszczyły go bomby, Sulejów – miasto założone przez cystersów jeszcze w XII wieku – przeżywał swoje najlepsze lata. W 1927 r. przywrócono mu prawa miejskie, utracone w 1870 r. W okresie międzywojennym działały tam cztery przemysłowe piece wapienne, kilkanaście ziemnych, jedenaście kamieniołomów, pięć tartaków, zakłady spożywcze i odzieżowe oraz lokalna elektrownia. Na początku 1939 r. populacja Sulejowa powiększyła się o blisko czterystu Żydów wypędzonych z Niemiec, a w chwili wybuchu wojny mieszkało w nim 7500 osób, w tym 5037 Polaków, 2352 Żydów i 111 Niemców.

Tony bomb

Pierwsze bomby spadły na Sulejów 4 września. W mieście przebywało wówczas aż około ośmiu tysięcy osób, bo przybyło kilkuset uciekinierów wojennych z miejscowości w zachodniej Polsce oraz ze zburzonego 1 września Wielunia. I choć nie było tu żadnych umocnień obronnych, nie stacjonował i nie znajdował się jakikolwiek oddział wojskowy, 27 samolotów z czarnymi krzyżami trzykrotnie, mniej więcej co kwadrans, zrzucało bomby burzące i zapalające. Łącznie 249 sztuk o wadze 83 ton. Z badań polskich historyków, archiwistów Łodzi i Piotrkowa oraz z raportów niemieckich wiadomo, że zbrodniczych nalotów dokonały 76., 2. i 77. pułk 4 Floty Powietrznej Luftwaffe, dowodzone przez kapitana Waltera Seigela, majora Oskara Dinorta i kapitana Clemensa grafa von Schonborn-Wiesentheida. Do ataków użyto bombowce Junkers Ju-87 B, na-

zywane „Stukasami", które osłaniały myśliwce typu Messerschmitt Bf 109D. Za całość tej zbrodniczej akcji odpowiadał pułkownik Baier.

Major Dinort, jeden ze sprawców masakry Sulejowa, następująco „usprawiedliwił" bombardowanie: „Przed czternastoma dniami obrzuciliśmy razem z inną grupą samolotów »Stuka« miasteczko to bombami. Było ono wówczas zajęte i bronione przez polskie oddziały elitarne tak, że nasza piechota stanęła tam w miejscu i nie mogła ruszyć naprzód. Nalot trwał zaledwie 3 minuty".

Łamiąc konwencje

Prawdą w tym raporcie jest jedynie to, że rejon Sulejowa i Piotrkowa Trybunalskiego znajdował się na drodze do Warszawy 10. armii niemieckiej, dowodzonej przez gen. Waltera von Reichenaua. Tymczasem broniąca tego obszaru Grupa Operacyjna WP „Piotrków" pod dowództwem gen. Wiktora Thommée, wchodząca w skład armii „Łódź", rozlokowana była kilkanaście kilometrów przed Piotrkowem między Rozprzą a Szczercowem, a więc 20-25 km od Sulejowa. Jakim więc cudem „polskie oddziały elitarne" broniły tego miasta?

Dowódcy niemieckiej armii dobrze wiedzieli, że nie wolno atakować ani bombardować miejscowości, które nie są bronione przez wojsko, a ludność cywilna jest nietykalna. Pierwsze dni wojny dowiodły jednak, że nazistowskie Niemcy za nic mają normy prawa międzynarodowego i zapisy konwencji haskiej i genewskiej. Tylko w południowej części Ziemi Łódzkiej – poza Sulejowem – lotnicy Luftwaffe dokonali wielkich zniszczeń również w kilku innych miejscowościach, m.in. w Kamieńsku (naloty 2 i 3 września, 68 zabitych, 80 proc. zniszczonej zabudowy) i Piotrkowie Trybunalskim (naloty od 1 do 5 września, 150 śmiertelnych ofiar, 200 budynków zrównanych z ziemią).

Nie potrafię wycisnąć łzy

Tragedię bezbronnego Sulejowa w czwartym dniu wojny, w ów czarny poniedziałek, najlepiej oddają relacje świadków.

Wacław Domaradzki: „Około godziny osiemnastej pierwszy raz zauważyłem nadlatujące samoloty od zachodu. Nad Pilicą obniżyły one lot i zaczęły zrzucać bomby. Kilka minut później wróciły znowu i zrzuciły następną serię bomb. Za dziesięć minut nadleciała znowu eskadra samolotów, które po raz trzeci bombardowały miasto (...). Gdy biegłem przez ulice, potykałem się o wielu zabitych. Ludzie strasznie krzyczeli, wzywali pomocy. Domy zmieniały się w moich oczach w gruzy. Wiele z nich płonęło".

Kazimiera Musiałowicz: „Na drodze pełno było trupów, które koszmarnie wyglądały w czerwonym blasku pożarów. Potykaliśmy się o rozszarpane szczątki ludzkie, których widok jeżył włosy na głowie. Na szosie leżały wywrócone wozy, zabite konie i wszędzie trupy ludzkie zastygłe w okropnym przerażeniu. W ustach mam sucho, oczy pieką i nie potrafię wycisnąć łzy nawet na widok zabitej matki z niemowlęciem na piersi. Nad tym straszliwym pobojowiskiem słychać niemilknący na chwilę jęk, wołanie o pomoc, trzask zawalających się domów, morze ognia".

Władysław Kieruzal z urzędu miasta: „Gdy wyszedłem na ulicę, ujrzałem miasto w płomieniach (...). Ludzie palili się żywcem pod gruzami domów. Na ulicy Krakowskiej usłyszałem wołanie mężczyzny bez nóg, aby go dobić. Widziałem na ulicach masę zabitych. Jeszcze wieczorem wydałem zarządzenie, aby zbierać z ulic zwłoki".

Nalot za nalotem

Jeszcze tego samego dnia wieczorem i w nocy znaczna część sulejowian skryła się w okolicznych lasach lub uciekła w kierunku Opoczna i Radomia. Wiele domów wciąż płonęło, gdy dodatkowy chaos powstał na ocalałym moście na Pilicy, przez który w pośpiechu i bezładzie – oby dalej, na wschód – sunęły tłumy uchodźców z Wielunia, Piotrkowa, Radomska, Bełchatowa, a nawet ze Śląska. Jednocześnie wśród ruin rozgrywały się wręcz dantejskie sceny. Wielu z tych, którzy przeżyli i jednak zostali w mieście, ruszyło na ratunek sąsiadom i znajomym.

Jednym z nich był proboszcz miejscowej parafii ks. Roman Borowski, który udzielał namaszczenia konającym. Z relacji Heleny Szczęsnej wynika też, że uratował on przed śmiertelnym poparzeniem kilku Żydów, ściągając z modlących się płonące szaty rytualne. Z kolei felczer Władysław Gajda ruszył z fachową pomocą rannym, lecz często niewiele mógł zrobić bez zastrzyków przeciwtężcowych i innych niezbędnych leków z apteki, którą bomba zamieniła w wielki lej.

Gdy następnego dnia, 5 września, wielu mieszkańców wróciło do miasta w nadziei, że już najgorsze za nimi, Luftwaffe wznowiło bombardowania, ponawiając je 6 września, po raz trzeci! Gdy z 6 na 7 września pierwsze oddziały okupanta wkroczyły do Sulejowa, zamienionego w wielkie rumowisko, żołnierze Wehrmachtu dodatkowo zaczęli podpalać domy, na które nie spadły bomby.

Oni wszyscy nie żyją

Efekt trzydniowych nalotów zrobił wielkie wrażenie również na oprawcach. Jeden z nich, mjr Oskar Dinort, tak zrelacjonował „wizytę" w miejscu, które dwa tygodnie wcześniej oglądał przez okienko bombowca:

„Jesteśmy w Sulejowie. Nie, tego nie da się opisać, tzn. działania naszej broni, a nawet fotografie dają tylko słabe wyobrażenie o tym, co my ujrzeliśmy. Dom przy domu zniszczony aż do fundamentów, dachy porozrywane, półpiętra rozbite, ulice podziurawione przez metrowe leje. Domy leżą jak wypatroszone zwierzęta (...) Przechodzimy milcząco przez milczące miasto. Z mieszkańców nie widać prawie nikogo. Tylko czasami przebiega jakaś postać i znika jak spłoszone zwierzę. Tylko kilka kobiet pozostaje na środku drogi i spogląda na nas z wyrazami nienawiści na twarzach, a jedna z nich wykrzykuje ↦

W Sulejowie w latach niemieckiej okupacji:

- **Rozstrzelano 46 mieszkańców i 22 osoby z gminy Sulejów. Większość za rzekome naruszenie niemieckich rozporządzeń lub podejrzenie o udział w ruchu oporu, kilkoro zaś za pomoc i współpracę z partyzantami.**
- **„Łapanki" miały miejsce przeważnie w środę, dzień targowy lub w niedzielę, gdy wierni wychodzili z kościoła. Po kilku miesiącach brutalnych przesłuchań część zatrzymanych zwalniano, część wysyłano na roboty do Niemiec, a niepokornych rozstrzeliwano.**
- **Tylko do KL Auschwitz wywieziono 151 sulejowian, z których przeżyła połowa – 78 osób. Wiele osób trafiło też do innych obozów koncentracyjnych, ale brak dokładnych danych.**





ARCHIWUM JANA I TOMASZA MILLERÓW x2

Zniszczona przez bombardowanie zabudowa rynku w Sulejowie

↦ przeraźliwe złorzeczenia za nami (...). Wszystko, wszystko jest strzaskane! Jedynie most pozostał cały (...). W domu na rynku widzimy starego człowieka. Jest on zajęty kleceniem oszalowania z desek na ruinach, prawdopodobnie chwilowego schronienia. Przystajemy i obserwujemy go. On nie przerywa sobie roboty. Zbliżamy się, a tłumacz pyta go z mego polecenia: »Czy możemy panu pomóc?«. On podnosi wzrok i potrząsa głową. »Czy jest pan sam?« Tak. »Czy nie posiada pan rodziny?« – Oni wszyscy nie żyją".

Dwa tygodnie pogrzebów

Z akt powiatowego Archiwum Państwowego w Piotrkowie Trybunalskim wynika, że lotnicy Luftwaffe zniszczyli w Sulejowie: 491 domów mieszkalnych, 481 budynków gospodarczych, całe śródmieście z przyległymi ulicami, większość obiektów użyteczności publicznej, w tym m.in. nowoczesny budynek szkolny, siedzibę magistratu, synagogę, bibliotekę, elektrownię, łaźnię miejską, rzeźnię oraz zakłady przemysłowe i usługowe w 60 procentach. Szkody wyceniono na około 18,5 mln złotych według cen z 1939 r.

Nie mają natomiast żadnej ceny straty w ludziach. Większość ofiar niemieckich bombardowań spoczęła w zbiorowych mogiłach. Pochówki trwały dwa tygodnie. Zginęło około 750 osób, w tym 350 sulejowskich Żydów i 57 Żydów-uciekinierów z Niemiec. To właśnie ludność żydowska poniosła w Sulejowie największe straty (aż 59 proc. zabitych). Dane te nie obejmują wielu mieszkańców, zmarłych później z powodu odniesionych ran.

Pod okupacją

Zaraz po licznych pogrzebach katolickich i żydowskich pochówkach, mimo ogromnej traumy sulejowianie zabrali się do odgruzowywania i odbudowy domów. Nie był to jednak koniec ich gehenny. Szczególnym okrucieństwem zapisali się niemieccy żandarmi z psychopatycznym trzydziestoparoletnim komendantem Gierischem. Gdy w 1940 r. przeprowadzono akcję aresztowań w środowiskach inteligenckich, tylko w Sulejowie aresztowano 108 osób. W tym też czasie na terenie przemysłowego pieca wapiennego „Wiktor" urządzono obóz-getto, w którym zamknięto sulejowskich Żydów. Później – poprzez getto w Piotrkowie – trafili oni do różnych obozów koncentracyjnych, w większości – około 2 tysięcy – do KL Treblinka.

Na początku 1940 r. sulejowianie podjęli działalność konspiracyjną. Po kilku miesiącach miejscowy oddział ZWZ liczył 62 osoby. Niestety, jeden z werbujących ochotników, dowódca kompanii Stefan Pietrusiński okazał się niemieckim agentem. Po aresztowaniu wszystkich zesłano do obozów koncentracyjnych. Oddział odtworzono, na początku 1944 r. liczył 182 żołnierzy Armii Krajowej [Związek Walki Zbrojnej został przemianowany na Armię Krajową w 1942 r. – red.]. Do jego najbardziej aktywnych członków należeli dwaj miejscowi lekarze: dr Bolesław Kwapiński i dr Mieczysław Kubik. Zajmowali się rannymi żołnierzami podziemia, okolicznym partyzantom przekazywali środki opatrunkowe i leki. Trzej sulejowscy księża: Alojzy Gburczyk, Teofil Grzymowicz i Antoni Misiórski pospieszyli z pomocą mieszkańcom miasta w czasie bombardowań, ale i później aktywnie wspierali podziemie. Wszyscy trafili do Dachau, dwóch pierwszych rozstrzelano, trzeci w obozie zmarł.

Sulejowianie nie zapominają o tragedii swojego miasta z września 1939 r. Co roku uroczyście upamiętniają ofiary bombardowań. © GRZEGORZ ŁUBCZYK

Korzystałem z książki K. Myszkowskiej „Sulejów historyczny" i broszury K. Bojarczuka i P. Wąsa „Dzieje Sulejowa nad Pilicą 1145–2015". Relacje żołnierzy niemieckich pochodzą z publikacji „Unsere Flieger über Polen. Vier Frontoffizziere berichten. Eingenfuhrt und betretut vom General der Flieger Kesselring". Dziękuję Tomaszowi Millerowi za udostępnienie zdjęć Sulejowa z lat wojny na potrzeby tego artykułu.

Autor (ur. 1946) jest dziennikarzem, pisarzem i dyplomatą. Jest autorem wielu książek i filmów dokumentalnych o tematyce polsko-węgierskiej. Pochodzi z Sulejowa.

ELIZA

Kącka: *Wolę straszyć tutaj*



Rynek w Przemyślu. Siadam za plecami Szwejka. Przy pomniku dzieci z psami, małe kłębowisko. Ratlerkowaty wskoczył mi na kolana. „Pestka! Złaź!”. Ja, że nie szkodzi. Starsza z ławki sąsiedniej: „Pani obca, niech nie liberyzuje”. Do ojca: „Na msze z psami chodzicie”. Obruszył się: „Zostawiamy pod kościołem”. „Święta ziemia. A psy wyją”. „Wyją?!”. „O, ten diabeł wyje” – wskazuje na ratlerka. „?!!”. „Przy Podniesieniu. Słyszałam”. „Czepia się pani”. „Swoje wiem. Bies wyje na święte”. „Pies, nie bies”. Mały z lodem: „A tata mówi, że pani jest czarownica”. „Co?!”. „I śpi na cmentarzu”. „A!”. „I pani zęby na noc wychodzą”. Starsza: „Ludzie, ludzie!”. „I pani koty je”. „Jem?! Ja karmię!”. „Bo pani lubi tłuste”. Starsza: „Uspokójcie tego dzieciaka!”. Wskazuje na mnie: „Taka potem w Polskę pojedzie i opowie, że tu koty jedzą”. Mały na spokoju: „Pani tylko je”.

Dojeżdżamy do Rzeszowa. A w Rzeszowie dosiada się staruszek. „Nie przestawia pani torby, ja tu na chwilę, na Jarosław”. Uśmiecham się. „Pani smutna jest”. „Nie, trochę zmęczona”. Zbystrzał: „Onienie, nie trzeba tak. Moja Elunia mi tak mówiła, ja nie rozpoznałem. Nie można”. Uspokajam. „Ja prosty chłopak jestem, pogodny. Mnie się zdaje, smutek można zrzucić”. „A różnie”. „Pani jest z innego świata, pokolenia. Ja tu Elę, żonę moją, przywiozłem. Ona była utalentowana, wie pani”. „Aha?”. „Chemiczka. Mogłaby iść w naukę. A ja się uparłem na miłość”. „Hm, to dużo bardzo”. „Ale nie wszystko. Odciągnąłem ją, przywiozłem tu. Może by ją inny kochał, chemik, naukowiec”. Milczymy. „Łańcut. Tu żeśmy najpierw mieszkali. Potem Jarosław. Miała pewność, że ja za nią zawsze”. Uśmiechamy się. „Przepraszam, panią nudzę”. Protestuję. „Ale dziś jest rocznica. Moja siostra mszę zamówiła. Z wątpliwością, bo żona odmówiła leczenia”. „Uhm”. „Ja dopiero wtedy, stary idiota, zobaczyłem, że zrobiłem jej krzywdę”. „Niech pan tego...”. „Nienie. Ja nie będę smutny. Mnie się to nie należy”. „?”. „Ja kiedyś nie wiedziałem, bo pogodny jestem, że na świecie jest tyle smutku. Po jej śmierci... Wszystko mnie zaczęło boleć raptem, wszystkie nieszczęścia”. „Uhm”. „Ja tam w porównaniu szczęściarz jestem”. Wysiadł, pomachał mi serdecznie.

Autobus 141, wtaczam się z torbą na kółkach. Obok, w pakamerze siedzeniowej, dziadkowie z wnuczką. Mała na cały głos: „Ale skąd wiesz?!”. Babcia: „Pan Bóg wszystkich kocha”. „Mnie też?”. „Jesteś Bożym dzieckiem”. Mała: „A dziadka?”. „Mniej”. Dziadek: „O mój Boże”. Do babci: „Rozpuszczasz ją, to się drze”. Babcia: „No, to przestanie. Pan Bóg tego nie lubi”. Mała: „A co lubi?”. Babcia: „Żeby było po bożemu”. „Jak?”. „Pobożnie”. Mała: „Nie może tego lubić”. Dziadek: „Ja bym nie grzebał w upodobaniach...”. Puszcza do mnie oko. Mała: „A co Bóg lubi jeść?”. Babcia: „To duch, nie lubi”. „Eee. To nie będę jego dziewczyną”. „?”. „Mój chłopak lubi pizzę i leniwe”. Babcia: „Dziecko! Ty nie masz chłopaka!”. „Mam. Jednego do pary i dwóch w zapasie”. Babcia w stuporze. Mała: „A ją Bóg kocha?” – wskazuje na mnie. Babcia: „No nie wiem”. „Mówiłaś, że wszystkich”. „Tych pobożnych”. „Nie, że wszystkich! Ona na pewno nie ma pary!”. Pół pojazdu gapi się na mnie. „Nie ma, bo sama nosi torbę”. Dziadek: „Racja”. Mała do mnie: „Powiedz Bogu, żeby ci nosił torbę”. Babcia do dziadka: „Zrób coś!”. Dziadek: „Haha, niech nosi”. Babcia: „Boże, przebacz”. Mała do mnie: „Masz mu kazać. Ja mam za dużo chłopaków”.

Poradnia kardiologiczna. Dziesiąta w kolejce. Dosiada się nieco starsza ode mnie w atłasowej sukience typu szlafrok. Ni to wyjściowe, ni na oddział: „Zawał, miażdżyca?”. „Pierwsze”. „Wady wrodzone? Hormony? Stresy?”. „Ostatnie”. Starsza spod gabinetu: „Ja od śmierci męża mam problemy z sercem”. Szlafrokowa: „Takie problemy to w każdym romansie”. Starsza: „Mnie serce zabolało. I ciągle boli”. Szlafrokowa do mnie: „Rzuci pani coś ciekawego?”. „?”. „Nudzę się. Codziennie tutaj”. Starsza do mnie: „I widzi pani, zajmuje chorym miejsce”. Szlafrokowa: „Akurat to ja jestem chorsza od pani”. „Też!”. „A tak, krótko pożyję. Dlatego nie lubię się nudzić”. Siedzimy w milczeniu. Kobieta spod okna: „To niech pani jakieś plotki poczyta”. „Po co?”. „Głupie, ale można się rozerwać”. Szlafrokowa poważnie: „Można, jeśli jest jeszcze jakiś świat”. Starsza: „Też!”. „A widzi pani. Pani tu postęka, ale pani wyjdzie. Pani życie tam przeżyła”. „Co mi pani będzie...! Ja mam osiemdziesiąt lat!”. „Czapki z głów. Ja trzydzieści pięć”. O, przeszacowałam. Szlafrokowa patrzy na mnie: „Że staro wyglądam? Mogłabym się wolniej starzeć w zamknięciu, nie?”. „Nienie”. „Ech, zero zdarzeń. A pani ma ich aż nadto, co?”. „W pewnym sensie”. „Zazdroszczę. Zawał od nadmiaru lepszy, serio”. Starsza: „Bzdury!”. Szlafrokowa do mnie: „Kształciłam się na skrzypce, pograłam – i koniec. Za długa przerwa. Trudno, jeszcze pół roku”. Ta spod okna: „I zagra pani”. „Nie, umrę”. Starsza: „Umiera się w moim wieku. W pani wieku się żyje”. „Tam, w pani świecie. Tu nie”. „Jak kto żyje uczciwie, ma dzieci, to takich dyrdymałów nie wygaduje”. Milczymy. Szlafrokowa do mnie półszeptem: „Wiesz, ja mam ciągle poczucie, że oni mnie tu wszyscy podejrzewają o performans. Poza lekarzem. Jakby ojciec nie miał znajomości, to by mnie wypchnęli na śmierć w domu. Wolę straszyć tutaj”. „Uhm”. „Chcę mieć mały spektakl, chociaż tu”. „Atłasy”. Uśmiecha się. „Życia nie ma, no to co, teatr zostaje”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



CO PŁYWA W BAŁTYKU

JACEK PISKOZUB, FIZYK MORZA:

Jedynym skutecznym rozwiązaniem na problemy Morza Bałtyckiego – i innych akwenów – może być neutralność węglowa, czyli to, że wyzerujemy antropogeniczne emisje dwutlenku węgla.

MARTYNA SŁOWIK: Raporty dotyczące Morza Bałtyckiego wskazują, że jego stan się pogarsza. Czy to możliwe, że Bałtyk umrze?

PROF. JACEK PISKOZUB: Zawsze coś w nim będzie żyło, jednak niekoniecznie to, czego potrzebujemy. Zamiast ryb mogą żyć w nim sinice, co zdarza się coraz częściej. To też życie. Jednak to nie o takim morzu marzymy, gdy np. planujemy krajową gospodarkę rybną, albo szukamy miejsca wakacyjnego wypoczynku.

Problemy Morza Bałtyckiego są spowodowane kryzysem klimatycznym?

Nie wszystkie, jednak na pewno spowodowane są działaniem ludzi. Po pierwsze: nadmiernie użyźniamy Bałtyk azotem i fosforem spływającymi z pól do rzek, a stamtąd do morza. Powoduje to zakwity planktonu oraz sinic. Po drugie: wraz z emisjami gazów cieplarnianych do atmosfery, wywołanych naszą działalnością, nagrzewamy zarówno morze, jak i atmosferę nad nim. Wody w Bałtyku nagrzewają się powierzchniowo mniej więcej w tym samym tempie, co powietrze nad nim. Od czasów przedprzemysłowych już o ponad 2 stopnie Celsjusza.

To ma ogromny wpływ na to, jakie gatunki żyją w Bałtyku. Każdy z nich ma swoje zakresy termiczne. Obecnie np. śledzie w zachodniej części Bałtyku mają już spore kłopoty – zimą potrzebują zimnej wody na tarło, której brakuje.

W Zatoce Gdańskiej i tej części Morza Bałtyckiego aż na północ w stronę Gotlandii praktycznie w głębinach nie ma już obszarów z tlenem – strefy beztlenowe Bałtyku stale się powiększają. To jest związane z nadmiernym użyźnianiem. Choć kraje bałtyckie zmniejszyły ilość fosforu i azotu zrzucanych do morza, to ten problem nadal narasta – właśnie ze względu na to, że Bałtyk przy powierzchni jest cieplejszy o parę stopni. Różnica temperatur między powierzchnią a głębinami powoduje większą różnicę gęstości wody, więc trudniej jest Bałtyk „wymieszać", a jak trudniej wymieszać, to po prostu trudniej jest dostarczyć tlen w głąb.

Czy jedynym sposobem na odwrócenie procesu powstawania stref beztlenowych jest wyhamowanie globalnego ocieplenia?

Są pomysły geoinżynierii, polegające np. na wypompowywaniu tej głębokiej wody na powierzchnię i zastępowaniem jej natlenioną wodą pompowaną w głąb, ale to raczej mrzonki. Takie rozwiązanie wymaga ogromnych ilości energii, a to z kolei oznacza większe emisje dwutlenku węgla. Nikt tego w praktyce nie zrobi.

Jedynym skutecznym rozwiązaniem na problemy Morza Bałtyckiego – i innych akwenów – może być neutralność węglowa, czyli to, że wyzerujemy antropogeniczne emisje dwutlenku węgla.

W perspektywie kilku, kilkunastu lat Bałtyk może stać się morzem, do którego nie będziemy chcieli wchodzić?

Zdecydowanie. W cieplejszym morzu jest więcej sinic, w zanieczyszczonym morzu jest więcej różnego typu bakterii. Już teraz podczas fali upałów w basenie Morza Śródziemnego, w pobliżu miast, gdzie wody przybrzeżne są zanieczyszczone, zaczynają występować bakterie e-coli czy cholery.

W Bałtyku jeszcze tak źle nie było, ale jeżeli osiągniemy podobne temperatury wody, a bywały już miejsca, gdzie w poprzednich latach morze miało 27 czy 28 stopni Celsjusza, to takie scenariusze również staną się możliwe. Zaczną rozwijać się typy bakterii, których wcześniej w Morzu Bałtyckim nie było – nie było dla nich wystarczająco ciepło.

Realnym niebezpieczeństwem jest też to, co nazywamy morskimi falami upałów.

Czym one są?

To okresy, w których temperatura wody utrzymuje się znacznie powyżej średniej dla danego obszaru i pory roku, trwające co najmniej pięć kolejnych dni. Inaczej mówiąc, morskie fale upałów polegają na długotrwałym, ponadprzeciętnym wzroście temperatury wody w oceanach i morzach. Intensywność morskich fal upałów na Bałtyku nie rośnie tak szybko, jak w innych regionach świata, ale ich zasięg też stale się powiększa. Badania przeprowadzone przez naukowców z Instytutu Badań Morskich Uniwersytetu Kłajpedzkiego wykazały, że w latach 1993-2023 w południowo-wschodniej części Bałtyku – rejonie Litwy – morskie fale upałów występowały niemal każdego roku, a czas ich trwania stale się wydłużał.

Szereg gatunków ryb, ale nie tylko ryb, także planktonu, nie jest w stanie żyć w coraz cieplejszej wodzie i są zastępowane przez inne. W takim morzu zupełnie zmienia się życie.

Jeszcze jednym bezpośrednim efektem emisji dwutlenku węgla do atmosfery, który ma wpływ na morza i oceany, jest jego rozpuszczanie się w morzach i oceanach, co powoduje uwalnianie jonów wodorowych. Nazywamy to zakwaszeniem.

Dlaczego wzrost kwasowości oceanów jest niebezpieczny?

Zagraża wszystkim stworzeniom, które składają się ze skorupek węglanowych. To wszelkiego rodzaju mięczaki tworzące muszle, a także skorupiaki oraz rafy koralowe. W warunkach większej kwasowości trudniej im budować skorupy, bo kwas je rozpuszcza. W pewnym momencie morze staje się żrące dla węglanu wapnia. Już teraz w rejonach arktycznych morze jest żrące dla aragonitu, czyli minerału, który jest odmianą węglanu wapnia i z którego składają się niektóre muszle małży czy ślimaków (pozostałe zbudowane z kalcytu nie są na razie zagrożone). Istnieją gatunki, które potrafią nawet w tych żrących warunkach budować muszle z aragonitu, ale jest ich niewiele. W Morzu Bałtyckim już od dawna jest bardzo mało gatunków budujących skorupki. To samo za jakiś czas czeka nas w Morzu Arktycznym, a później w Morzu Północnym i wszędzie wokół Bieguna Północnego i Antarktydy. Jeżeli będziemy dalej emitować dwutlenek węgla, to morza się zupełnie zmienią. Warto podkreślić, że to nie ma nic wspólnego z rosnącą temperaturą powietrza – to jest bezpośredni wpływ samej emisji dwutlenku węgla.

Badania pokazują, że zdolność oceanów – a także lasów – do pochłaniania dwutlenku węgla maleje.

Po pierwsze: w cieplejszej wodzie dwutlenek węgla się nie rozpuści. Morze jeszcze ciągle go pochłania, bo jest go coraz więcej w atmosferze, ale z drugiej ↦

ZAKWIT SINIC *na powierzchni Morza Bałtyckiego wokół Gotlandii. Te fotosyntezujące bakterie uwielbiają wody nawożone azotem i fosforem. Zakwity wpływają na cały ekosystem, m.in. poprzez zwiększanie ilości materii organicznej, której rozkład wiąże się z redukcją dostępności tlenu na większych głębokościach. Zdjęcie z satelity Landsat 8, sierpień 2020 r.*

NASA

↦ strony robi się coraz cieplej. Być może będzie więc taki moment, że my już nie będziemy emitować, ale temperatury ciągle jeszcze będą rosnąć, a morze zacznie oddawać dwutlenek węgla. Historia klimatu pokazuje, że gdy zdarzały się przypadki gwałtownego wzrostu dwutlenku węgla w atmosferze – czy z powodu uderzenia wielkiego meteorytu w skały węglanowe, który wyemitował mnóstwo CO_2 i zabił dinozaury, czy też w przypadkach dużych naturalnych emisji metanu i CO_2 – to on pozostawał w atmosferze w zwiększonych ilościach bardzo długo, przez 100 tys. lat.

Takie są perspektywy także dla naszych emisji. Jeżeli sztucznie nie usuniemy dwutlenku węgla z atmosfery, a na razie nie wiemy, jak to zrobić, to on pozostanie z nami bardzo długo. Może to oznaczać powrót do warunków zbliżonych do epoki dinozaurów, kiedy na biegunach w ogóle nie było śniegu i lodu. W stronę takiego świata idziemy – świata bez lądolodów.

Topnienie lądolodu oznacza wzrost poziomu mórz.

W lądolodach mamy zasób wody, który może się przełożyć na wzrost poziomu morza o ok. 70 metrów. Oznacza to, że w miejscu, w którym teraz siedzimy, tj. w Darłówku, bylibyśmy 50 czy 60 metrów pod poziomem morza.

Ludzie mogą przetrwać w warunkach, w których żyły dinozaury?

Na pewno nie w tropikach – tam będzie za gorąco. Już w XXI w. może być tak, że będą miejsca na świecie, w których człowiek nie przeżyje bez systemów chłodzenia. Najpierw nad Zatoką Perską i na wybrzeżach Pakistanu i Indii, gdzie będzie tak ciepło, a jednocześnie wilgotno, że człowiek w tych warunkach nie poradzi sobie z oddawaniem ciepła i regulowaniem temperatury własnego ciała.

Zmiany klimatyczne odpowiadają również za coraz częstsze huragany?

Huragany tropikalne powstają nad oceanami zawsze, gdy temperatura oceanów jest większa niż 28 stopni. Strefa huraganów rozszerza się od równika coraz bardziej, w dodatku sezon huraganów ulega wydłużeniu.

W 2005 r. Atlantyk był wyjątkowo ciepły, częściowo w wyniku naturalnych cyklów. Wtedy zabrakło nawet liter dla nazwania huraganów na północnym Atlantyku. Tradycyjnie co roku przygotowuje się 21 nazw na cyklony tropikalne. Każda to imię rozpoczynające się od kolejnej litery alfabetu. W 2005 r. już w październiku wykorzystano wszystkie nazwy, aż do ostatniego na liście imienia żeńskiego „Wilma", a wciąż rozwijały się kolejne cyklony. Ostatnie huragany tego sezonu musiały już otrzymać nazwy „zapasowe", pochodzące od greckich liter; pierwszym z tych dodatkowych był cyklon Alfa. Później przez parę lat było już trochę lepiej, lecz obecnie Ocean Atlantycki znowu się ociepla i prawdopodobnie jest teraz równie ciepły, o ile nie cieplejszy niż w 2005 r. W zależności od tego, który ocean jest cieplejszy, tam wytwarza się więcej huraganów. W ostatnich latach szybciej ocieplał się Atlantyk, i to na nim huraganów było więcej. Nawet jeśli ich liczba nie będzie rosnąć, to z powodu ocieplających się wód staną się one silniejsze. Już w tej chwili widzimy, że huragany kategorii 4 i 5 w Skali Saffira-Simpsona stanowią większość. Ta skala klasyfikuje huragany według prędkości wiatrów ciągłych i kończy się na stopniu 5. Huragany tych kategorii powodują zwykle możliwość całkowitego zerwania dachów z budynków, dużą erozję nadbrzeża czy też podtopienia znacznych obszarów w głąb lądu. W ich przypadku często konieczna jest całkowita ewakuacja ludności z terenów ich występowania. Kategoria 5 jest otwarta i dlatego niektórzy uważają, że z powodu nasilania się huraganów powinniśmy wprowadzić kategorię 6. Kontrargument jest taki, że jeżeli taka powstanie, to ludzie przestaną bać się ostrzeżeń o kategoriach niższych. Te zjawiska na razie nie dotyczą Polski.

Nie wiemy jeszcze czy nad Bałtykiem pojawią się śródziemnomorskie huragany. Jego wody osiągają już wymagane temperatury, ale na powstawanie takich układów może być on zbyt mały.

Czy z powodu zmian klimatycznych na Bałtyku też mogą kiedyś powstać huragany?

Istnieje rodzaj huraganów śródziemnomorskich zwanych *medicanes* lub mediterranami. Powstają przy nieco mniejszej temperaturze morza niż 28 stopni Celsjusza. One są mniejsze, ale również mają silne wiatry. Kilka z nich miało siły wiatrów prawdziwych huraganów tropikalnych, np. Ianos z września 2020 r., który uderzył w Wyspy Jońskie w Grecji, Rolf z listopada 2011 r., który pustoszył południowe wybrzeża Francji, czy w końcu Daniel z września 2023 r., który niósł tyle pary wodnej, że powodował powodzie od Bułgarii i Turcji po Libię. Wszystkie one odpowiedzialne były za ofiary śmiertelne, nawet do pięciu tysięcy w przypadku tego ostatniego.

W Morzu Bałtyckim woda czasami ma już 27-28 stopni, jednak Bałtyk może być za mały, aby taki układ się nad nim wytworzył. Nie jesteśmy tego jednak pewni. Można powiedzieć, że huragany śródziemnomorskie to takie przerośnięte trąby powietrzne, mniejsze niż huragany tropikalne, ale z wiatrami o podobnej prędkości. Jeśli Bałtyk jest wystarczająco duży dla powstania takiego systemu, to na pewno jest za mały, aby utracił on siłę zanim gdzieś uderzy w ląd. Skutki byłyby tragiczne.

W jaki sposób bada się morza i oceany, by stwierdzić, czy w określonym czasie może wystąpić huragan?

Do tego wykorzystuje się modele matematyczne, których dokładność testujemy obserwacyjnie. Jednak modelowanie ma swoje ograniczenia, a głównym z nich jest fakt, że obejmuje tylko zakres – temperatur, wilgotności czy innych parametrów – znany nam ze zjawisk, które już kiedyś wystąpiły. Nie wiemy więc, czy modele pokazują prawdę poza tym znanym im zakresem. Wiemy, że globalne ocieplenie sprawi, że niektóre parametry przekroczą zakresy brane pod uwagę w modelach. Powstaje więc pytanie, czy nasze modele będą działać w nowych warunkach. To się okaże dopiero w praktyce.

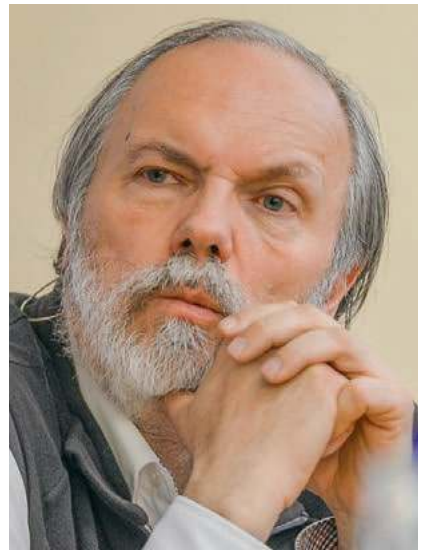
Badania oceanów i mórz jako takich rozpoczęły się już w XIX w. przez rejsy oceanograficzne, podczas których mierzono parametry fizyczne takie jak temperatura, zasolenie, gęstość wody. Z tych

parametrów możemy do dzisiaj obliczać prądy wewnątrz morza. Oczywiście dzisiaj istnieją już prądomierze, które robią to bezpośrednio. Poza badaniami fizycznymi morza i oceany bada się również poprzez pomiary parametrów chemicznych (np. koncentracja biogenów, czyli pierwiastków niezbędnych do życia, zanieczyszczeń, oraz pH, czyli odczyn wody morskiej), a także obserwacje biologiczne, np. gatunków ryb czy planktonu żyjących w danym akwenie. Statek Oceania należący do Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk, w którym pracuję, dokonuje takich badań. Każdego lata pływa nie tylko po Bałtyku, ale też np. pod Spitsbergenem na Morzu Arktycznym. Wykonujemy nim bardzo różne rejsy: takie, podczas których badamy parametry wpływające na prądy morskie, rejsy optyczne, podczas których badamy np. to, jak głęboko dociera w morze światło słoneczne w różnych warunkach, bo od tego zależy to, jak i gdzie może się rozwijać plankton. Są też rejsy chemiczne, podczas których sprawdzamy zmiany chemiczne w morzu, czyli zarówno zanieczyszczenia różnymi substancjami, jak i zakwaszenie, o którym już mówiliśmy. Oprócz tego od pewnego czasu mamy sposoby stałych pomiarów, czyli boje, a mówiąc bardziej profesjonalnie – mooringi. Mooring to zespół przyrządów wiszących na linie, na końcu której znajduje się pływak, ale nie sięga powierzchni morza, aby nie został rozjechany przez statki lub wyłowiony przez rybaków. Przez rok czy dwa mooring dokonuje pomiarów, a później statek oceanograficzny go wyławia, wyjmuje się z niego kartę pamięci i odczytuje pomiary.

Często ustawia się szereg mooringów w poprzek jakiejś cieśniny lub całego Oceanu Atlantyckiego, aby bezpośrednio zmierzyć prądy i dowiedzieć się np. czy ich siła słabnie.

Istnieją systemy wczesnego ostrzegania przed tymi wszystkimi zjawiskami, o których rozmawiamy w kontekście mórz?

W skali globalnej na razie największym narzędziem są raporty IPCC, czyli Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatycznych. W Europie powstały w ostatnich latach dwa raporty o stanie Bałtyku i podejrzewam, że nie przeczytał ich żaden polityk. Przy Polskiej Akademii Nauk, w której pracuję, działa Komitet ds. Kryzysu Klimatycznego, którego jestem wiceprzewodniczącym. Wydajemy komunikaty dla prasy, dla polityków. Czy oni to czytają – to jest inna sprawa. W kwestii Morza Bałtyckiego już w 2021 r. wydaliśmy ważny komunikat dotyczący prognoz na temat wzrostu poziomu morza. Ostrzegaliśmy w nim, że w ciągu 30 lat wzrośnie liczba wezbrań na Bałtyku, a za 100 lat historyczne centrum Gdańska może znaleźć się pod wodą, zaś do tego czasu będziemy musieli zmierzyć się z problemami podtopień w strefie przybrzeżnej i przygotować się na zalewanie coraz większej powierzchni lądu, w tym np. Żuław Wiślanych. Żuławy mają dobre wały od strony morza, natomiast Wody Polskie zarządzają tym systemem od wewnątrz i robią bardzo mało, by przygotować region na to, co go czeka. Zrobili wprawdzie piękne wrota powodziowe na rzece Tudze, jednak one mają tylko 1,6 m nad poziom morza, a przecież do końca wieku możemy się spodziewać spiętrzeń sztormowych znacznie wyższych niż ta wartość. Zapytałem o to na jednym ze spotkań. Powiedziano mi, że nie ma powodu budować wyższych, ponieważ wały tam w okolicy są jeszcze niższe. Na Żuławach mamy różne cieki wodne, łącznie około 1000 km wałów i na razie nikt nie myśli poważnie o ich podwyższeniu, a to będzie niezbędne jeszcze w tym stuleciu.



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. JACEK PISKOZUB jest fizykiem i oceanologiem, kieruje Zakładem Dynamiki Morza w Instytucie Oceanologii Polskiej Akademii Nauk w Sopocie. Specjalizuje się w badaniach wzajemnych oddziaływań morza i atmosfery oraz wpływie tych oddziaływań na klimat. Wiceprzewodniczący Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego PAN. Członek Rady Naukowej portalu NaukaoKlimacie.pl

Co powinniśmy zrobić?

Miasta takie jak Gdańsk powinny mieć w tym stuleciu wrota powodziowe, które będą podczas sztormu zamykane. Gdy to zrobimy, to jesteśmy w stanie jeszcze przez następne 100 lat ochronić miasto przed powodziami morskimi. Jeżeli tego nie zrobimy, to jeszcze w tym wieku dzielnice miasta będą zalewane, coraz bardziej regularnie. W końcu dojdziemy do takiego stanu jak w Wenecji, gdzie na parterach domów już nikt nie mieszka, bo każdej zimy są zalewane.

Czy próbują Państwo rozmawiać z władzami nadbrzeżnych miast i ostrzegać ich o zagrożeniu?

To się zdarza. Byłem np. na spotkaniu z wojewodą pomorską oraz dyrektorką Urzędu Morskiego w Gdyni, czyli dwiema najważniejszymi osobami w tym regionie. Zdają sobie sprawę z zagrożenia, ale jeszcze ciągle uważają, że wrota powodziowe to jest przesada. Wspominałem o tym, że przecież remontujemy mnóstwo nadbrzeży w miastach i miasteczkach nadmorskich. Poziom morza już wzrósł o dwadzieścia parę centymetrów od czasu, kiedy nabrzeże zbudowano w XIX w. Zapytałem, dlaczego nie podwyższamy tych nabrzeży chociażby o te 20 centymetrów, a najlepiej więcej? W odpowiedzi usłyszałem, że inwestorzy nie chcą tego robić, gdyż to powoduje, że jakaś droga czy plac też musiałyby zostać podwyższone. Zatem władze zdają sobie sprawę, ale na razie nie są jeszcze gotowe do działania.

Czyli nikt nie chce podpisywać się pod trudniejszymi inwestycjami i wziąć za nie odpowiedzialności.

Wszędzie powtarzam, że potrzebujemy pierwszej dużej powodzi morskiej, która zaleje Gdańsk albo Żuławy. Wtedy będzie pretekst polityczny, by zrobić plan ratowania polskiego wybrzeża. Bez takiej katastrofy to się nie stanie.

© Rozmawiała MARTYNA SŁOWIK

TYGODNIK POWSZECHNY

LATO WCIĄŻ TRWA!

CZYTAJ TYGODNIK NA PLAŻY, W GÓRACH, W LESIE.



SPECJALNA OFERTA!

PREZENT DLA PRENUMERATORÓW

Przy zamówieniu nowej lub przedłużeniu obecnej prenumeraty **WAKACYJNE WYDANIE SPECJALNE „SZEROKIEJ DROGI" W PREZENCIE***

OFERTA WAŻNA DO 3 WRZEŚNIA

*dla pierwszych 100 osób w wersji papierowej, a dla kolejnych – w cyfrowej (pod warunkiem przekazania kontaktu z adresem e-mail na Bok@TygodnikPowszechny.pl do końca trwania oferty)

SKORZYSTAJ!

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

ODBIÓR PRZEZ PACZKOMAT® INPOST InPost

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

DOSTAWA DO DOMU Poczta Polska

dowiedz się więcej!
powszech.net/KupTygodnik | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: SHIFAAZ SHAMOON / UNSPLASH

KOLACJA SKŁADKOWA

Spotkajcie się i wymieńcie książkami, które zrobiły z was czytelniczki i czytelników. Spróbujcie od siebie nawzajem ulubionych historii. To pracochłonne, ale warte wysiłku zadanie.

DOROTA KOZICKA, PRZEWODNICZĄCA KAPITUŁY NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA: Z okazji jubileuszu dwudziestolecia Nagrody Literackiej GDYNIA chciałam zaprosić Was do rozmowy o literaturze. Właśnie o literaturze, a nie o naszej Nagrodzie czy – szerzej – o nagrodach literackich, o których ostatnio dużo dyskutowano. I choć są to ważne, budzące kontrowersje i duże zainteresowanie kwestie, które domagają się wnikliwej debaty, to dziś porozmawiamy o tym, czym dla Was jest literatura. Często podejmujemy ten temat z osobami, które uczymy, z czytelniczkami i czytelnikami, rzadziej rozmawiamy o tym we własnym gronie. Chciałabym więc, nawiązując do tytułu książki Ryszarda Kozioł-ka, zapytać na początek, jak Wam – osobom, które wypracowały wyraziste, twórcze (i intrygująco różne) krytycznoliterackie projekty – myśli się literaturą. I czy może chcielibyście coś zmienić w tej słynnej już frazie?

INGA IWASIÓW: Jest wiele możliwości uzupełnienia tego zdania, bo literatura dobrze się komunikuje i wyraża, opisuje i przeczuwa. Na początek spróbowałabym podmiany „myśli" na „czuje": „dobrze się czuje literaturą". Chętnie myślę literaturą, bo to doskonały sposób poszerzania horyzontów i ustalania wspólnych wizji świata, jednak w świecie wypełnionym afektami literatura nie powinna być wyłączona z horyzontu emocjonalnego.

Sięgając do własnych doświadczeń – nauczycielki akademickiej i osoby prowadzącej rozmaite kursy pisania – widzę, że sam tekst literacki nie jest aktualnie tak ważny, jak nam się dotąd wydawało. Literatura bywa dzisiaj – dla czytelniczek i czytelników – przede wszystkim pretekstem do mówienia o sobie i swoich lękach. A to nie to samo, co myślenie.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 35/2025

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

REDAKCJA: Dorota Kozicka, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran

PARTNERZY DODATKU:
MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA
BIBLIOTEKA GDYNIA
miasto słowa.
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Przeczytałam ostatnio „Tatusia" Moniki Helfer. To klasyczna opowieść statusowa, w której centrum stoi pragnący biblioteki domowej Josef, tytułowy tatuś. Dla książek zrobi wszystko, myśli nimi, układa sobie świat. Jednak prawdziwe rozumienie dokonuje się w tej prozie pod piórem córki: w rekonstrukcji niedopowiedzeń i nadpisań nad arcydziełami literackimi. Tak właśnie rozumiem „czucie", jako subtelną, nieostateczną operację mentalną.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI: Ja z kolei podmieniłbym w zdaniu Ryszarda przysłówek. Oczywiście, że nam się „dobrze" myśli literaturą, bo literatura „myśli" w sposób niekonwencjonalny. Ale jak myśli się wówczas, kiedy myśli się źle, opornie, z trudem? Wtedy, kiedy napotykamy literaturę, która stawia nam opór, która nie wpuszcza nas do siebie, która na rozmaite sposoby nas odpycha? Mam tutaj na myśli literaturę eksperymentalną, poukładaną według nieznanego nam wzorca, odległą od oswojonych poetyk, ale również literaturę napisaną w sposób odpychający, odrażający, przekraczającą nasze granice odporności estetycznej czy etycznej. Ohydną. Albo hard porno. W takich książkach – o których i z którymi źle się myśli – znajduję coś, co wykracza nie tyle poza moje możliwości, co poza moje chęci interpretacyjne.

Z drugiej strony warto zapytać, co się dzieje, kiedy napotykamy literaturę, z którą „myśli się zbyt łatwo". Wtedy – zwracam tu uwagę na niedobrą prawidłowość polskiej krytyki literackiej – następuje odtrącenie wyższościowe. Od początku istnienia podziału na „wysoką" i „niską" mało komu chciało się myśleć o literaturze uważanej za łatwą. Przypomnijcie sobie, jak zajadle atakowano w latach 90. romanse z serii Harlequin, następnie fantastykę i książki Andrzeja Sapkowskiego, jeszcze później ↦

↦ serię z przygodami Harry'ego Pottera, aż do dzisiejszych przypadków krytyki powieści z nurtu Young Adult. Zarzuty są zawsze podobne: literatura „produkowana", merkantylna, manipulująca emocjami.

To jest ta literatura, której nie traktujemy jako wyzwania, ponieważ o niej nie myśli się dobrze, bo myśli się zbyt łatwo. Tymczasem taka literatura również zasługuje na uwagę. Gdyby nie ona, poziom czytelnictwa w Polsce spadłby znacznie wcześniej i wyraźniej.

GRZEGORZ JANKOWICZ: Zanim Ryszard opublikował książkę pod znakomitym tytułem „Dobrze się myśli literaturą", przez wiele lat, podczas kolejnych edycji Festiwalu Conrada, podkreślaliśmy, że literatura jest źródłem języków, które najlepiej służą do myślenia o rzeczywistości. Widzieliśmy w niej przestrzeń eksperymentu oraz rezerwuar narzędzi, które pozwalają przeanalizować swoją pozycję w świecie i odnieść się do innych – nie tylko ludzi. Dziś patrzę na to nieco inaczej. Nadal wierzę, że literatura to ogromny zasób, z którego można korzystać z wielkim pożytkiem, ale nie jest wcale tak oczywiste, że wszyscy, którzy mogliby z niego czerpać, będą właśnie tutaj szukać narzędzi do namysłu i do odczuwania czy wyczuwania świata.

Literatura nie istnieje w oderwaniu od rzeczywistości. Jesteśmy zanurzeni w świecie, a warunki tego uczestnictwa determinują wspólnoty, do których należymy lub z których próbujemy się wypisać. Te wspólnoty, dziś szczególnie liczne i rozproszone, tworzą własne skłócone systemy wartości – jedne odnoszą się do literatury, inne spektakularnie ją ignorują.

Wyrażenia takie jak „dobra literatura" czy „dobrze się myśli literaturą" są metonimiczne: przymiotnik czy przysłówek zostają „przyklejone" do danej książki czy rodzaju literatury, a siła kleju zależy od intensywności dyskusji, która toczy się w przestrzeni publicznej. W takiej sytuacji mówienie o literaturze i propagowanie jej jest trudniejsze niż kiedykolwiek, ale też – paradoksalnie – ciekawsze. Spór wydaje mi się bardziej życiodajny niż powszechne porozumienie.

RYSZARD KOZIOŁEK: Jak się domyślacie, nie będę się kwapił do wymiany czasownika ani przysłówka, natomiast chętnie przygarniam „czucie" Ingi, bo afekty są nieodłączne od bliskiego mi używania i rozumienia literatury. I podobnie jak Przemek – nie wybrzydzam, biorę wszystko, co się nadaje do myślenia i konceptualizowania, czy, jak mówił mój dziadek, forsztelowania, czyli przedstawiania sobie świata, który nie jest moim światem. I – co najważniejsze – ulepszania, dzięki temu, publicznej rozmowy. Bez względu na to, czy będą to harlequiny, czy „Ulisses", jeśli służą pedagogice dyskursu publicznego – biorę.



RAFAŁ KOMOROWSKI / WIKIPEDIA

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI
jest krytykiem literackim i wykładowcą Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Natomiast chciałbym powiedzieć krótko o słowie „dobrze", które ujmowałbym dwojako. Z jednej strony oczywiście oznacza ono pewną dogodność i atrakcyjność literatury, które sprzyjają tego rodzaju aktywności intelektualnej, którą nazwiemy myśleniem. W skrócie: metafora i narracja „dobrze dają do myślenia", choćby dlatego, że potrafią skupić uwagę na wypowiedzi. Ale w słowie „dobrze" tkwi też pewien rodzaj dobra, który rozumiem jako dobro publiczne. W tym ujęciu „dobrze" się myśli literaturą razem z innymi, zwłaszcza kiedy to „razem" nie ma już właściwie wspólnego przyczółka.

To dobro literatury staje się dla mnie szczególnie cenne obecnie, kiedy na naszych oczach dokonuje się fundamentalna zmiana miejsc między najważniejszymi dla naszego gatunku paradygmatami wyjaśniania i przedstawiania rzeczywistości – między matematyką i logosem. Po raz pierwszy w dziejach – choć jest to bardziej intuicja niż rzetelne rozeznanie – język matematyki, czyli język nie-sensu przejmuje dyskurs sensu; algorytmy zastępują logos. Matematyka (sztuczna inteligencja) jest dziś w stanie produkować wypowiedzi sensowne, złożone i piękne, nie troszcząc się zupełnie o ich sens; ani nie mając takiej potrzeby. To jest stawka, o którą gramy. Jeśli wybierzemy sens bez sensu, to znaczy możliwość tworzenia i odbierania przedstawień, wyjaśnień, artykulacji ludzkiego doświadczania świata, za którymi nie stoi ludzka (egzystencjalna, śmiertelna) potrzeba sensu, a jedynie potwornie sprawny symulacyjnie algorytm, który przeczytał wszystko, będzie to oznaczać kres człowieka, jakiego znamy.

INGA IWASIÓW: Ale przecież walka o sens, o której mówisz, nie odbywa się wyłącznie po stronie wytwarzania opowieści. Sens się konstytuuje dopiero wówczas, kiedy trwa lektura. To w procesie prowadzonym „po drugiej stronie" tekst zaczyna znaczyć, służyć za narzędzie dobrego myślenia lub dobrego czucia.

Powiedzieliście o „niewybrzydzaniu": czytaniu tego, co dziś z wielu powodów ważne. Zgadzam się z wami i jednocześnie nie zgadzam. Każdy pretekst do rozmowy jest dobry, więc czytałam i czytam popularne gatunki – od harlequinów przez powieść kryminalną, horror i wiele innych. Tyle że wszystkie te formy są do pewnego stopnia automatyczne, nawet jeśli nie generują ich narzędzia sztucznej inteligencji. Są produkowane na konkretnych matrycach, pisane po rozpoznaniu „targetu" czytelniczego.

Znacie pojęcie beta-gracz? To ktoś, kto sprawdza mechanikę gry. Obecnie w przemyśle wydawniczym bezrefleksyjnie spotykamy funkcję beta-czytelnika (na wzór beta-gracza), który ma odpowiedzieć wydawcy na pytanie, czy to, co dostał do testowania, dobrze się czyta. I nie chodzi wcale o to, czy to się „dobrze myśli", przeciwnie. W tym przypadku fraza „dobrze się czyta" oznacza: „nie stawia oporu". W efekcie dostajemy coś bardzo gładkiego, zrobionego po prostu tak, by się sprzedało. To są teksty produkowane

w logice zysku, a nie w logice pomnażania czy kwestionowania sensu.

Moje podwójne doświadczenie obcowania z literaturą – zarówno badaczki i czytelniczki, jak i pisarki – czynią mnie trochę ostrożniejszą w kontakcie z literaturą-produktem. W kontakcie z urynkowioną machiną popkultury to, co ma zadry, stawia pytania, proponuje nowe spojrzenie – niknie, nie ma szans. A literatura powinna być „kaloryczna", żeby się wokół niej krzątać.

I jeszcze jedno: zupełnie nie zgadzam się z Przemkiem, że my przez 30 lat tworzyliśmy szczelne hierarchie. Przeciwnie, za wszelką cenę chcieliśmy zatarcia pomiędzy literaturą „trudną" i „dobrze się sprzedającą". Mówiliśmy o tym, że ważna jest narracja, a nie to, w jakim stylu jest prowadzona. Ale doszliśmy do momentu, w którym proporcja pomiędzy książką „kaloryczną" a książką jednorazowego użytku przestała istnieć. Żeby być pisarzem proponującym pracę w języku, refleksję, ważny temat – trzeba zgodzić się na los kamikadze.

Stanęłabym po stronie Ingi w przekonaniu, że od lat 90. krytyka literacka, zwłaszcza ta, która wchodziła wówczas do literatury, sprzyjała deprecjonowaniu hierarchii i rozmywaniu granic między literaturą wysoką i popularną. A nawiązując do poziomu czytelnictwa, o którym mówił Przemek, w ramach argumentu na rzecz literatury popularnej chętnie zapytałabym: co jest dziś dla Was najważniejszą stawką literatury i czytania?

GRZEGORZ JANKOWICZ: Ryszard zbudował opozycję pomiędzy językiem matematyki czy szerzej – językiem nauki, który fundamentem czyni liczbę – i literaturą, która fundamentem czyni sens. To się rzecz jasna w ostatnich kilkudziesięciu latach bardzo mocno skomplikowało. Czym to tak naprawdę dla kultury ostatecznie jest, to jest bardzo ciekawe pytanie, ale na taką twardą opozycję, którą zaproponował Ryszard, bym się nie zgodził, choć oczywiście dostrzegam potencjalne zagrożenia, które już teraz przynosi rozwój sztucznej inteligencji. Historycznie rzecz biorąc, nauki ścisłe od zawsze uczestniczą w tworzeniu kultury, a od stu kilkudziesięciu lat proponują filozoficzną wykładnię swoich fundamentów.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI:
Ludzie nie chcą wyłącznie śledzić ruchu znaczeń w tekście, chcą w tekście wziąć udział. Dlatego tak ogromne znaczenie mają dziś zarówno festiwale, jak i gry wcieleniowe.

Innymi słowy: są sensotwórcze. Pytanie, czy poszczególne obszary nauki i dziedziny kultury wsłuchują się w swoje opowieści. Kluczowa jest sprawa woli uczestnictwa w sporze o rzeczywistość, który może przynieść zmiany, a zarazem nie zniszczyć relacji społecznych.

W jednym z rozdziałów „Zaginionego" Franza Kafki główny bohater Karl Rossmann zostaje postawiony w stan oskarżenia w związku z tym, że opuścił miejsce pracy. Rossmann udziela szczegółowych wyjaśnień: przedstawia tekst do interpretacji, ale też próbuje innych do czegoś przekonać. I ponosi porażkę. W pewnym momencie sam do siebie mówi, że najlepiej zamilknąć, ponieważ jeśli u oskarżających brakuje woli, nie ma sensu się bronić. Otóż wydaje mi się, że właśnie wola jest kluczowa dla naszych wszystkich współdziałań z tekstem literackim, zarówno w wymiarze indywidualnym, jak wspólnotowym. Determinuje ona cały proces rozumienia, negocjowania i podważania znaczeń oraz wartości. Ważny dla nas sens czasem jest zdeponowany w tekście, ale często powstaje w efekcie odczytania, indywidualnego lub zbiorowego.

Uważam przy tym, że każdy tekst, niezależnie od tego, czy będzie to tekst z perspektywy kryteriów krytycznoliterackich wyrafinowany, czy też „łatwy", może zadziałać przy odrobinie woli, o której pisał Kafka. Zatem ani bym nie atakował literatury popularnej (nigdy zresztą tego nie robiłem), ani bez zastrzeżeń nie przekonywałbym, że obcowanie z tym, co wyrafinowane, z pewnością przyniesie nam coś dobrego. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób te wartości zostaną wydyskutowane przez czytelniczki i czytelników.

A odpowiadając na pytanie Doroty: stawką nie jest tylko czytanie, a więc fakt, że ktoś po prostu bierze do ręki książkę. Dla mnie najważniejsza jest możliwość inspirującego, a nie destrukcyjnego sporu o świat.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI: *À propos* pojedynków popularne-elitarne. Oczywiście, nasze intencje mogły być słuszne, ale dowody ironicznych, często dość agresywnych krytyk skierowanych pod adresem literatury popularnej pozostały. I to, jak sądzę, miało po części charakter dystynktywny: służyło budowaniu wyrazistej, odrębnej pozycji krytyki literackiej.

Macie rację wówczas, kiedy mówicie o zacieraniu granic między tym, co trudne, a tym, co popularne, ale tutaj z kolei zwróciłbym uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, krytyka literacka zacierająca granice między tym, co wysokie i niskie, usiłowała zawsze wskazywać zjawiska bardziej wartościowe w obrębie literatury popularnej, czyli wprowadzać hierarchię w świecie, w którym rzekomo hierarchii już nie było. Druga strategia lat 90. polegała na tym, by wykorzystać popularne gatunki do gry pastiszowej. Znacząca część prozatorskich praktyk polegała przecież w tamtych czasach na pastiszowaniu – romansu, powieści grozy, powieści detektywistycznej. Powieść detektywistyczna czy sensacyjna była w ogóle sztandarowym gatunkiem pozwalającym rozeznać się w rzeczywistości, a później wtargnąć w przeszłość i odkryć rozmaite kłopotliwe, czasem głęboko ukryte i bolesne tajemnice naszej historii. „Sąsiedzi" Jana Tomasza Grossa to przecież śledztwo w poszukiwaniu sprawcy dawnej zbrodni.

Inna ważna kwestia, którą poruszyliśmy, dotyczy związku literatury z wartościami wspólnymi. Literatura nie istnieje bez rzeczy wspólnych – bez języka i społeczeństwa, konwencji i gatunków, czytelników i stylów czytania. Mój pogłębiający się problem związany z odnoszeniem literatury do wartości wspólnych jest podwójny. Społeczeństwo polskie coraz bardziej się różnicuje, aż do utraty funkcjonalnej tożsamości, a równocześnie znaczna część społeczeństwa agresywnie reaguje na zróżnicowanie. ↦

↦ Z jednej więc strony dotychczasowe mechanizmy wytwarzania jedności nie działają, ponieważ edukacja, religia, kultura popularna, sport, szacunek do państwa czy europejskość coraz silniej dzielą. Powiedzmy jednak, że społeczeństwo mogłoby zaakceptować taki stan pogłębiających się osobności grupowych. Tymczasem zróżnicowanie jest agresywnie atakowane w imię retrojedności: nie chcemy być tacy sami, a zarazem nie chcemy, żeby inni byli inni. Dlatego rozkład tego, co wspólne, przybrał postać skonfliktowanego społeczeństwa, w którym dla rozpętania burzy wystarcza minimum słów, maksimum dobrej woli zaś trzeba, aby osiągnąć porozumienie. Dlatego sądzę, że literatura nie jest nam potrzebna do ustalenia sensu.

Czytanie zawsze jest podważaniem czyjegoś odczytania. Moje odczytanie nigdy nie pokryje się z odczytaniem Doroty, Ryszarda, Ingi czy Grzegorza. I tu stawiam pytanie: czy jest możliwe, aby nasze zróżnicowane odczytania mogły przybrać postać maksymalnie skonfliktowaną, a zarazem aby w ramach owego konfliktu możliwe było utworzenie więzi? Słowem: czy możliwe jest dziś czytanie jako praktykowanie więzi w warunkach mocnego sporu i konfliktu? Dopóki rozmawiamy ze sobą, jest pięknie. Tak pięknie, że moglibyśmy zostać tu do Nowego Roku. Problem polega jednak na tym, że musimy wyjść na ulicę i spotkać się z innymi. A mówię o tym, bo tego rodzaju konflikty zaczęły przecież wchodzić na nasze zajęcia – to nie jest już wyłącznie kwestia, która pojawia się od czasu do czasu na spotkaniach z pisarzami.

RYSZARD KOZIOŁEK: Kiedy opuszczamy mury akademii i z naszym dyskursem eksperckim wchodzimy w przestrzeń publiczną, próbując sobie i innym dostarczyć instrumentów obsługi rzeczywistości, pojawia się zadanie, które wyróżnia humanistykę: budowanie wspólnego poczucia sensu. Uważam, że nic nas od tego nie zwolni. Pragnienie budowania więzi nie ziści się bez wspólnej zgody na to, że sensowne jest traktowanie się sprawiedliwie i życzliwie, bez nienawiści.

Celowo zaryzykowałem to uproszczenie, ponieważ wbrew subtelności naszych dociekań i praktyk wiedzionych w obrębie akademii, w świecie zewnętrznym jest



AGATA ZBYLUT / ARCHIWUM PRYWATNE

INGA IWASIÓW
jest literaturoznawczynią, krytyczką i pisarką. Wykłada na Uniwersytecie Szczecińskim.



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH // TYGODNIK POWSZECHNY

GRZEGORZ JANKOWICZ jest krytykiem i eseistą, dyrektorem Instytutu Książki.

inaczej. A to, z czym sobie dzisiaj nie potrafimy poradzić, to awers różnicy i pluralizmu, który tak radośnie praktykowaliśmy wraz z postrukturalizmem, dekonstrukcją, dyskursami kulturowymi. Było nam z tym fantastycznie, aż nagle zobaczyliśmy mroczną stronę pluralizmu w postaci wojen plemiennych i nienawiści.

Wracając do pytania Doroty, powiedziałbym tak: definicji czytania jest co niemiara, wyeksponowałbym natomiast dwa walory lektury. Po pierwsze: czytanie, czy też dobre czytanie, to umiejętność widzenia, że to, co czytamy, jest tylko napisane. Jeśli z czytania płynęłaby jakaś korzyść dla naszego życia wspólnotowego, to byłaby to korzyść właśnie taka, że nasze wypowiedzi, często groźne i krzywdzące, są tylko językiem – na szczęście. Tymczasem znaczna część naszych studentów właśnie z tym ma problem: żeby poddać krytyce, czyli zdematerializować własną mowę. Oddzielić mowę od swojego ciała, tożsamości, autoidentyfikacji, która się w języku wyraża. Trudno się dziwić, w końcu uczyliśmy ich tego. Być może nadchodzi czas czytania, które będzie egzorcyzmować materię z literatury, aby nadać jej na powrót niewinność gry? Nawet najpoważniejszej, ale jednak gry w znaki. Z tej niewinności rodzi się bezpieczeństwo współuczestnictwa i gotowość wysłuchania innego, którego się obawiam lub unikam. W radykalnie skonfliktowanych dyskursach publicznych ta gotowość maleje dramatycznie. Czytamy w nich bowiem gotowość do przemocy, już nie tylko językowej.

INGA IWASIÓW: Zgadzam się, że idealna sytuacja wsłuchiwania się w Innego nie jest niczym powszechnym. Brak nam uważności, szacunku, ciekawości. Chyba że Innym jestem ja, wówczas piszę na ten temat własną prozę lub wiersz. Mamy wiele podmiotów i deficyt wzajemnej ich ciekawości.

Podłożem podziałów jest też stare i nie bardzo już dzisiaj używane pojęcie kanonu, który przestał istnieć z różnych powodów. W praktyce szkolnej kanon zastygł w tych pozycjach książkowych, które są już w zasadzie nie do zidentyfikowania, trudno o nim dyskutować młodym ludziom. Na uniwersytetach z kolei tak pozmienialiśmy kanony lektur, że one są nieuzgadnialne pomiędzy kolejnymi rocznikami, a co dopiero pomię-

dzy różnymi uczelniami. A ponieważ krytyka literacka osłabła, także nie daje wyrazistych i podejmowanych wskazówek, co byłoby ważne do przedyskutowania. Nie „jak jest", a „o czym możemy pogadać". Przeciwnie, moglibyśmy wymienić głosy „z okopów", które nie wchodzą w żaden dialog. Jedyną sytuacją, która przypominałaby ideał wymiany, jest uczenie pisania na różnego rodzaju warsztatach. Właśnie w takiej sytuacji może się jeszcze toczyć rozmowa o skrajnie różnych poglądach, sposobach użycia języka czy postrzegania rzeczywistości.

Zgadzając się z tym, co mówił Ryszard, dodałabym jeszcze, że dzisiaj o literaturze rozmawia się przede wszystkim w kontekście biografii, do tego podbitej warstewką potrzeb terapeutycznych. W ogóle nie ma możliwości, w dydaktyce i poza nią, traktowania literatury jako autotelicznej. Zwróciłabym też uwagę, że wszystkie przykłady, które przywołujecie w tej rozmowie, są wyrafinowane literacko. Każdy tytuł, łącznie z Harrym Potterem czy Wiedźminem, a szczególnie tytuły, na które powołuje się Grzegorz, to jest część umownego kanonu, do którego nie zajrzy 90 proc. czytelników, a więc ta ich część, która daje nam efekt piku czytelnictwa w Polsce. Wzrost procentowy nie jest wzrostem w obrębie literatury wysokokalorycznej, wyrafinowanej. Robiący nam ten wzrost czytają coś innego.

Czy uważacie zatem, że są takie książki, które – dla zaistnienia tego dialogu – wszyscy powinniśmy znać? Czy wystarczy, że każdy z nas będzie czytać to, na co ma ochotę?

GRZEGORZ JANKOWICZ: Od wielu lat pracuję m.in. w aresztach śledczych i więzieniach, prowadząc tam warsztaty czytelnicze. Celem jest resocjalizacja osadzonych za pomocą rozmowy o książkach, ale niejako przy okazji obszar ten stał się dla mnie laboratorium myślenia o społecznej funkcji literatury. Póki ktoś nie narzuca grupie osadzonych uniwersalnych podziałów, np. na wysokie i niskie, ta grupa nie reprodukuje wspomnianych przez Ingę opozycji. Dla nich Kafka nie jest częścią wyrafinowanego kanonu modernistycznego, podobnie jak Grabiński czy Mróz nie są gwarancją dobrej zabawy. Wydaje mi się, że skala nieoczywistości, z jaką mamy dziś do czynienia, jest większa, niż mogłoby się wydawać.

INGA IWASIÓW:

W kontakcie z urynkowioną machiną popkultury to, co ma zadry, stawia pytania, nie ma szans. A literatura powinna być przecież „kaloryczna", żeby się wokół niej krzątać.

GRZEGORZ JANKOWICZ:

Każdy tekst, niezależnie od tego, czy będzie z perspektywy kryteriów krytycznoliterackich wyrafinowany, czy też „łatwy", może zadziałać przy odrobinie woli, o której pisał Franz Kafka.

Z moich doświadczeń wynika, że osoby, które nie posiadają przygotowania literaturoznawczego, są w stanie bez trudu interpretować tekst w inspirujący sposób. Istotną rolę w tym procesie odgrywa osoba inicjująca dyskusję, która według mnie musi wykorzystać swoją wiedzę, a zarazem wziąć w nawias własne przeświadczenia, by naprawdę, a nie tylko postulatywnie otworzyć się na nieprzewidywalność takiego spotkania i rozmowy. Jeżeli miałbym wskazać największe zadanie, jakie widzę dziś przed nami wszystkimi, to właśnie poszerzanie grupy osób chcących i potrafiących w odpowiedzialny i nieoczywisty sposób inicjować tego rodzaju praktyki w różnych grupach społecznych.

Odpowiadając na pytanie Doroty: często prowadząc warsztaty proponuję lektury, które wydają mi się ważne, ale nigdy nie wypowiadam przy tym formuły, że osoby uczestniczące muszą czy powinny te książki przeczytać. Inicjując rozmowę, zadaję pytanie o konkretną książkę, stawiam kwestię wywiedzioną z tej książki. Czasem nawiązuję do doświadczenia, które uczestnicy mogą znać lub przynajmniej rozumieć, choćby negatywnie. Innym razem zaś proponuję coś całkowicie nowego, nieznanego. Nie wiem, co wydarzy się w procesie interpretacyjnym. Ważne jest to, że punktem wyjścia i stałym punktem odniesienia jest książka, która wraz z pytaniami o nią wchodzi klinem w nasz sposób myślenia. To bardzo ważne, bo więzienne warunki, w których rozmawiamy, sprzyjają pielęgnowaniu własnej narracji, w domyśle – opowieści wyrażającej jedyną prawdę, np. o naszych postępkach. Podczas rozmowy te indywidualne – czasem też zbiorowe – prawdy zaczynają się chwiać. Na innym poziomie, właśnie poziomie więzi, fakt, że mimo tylu różnic rozmawiamy i sprzeczamy się o rzeczywistość za pomocą literatury, ma ogromne znaczenie – emocjonalne, intelektualne i społeczne.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI: Wydaje mi się, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zauważalne stało się zupełnie inne wchodzenie w literaturę i kulturę. Widzę to na spotkaniach z pisarzami i w postawach studenckich. Ale dowodu poszukam poza tymi kręgami: w Poznaniu corocznie odbywa się Pyrkon, czyli zjazd miłośników fantastyki. Do miasta przyjeżdża wtedy kilkadziesiąt tysięcy ludzi należących do kilku pokoleń. Są to często całe rodziny przebrane za postaci z rozmaitych książek czy filmów należących do szeroko pojętej fantastyki. Podczas takich wydarzeń widać, gdzie bije serce literatury. Po pierwsze, coraz dalej od rozumu. Słabnie rola nastawienia, jakiego nauczyły nas strukturalizm czy dekonstrukcjonizm, a więc podejścia racjonalnego, natomiast niepomiernie rośnie znaczenie podejścia emocjonalnego. Ludzie nie chcą wyłącznie śledzić ruchu znaczeń w tekście – sami chcą być poruszani. Ponadto uczestnicy fandomu chcą w tym tekście wziąć udział. Dlatego tak ogromne znaczenie mają dziś zarówno festiwale, jak i gry wcieleniowe.

Jak wziąć udział w tekście? To druga cecha dzisiejszego odbiorcy: przeszedł on od kontemplacji do partycypacji. W ujęciu szerszym zjawisko to wydaje ↦

↦ mi się jednym z najważniejszych procesów w kulturze i polityce globalnej. Literatura, którą można zamienić w grę partycypacyjną, wkracza do nowego kręgu. I trzecia cecha dzisiejszego odbierania literatury: oprócz rosnącej przewagi afektywności nad racjonalnością i partycypacji nad kontemplacją dostrzegam przechodzenie od postawy indywidualistycznej do postawy kolektywnej. Kilkoro z Was o tym mówiło. Jest to jednak wspólnotowość, która funduje się na różnicy względem innych, a więc jest osobna, wybiórcza, izolacyjna. Niektórym z tych wspólnot chodzi właśnie o to, żeby mieć wroga w członkach innego kolektywu.

Na prawach hipotezy powiedziałbym, że w dzisiejszym społeczeństwie następuje multikolektywna immersja. Zasadniczo uważa się, że zjawisko immersji jest charakterystyczne dla indywidualistycznego uczestnictwa w kulturze. Ktoś zakłada słuchawki albo okulary, aby zanurzyć się w jakąś grę i w związku z tym izoluje się od świata. Tymczasem dzisiejsze społeczeństwo dzieli się na mniejsze wspólnoty plemienne, które nabierają charakteru immersyjnego, to znaczy zanurzają się w swoje narracje i poprzez to nabierają wyrazistości, uzyskują tożsamość i opowieść. A dzięki swoim opowieściom interpretują świat, w obrębie którego są wspólnotami zagrożonymi.

RYSZARD KOZIOŁEK: Jak zaczynam zajęcia ze studentami, robię rzecz bardzo prozaiczną: proszę ich o przyniesienie ważnych dla nich książek. Książek, które zrobiły i robią z nich czytelniczki i czytelników. I, jak już mówiliście, ten zestaw nie układa się w żadną uporządkowaną całość; nawet w zarys kanonu. Są rzeczy tak zaskakujące, jak na przykład „Maria" Malczewskiego przyniesiona nie jako lektura, tylko ukochana książka. To budzi moją niewiarę, a przez to natychmiast prowokuje dialog między nami. Ale pojawia się też na przykład studentka, która ma czterdzieści wydań „Portretu Doriana Graya". Kupuje wszystkie wydania, jakie jej wpadną w ręce.

Z początku byłem tym nieco skonfundowany, bo jak tu razem o tych książkach rozmawiać? Dziś widzę w tym propozycję użycia literatury do rozmowy publicznej, która przypomina kolację składkową. Każdy przynosi co ma i lubi, kładzie to na stół i próbujemy nawzajem od siebie. Mnie się to wydaje bardzo pokojowym i otwartym punktem wyjścia do rozmowy. Ja – choć chciałbym – nie mówię ci, że masz przeczytać „Lalkę", choć oczywiście jestem przekonany, że powinieneś. I w drugą stronę podobnie. Ty czytasz moje, ja czytam twoje. Jest to pracochłonne zadanie, ale nieuniknione, bo alternatywą jest przemoc kulturowa i edukacyjna. No więc w dalszym ciągu, jeśli chcemy wejść w dialog, spoczywa na nas zadanie czytania tego, co czytają inni. Tylko w ten sposób mamy mandat do oczekiwania, aby ktoś czytał „nasze". Cel jest niezmienny: praktykowanie i ulepszanie wspólnej rozmowy o wspólnym świecie.

RYSZARD KOZIOŁEK:
Algorytmy zastępują logos. Sztuczna inteligencja jest w stanie produkować wypowiedzi sensowne, złożone i piękne, nie troszcząc się zupełnie o ich sens. To stawka, o którą gramy.

INGA IWASIÓW: Nawiązałabym do ciekawej koncepcji multikolektywów. Wyobrażam je sobie jako grupy osób, które nie patrzą na świat przez wyłącznie jedne – różowe, czarne czy inne okulary – lecz przez pewne wspólne, symboliczne soczewki. Dzięki nim rzeczywistość jawi się w podobny sposób. Uważam jednak, że nie muszą to być społeczności zagrożone ani zamknięte – ten wspólny punkt widzenia, skupiony na tematach literackich czy wymianie myśli, wcale nie musi oznaczać przyjmowania jednego światopoglądu czy okopywania się w nim.

Są też inne wspólnoty – myślę tu o czymś, w czym sama biorę udział na coraz większą skalę, a mianowicie o wspólnotach miejsc, które dziś coraz bardziej przypominają gry rekonstrukcyjne. Kiedyś rekonstrukcje historyczne wydawały się czymś niszowym, odbywającym się na marginesie głównego nurtu kultury. Teraz jednak bardzo mocno wkracza w to literatura. Powstają więzi między tymi, którzy pielęgnują artefakty związane z przeszłością, chcą odkryć, kto mieszkał w danym domu czy kamienicy, albo po prostu badają historię miejsc metodami tradycyjnymi. Czasem pewną rolę odgrywa tu immersja, częściej potrzeba realnych kontaktów z ludźmi. To więzi wytworzone przez potrzeby poznawcze, przez pragnienie zbudowania wspólnoty, której wzorem jest raczej mieszczańska kamienica niż wirtualna, komputerowa sieć.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI: Powiedziałbym, że sposobem przeciwdziałania zamykaniu się mikrowspólnot – a także powstawaniu bardzo specyficznego zjawiska, jakim są kolektywy immersyjne – może być odwrócenie perspektywy. Zamiast przychodzić do kogoś i mówić: „Musisz to przeczytać!", może lepiej zapytać: „Jaką książkę, twoim zdaniem, powinienem przeczytać?". A jeszcze ciekawsza byłaby prośba: „Opowiedz mi, jak ją przeczytałeś i jak ją zrozumiałeś". Taka rozmowa staje się nie tylko sposobem na przełamywanie barier i społecznych zamknięć, ale także na wydobycie kogoś z charakterystycznej dla niego immersji.

GRZEGORZ JANKOWICZ: Podoba mi się to, co mówi Ryszard: Ty czytasz moje, ja czytam twoje, a z rozmowy wynika, czy możemy się w jakiejś sprawie zgodzić i osiągnąć porozumienie. Wówczas, mimo dyskomfortu wynikającego z różnic, nie opuszczamy wspólnej przestrzeni, nie wypraszamy się z niej. To jest dziś sporym wyzwaniem. Ale kolacja składkowa nie kończy się według mnie porozumieniem. Wiele zależy od naszej gotowości do uczestnictwa w sporze, od gotowości na podjęcie ryzyka rozmowy, której konkluzją – zaskakującą i pewnie bolesną dla nas – będzie konstatacja, że inni nie pasjonują się tym, co przynieśliśmy ze sobą, a nawet więcej: że tego czytać już nie warto.

Natomiast immersja, o której mówił Przemek, to przecież nic innego jak realizowane nowymi środkami zanurzenie ideologiczne, które wielkie masy ludzkie wiązało za pośrednictwem konkretnych idei i opowieści. Literatura miała w tym potężny udział. Dziś osiąga się to

łatwiej i szybciej, choć trwałość takiego związania jest krótsza. Co więcej, niegdyś ludzie musieli się od czasu do czasu zgromadzić, wyjść na zewnątrz. Dzisiaj załatwiają wiele afektywnych potrzeb za pomocą wirtualnych bliźniaków, awatarów, co oczywiście wzmaga tylko satysfakcję z samego przeżycia i podnosi wygodę uczestnictwa w tym, co potencjalnie wspólne. Dlatego czytanie nie jest oczywistym wyborem dużych grup społecznych i żeby przekonać innych o jego zaletach, trzeba się natrudzić bardziej niż kiedyś. Ale warto to robić. W tym sensie i w tym kontekście literatura jest dla mnie potencjalną i dziś – z perspektywy dużych grup społecznych – nieoczywistą praktyką podtrzymywania subtelnych nici pomiędzy nami, co niekoniecznie musi skutkować komfortem.

RYSZARD KOZIOŁEK: Krótko tylko pozwolę sobie na podjęcie tego, o czym mówi Grzegorz, ponieważ tkwię w pewnej niewinnej obsesji, budującej moje osobiste poczucie winy za lata 90. i karnawaliczną afirmację różnicy. Nasze metryki sytuują nas w czasie, kiedy różnica filozoficzna w językach krytyki była szczególnie wdzięcznie przyjmowana, następowała bowiem po kulturze ideologicznej metonimii, jaką był PRL. Tymczasem dziś poróżnienie jest zbyt łatwe. To paradoks, ponieważ dyskurs różnicy był dla mnie – i myślę, że częściowo dla całego naszego pokolenia – atrakcyjny ze względu na swoją subtelność, wyrafinowanie, a chwilami niezrozumiałość. To przyciągało, było atrakcją.

Dzisiaj patrzę na to już nie tak chętnie. Odkryliśmy różnicę w postaci nienawistnych i krzywdzących konfliktów plemiennych, od których chcemy uniwersytet oddzielić. Tymczasem jesteśmy za nie w jakimś stopniu odpowiedzialni, a w każdym razie odpowiedzialni za ich dalsze trwanie. Przed nami być może zupełnie niewyobrażalne zadanie interioryzacji tej wulgarnej różnicy w obręb akademii i próby nadania konfliktom publicznym postaci deliberatywnej. Gdybym miał zdefiniować główne zadanie humanistyki akademickiej, zwłaszcza literackiej czy literaturoznawczej, powiedziałbym, że powinna ona próbować zinterioryzować każdą różnicę, dopóki ma ona poza akademią jeszcze charakter dyskursywny; dopóki nie jest czystą przemocą.



GRAŻYNA MAKARA

RYSZARD KOZIOŁEK jest historykiem literatury i rektorem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Nie pytajcie mnie, czy zdaję sobie sprawę, do czego może prowadzić spór o aborcję, imigrantów czy o prawa zwierząt na zajęciach. Tak, wyobrażam sobie. Ale kto inny ma narzędzia do dematerializacji języka krzywdzącego?

INGA IWASIÓW: Nie wiem, czy byłabym w stanie rozmawiać o każdym tekście. Nie jestem też pewna, czy na ten wspólny stół Ryszarda chciałabym przynieść każdą książkę, czy udźwignęłabym niektóre interpretacje, ich możliwy ciężar. Przynoszenie na stół tego, co sama uważam za opozycyjne czy wręcz agresywne wobec kanonu wartości, któremu jestem wierna, po to, by to rozbroić? Ja się boję, że takie postępowanie często dozbraja, zamiast rozbrajać. Bez ryzyka nie ma naszego zawodu, jasne, ale mam tutaj dosyć mocne wątpliwości.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI: Prędzej czy później wszystko to, o czym mówiłem wcześniej – nowe sposoby uczestnictwa w kulturze, związane z afektywnością, dążeniem do partycypacji, poszukiwaniem wspólnotowości i immersyjnością – będzie, a właściwie już jest, przekładane na sposoby uczestnictwa w życiu politycznym. Mam wrażenie, że w tym właśnie tkwi specyfika naszej współczesności: to, jak ludzie angażują się w kulturę, wpływa bezpośrednio na to, jak wybierają radnych, prezydenta czy programy polityczne.

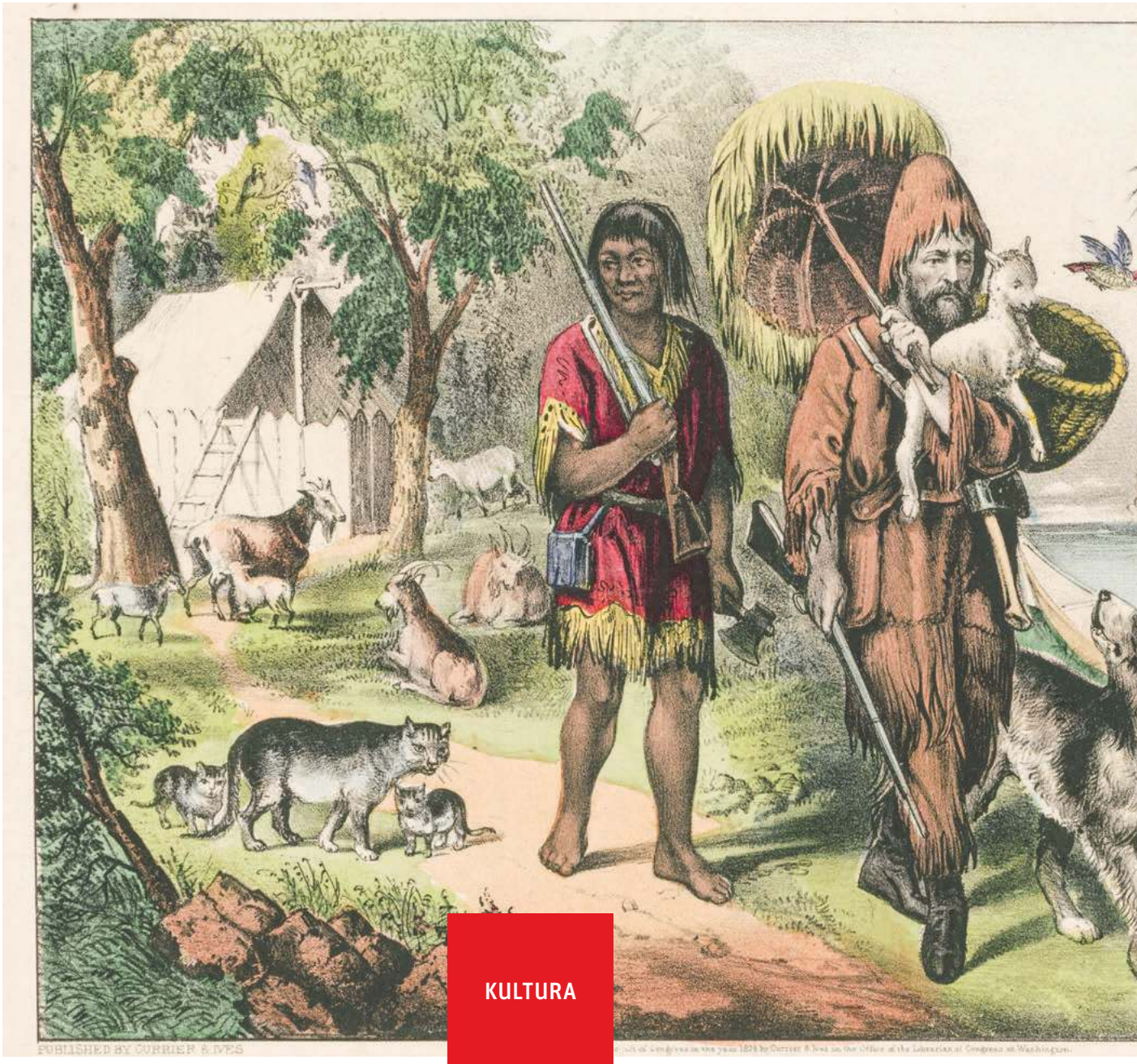
Zgadzam się z Ryszardem, że powinniśmy podjąć ryzyko wprowadzania na zajęcia wyrazistych, ostrych, a nawet agresywnych dyskursów. Ale uważam, że należy myśleć o nich jako okazjach do ćwiczeń interpretacyjnych na materiale literackim. Nie liczy się to, co studenci przyniosą w formie materiałów agitacyjnych, lecz to, co zechcą powiedzieć w odniesieniu do tekstu. W ten sposób mogą wyrażać swoje poglądy i interpretacje, a zarazem konfrontować je z cudzymi. Dzięki temu właśnie spór nie będzie polegał na wymianie czysto ideologicznych argumentów – dotyczących np. aborcji czy praw osób homoseksualnych – lecz na rozmowie o reprezentacjach literackich. I tu, moim zdaniem, leży istotny potencjał dla naszych studiów. Uważam zresztą, że są one już studiami postkanonicznymi. To studia postliterackie, bo polonistyka stała się kulturoznawcza, multimedialna. Pod wieloma względami są to również studia, w których praktykujemy konflikt – pozwalamy studentom spierać się o to, co jest dla nich ważne światopoglądowo, ale zawsze w odniesieniu do tekstu.

W takich momentach studenci stają się jednocześnie mediatorami i uczestnikami najbardziej zażartych sporów. Jeśli dyskusja jest zakotwiczona w tekście, pełnią rolę graczy i tłumaczy znaczeń. Mogą przy tym dostrzec, do czego prowadzi nieprzejednanie w dyskursie, i wypracowywać metody negocjowania stanowisk. Jeśli przegrywamy te spory na zajęciach, tym bardziej będziemy je przegrywać jako członkowie społeczeństwa – poza murami uczelni.

© Rozmawiała DOROTA KOZICKA

Dalszy ciąg i pełna wersja rozmowy na stronie **powszech.net/20lat-nlg**

O tym, jak się myśli literaturą, porozmawiają też młodzi krytycy i krytyczki podczas festiwalu Miasto Słowa w Gdyni. Szczegóły i program na stronie **nagrodaliterackagdynia.pl**



KULTURA

ROZBITKOWIE OPATRZNOŚCI

Siła „Robinsona Crusoe” polega na tym, że dotyka pytań, od których sami nie potrafimy uciec. Jak zaczynać od nowa? Jak żyć po katastrofie? Jak poradzić sobie z samotnością i z obcością? Daniel Defoe to sprawdził.

MICHAŁ SOWIŃSKI



SEPIA TIMES / GETTY IMAGES

Robinson Crusoe i Piętaszek. Litografia kolorowana ręcznie książki wydanej przez wydawnictwo Currier & Ives, 1984 r.

Robinson Crusoe, jeden z najbardziej znanych bohaterów literackich, towarzyszy nam już od przeszło 300 lat. Każdy zna losy niefortunnego rozbitka, który na bezludnej karaibskiej wyspie podejmuje heroiczne próby odtworzenia obowiązującego podówczas modelu cywilizacji. Skupia się nie tylko na kwestiach technicznych, jak konstruowanie narzędzi, uprawa roślin czy hodowla zwierząt. Chodzi mu również o odtworzenie obowiązującego w jego świecie porządku społeczno-teologicznego – nawet jeśli początkowo jest jego jedynym uczestnikiem i użytkownikiem.

Rozbitek wraca i podbija świat

Jeśli tylko tyle wiemy o Robinsonie, to znaczy, że wiemy o nim bardzo mało. Burzliwe przygody na morzu, a potem na wyspie to jedynie część skomplikowanej biografii człowieka nowej epoki. W mniej znanej, drugiej części dzieła Daniela Defoe (1660-1731), możemy śledzić dalsze wojaże Robinsona, tym razem w roli kupca. Po opuszczeniu wyspy podbija świat, nie tylko pływając po morzach i oceanach, ale również przemierzając rosyjską tajgę czy dzikie ostępy Europy. W tych okolicznościach to nie własnoręcznie zrobiona siekiera i łopata, a sakiewka i dryg do interesów okazują się kluczowe. Tę część powieści znają zapewne jedynie nieliczni fani prozy Defoe, choć swego czasu była niemalże równie popularna jak pierwsza.

Jest jeszcze trzecia część – dziś właściwie zapomniana. Także w kulturze anglosaskiej sięgają po nią niemalże wyłącznie badacze nowożytnej literatury. Jednak dzięki nowemu wydaniu „Robinsona Crusoe" w serii Biblioteki Narodowej Ossolineum po raz pierwszy pojawił się jej polski przekład. W końcu mamy więc naszego ukochanego Robinsona w całości.

Ci, którzy sięgną po to domknięcie trylogii w poszukiwaniu kolejnych przygód, zapewne mocno się rozczarują. Bowiem „Poważne rozważania", jak zatytułowana jest trzecia część, to traktat społeczno-teologiczny, w którym Daniel Defoe (choć dalej *via* Robinson) tłumaczy kluczowe dla siebie pojęcia. Chodzi, ni mniej, ni więcej, o dobro i zło. Defoe prowadzi tu rozważania nad naturą człowieka, źródłami grzechu i – co najważniejsze – drobiazgowo definiuje, czym jest Opatrzność.

Sam autor uważał tę część za najważniejszą, pozostałe dwie nazywając ledwie obrazowymi alegoriami swojego pomysłu filozoficznego (wszystkie trzy części ukazały się oryginalnie w przeciągu kilkunastu miesięcy). Czy to znaczy, że przez ponad trzy stulecia czytaliśmy Robinsona tylko do połowy? W pewnym sensie tak: brakowało nam kluczowej klamry ideologicznej, która dla Defoe miała być początkiem poważnej rozmowy o wierze i porządku świata.

A skoro on sam traktował „Poważne rozważania" jako ukoronowanie cyklu, warto zapytać: skąd u Daniela Defoe taka ambicja? Odpowiedzi należy szukać w jego biografii. Zaiste była ona godna fabuły powieści łotrzykowskiej. Lecz zarazem głęboko ją ukształtował jego stosunek do religii.

Życie jak z powieści (albo odwrotnie)

Daniel Defoe żył w epoce wielkiego fermentu religijnego w Europie. Wychował się w środowisku protestanckich nonkonformistów, czyli tych, którzy nie godzili się na narzuconą formę religii państwowej (umacniający się anglikanizm) i wybierali własne, bardziej surowe, indywidualne praktyki duchowości. Defoe pod wieloma względami był uosobieniem idei reformacji – nowej energii, dzięki której wiara chrześcijańska znacznie mocniej zaczęła przenikać do codziennego życia. Niejako przy okazji strukturyzowała też wszystkie decyzje związane z polityką, relacjami społecznymi czy handlem. W tym modelu wiara musiała być nieustannie potwierdzana poprzez podejmowane przez jednostki decyzje, także w najbardziej prozaicznych sytuacjach.

To sprawiało, że szczególnie dobrze łączyła się z etyką pracy. W świecie Defoe Opatrzność nie była pojęciem abstrakcyjnym, lecz narzędziem do rozumienia i wyjaśniania rzeczywistości: dlaczego jednemu się powodzi, a drugi bankrutuje, czemu ktoś ocalał z katastrofy, a inny zginął. Była dla niego czymś w rodzaju niewidzialnego rejestru losów – sumą przyczyn i skutków, które nadają sens temu, co na pierwszy rzut oka wygląda jak przypadek. Trochę jak giełdowy indeks, który tłumaczy nagłe wahania i daje poczucie, że za każdym ruchem kryje się ukryty porządek. Taki sposób myślenia kształtował zarówno jego działalność publicystyczną, jak i literacką – Robinson Crusoe, tak samo jak Daniel Defoe, uczy się czytać własne losy w świetle boskiego planu.

Tym bardziej że jego własna biografia dostarczała aż nadto przykładów takich „wahań": Defoe bywał bankrutem i spekulantem (sytuacje mocno powiązane ze sobą) – potrafił zbić fortunę i równie szybko ją stracić, kilkukrotnie siedział w więzieniu, ale bywał też zaufanym ludzi władzy, a nawet królewskim agentem. Żył jak bohater powieści ↦

↦ awanturniczej, który co chwila zaczyna od nowa – i właśnie dlatego w Opatrzności szukał logiki tam, gdzie inni widzieli tylko chaos.

Człowiek pisma

Najbardziej fascynującym wymiarem jego biografii, obok religijności i kupieckich przygód, była działalność publicystyczna. Defoe nie tylko pisał książki, ale też należał do twórców nowej formy komunikacji: prasy opiniotwórczej.

Jego największym dziełem w tym zakresie było „The Review" – pismo działające w latach 1704-1713, które ukazywało się kilka razy w tygodniu i w większości tworzone było przez jednego człowieka. Defoe pisał w nim wszystko: komentarze polityczne, analizy ekonomiczne, rozważania religijne, a nawet praktyczne porady dla kupców. Dzisiejszym językiem powiedzielibyśmy, że był to „*one-man newsroom*".

Znaczenie „The Review" trudno przecenić. To jedno z pierwszych nowoczesnych czasopism, które nie ograniczało się do suchych informacji, lecz łączyło wiadomość z komentarzem, analizę faktów z moralnym osądem. Właśnie ta hybrydyczna forma stała się fundamentem nowoczesnej prasy, która nie tylko relacjonuje, ale też formuje poglądy. Na łamach „The Review" (faktycznie, zgodnie z nazwą, było to recenzowanie całej rzeczywistości) można zobaczyć narodziny opinii publicznej – wspólnoty czytelników, którzy zaczynają myśleć o sobie jako o uczestnikach szerokiej debaty.

Pasja, z jaką Defoe oddawał się pisaniu, robi wrażenie do dziś. Prasa była bowiem dla niego czymś więcej niż medium: była misją. Służyła kształtowaniu moralności, usprawnianiu handlu, a nawet uprawianiu polityki zagranicznej.

Nic dziwnego, że jego literatura ma w sobie tak wyrazisty rys publicystyczny, a publicystyka – literacki. Defoe pisał tak, jakby wciąż balansował między kroniką a powieścią. Najlepszym dowodem jest „The Storm", dzieło uważane za jeden z pierwszych w dziejach reportaży. To opowieść o wielkiej wichurze, która w 1703 r. spustoszyła południową Anglię i zabiła tysiące ludzi. Defoe zebrał dziesiątki listów od świadków i ocalałych, ułożył je w narrację i opatrzył własnym komentarzem. Tekst przybrał formę dokumentu – swoistej „kroniki katastrofy" – ale zarazem miał w sobie napięcie i dramatyzm powieści.

Co szczególnie istotne: była to próba całościowego wyjaśnienia katastrofy, tej konkretnej, ale też wszystkich innych. Defoe raz odwołuje się do kategorii religijnych (burza jako kara czy znak od Boga), raz do naturalnych (niezwykła siła wiatru, brak przygotowania budynków i portów). Wszystko jednak jest zawsze podporządkowane większemu, boskiemu planowi.

Jednak forma tej publikacji zdradziła go. Bo obok chłodnych analiz pojawiają się przejmujące głosy zwykłych ludzi – wdów, rybaków, kupców – którzy opowiadają o stracie bliskich, domów i dorobku całego życia. W efekcie na tafli opatrzności pojawiają się pierwsze rysy: Defoe nie daje jednoznacznej odpowiedzi, lecz zostawia czytelnika w poznawczym napięciu. To ziarno wątpliwości powróci później w „Robinsonie", gdzie cała opowieść o rozbitku stanie się laboratorium podobnego konfliktu – między boskim planem a przypadkiem.

To właśnie ten kontrast między językiem świadectwa a językiem naukowo-teologicznym (te języki były jeszcze wtedy ze sobą ściśle złączone) czyni „The Storm" tekstem na wskroś nowoczesnym.

Wraki nowoczesności

Żeby lepiej zrozumieć wagę tego zagadnienia, warto spojrzeć szerzej – na samą rolę katastrof (szczególnie tych związanych z morzem) w wyobraźni ówczesnej Anglii (i całej zachodniej Europy). Amerykański profesor Steven Mentz w swojej brawurowej interpretacji kultury XVII i XVIII wieku stawia niezwykle ciekawą tezę – nasza nowoczesność zaczyna się od wraku. Burze, zatonięcia, wyrzucane na brzeg ciała i szczątki dumnych statków szybko stały się częścią zbiorowej wyobraźni. To między innymi z tego powodu Europa musiała w przyspieszony sposób zredefiniować swoją wizję procesu dziejowego, jak również całą tożsamość.

Katastrofa morska to bowiem wydarzenie, gdzie zderzają się trzy porządki: boski plan, ślepy los i ludzka sprawczość, która również może mieć tu coś do powiedzenia. Tak więc stawką nie było jedynie wyjaśnienie przyczyn katastrof, ale odpowiedź na pytanie fundamentalne: jakie mechanizmy tak naprawdę rządzą światem?

Na tym tle można lepiej dostrzec wyjątkowość twórczości Defoe. „The Storm" wpisywał się w ten kontekst, ale jego najbardziej oryginalną odpowiedzią na pytanie o los i opatrzność stał się dopiero „Robinson Crusoe". Tu kataklizm – rozbicie statku – nie jest jedynie początkiem opowieści, ale modelem całej nowoczesnej kondycji człowieka. Crusoe zostaje rzucony na bezludną wyspę jak Europa rzucona w nowoczesność: w sytuację, gdzie wiara w boski plan, doświadczenie przypadku i siła ludzkiej pracy tworzą nierozwiązywalne, ale płodne napięcie.

W kolejnych dekadach powieść Defoe zaczęła żyć własnym życiem, mnożąc interpretacje i konteksty. Każda z nich wydobywa inny wymiar tej historii, ale wszystkie dotykają spraw, które okażą się kluczowe dla nowoczesności: relacji człowieka z naturą, narodzin gospodarki kapitalistycznej, kolonialnej dominacji czy doświadczenia samotności i katastrofy. Dlatego „Robinson Crusoe" tak szybko zaczął funkcjonować jako coś więcej niż tylko powieść. Stał się wyzwaniem, z którym każda kolejna epoka musiała zmierzyć się na nowo.

Najpierw przyszło uproszczenie. Dziesiątki adaptacji dla dzieci i podręczników uczyniły z Robinsona ikonę zaradności: patrona skautów, bohatera elementarzy i poradników przetrwania. Złożone pytania Defoe o opatrzność i przypadek rozpływały się w praktycznych lekcjach o tym, jak zbudować szałas, rozpalić ogień czy przetrwać na pustkowiu.

Potem pojawiły się reinterpretacje bardziej pogłębione. W oświeceniu Robinson staje się uosobieniem nowego etosu – bohaterem pracy, przedsiębiorczości i samowystarczalności. W XIX wieku przechodzi kolejne przeobrażenie: z samotnika przetrwania zmienia się w figurę kolonizatora. Jego relacja z Piętaszkiem zaczyna być czytana jako model dominacji, a cała opowieść staje się metaforą imperialnej ekspansji (Karol Marks lubił używać go jako przykładu drapieżnego kapitalizmu).

W XX i XXI wieku również pojawiają się głosy polemiczne, ale akcenty rozkładane są inaczej. Robinson bywa bohaterem literackich kontropowieści (od Coetzeego przez Lauren Groff po Michela Tourniera), figurą dyskursów postkolonialnych i pacjentem różnych innych krytycznych reinterpretacji ideologicznych. Staje się narzędziem krytyki



STOCK MONTAGE / GETTY IMAGES

Portret Daniela Defoe na rycinie z przełomu XVII i XVIII wieku.

– nie tyle wzorem, ile pytaniem o to, jak naprawdę kształtuje się relacja człowieka z naturą, kulturą i innym człowiekiem.

Kim jeszcze bywał Robinson?

„Robinson Crusoe" odczytywany jest także jako powieść o narodzinach nowoczesnej gospodarki, a jej bohater staje się wcieleniem kapitalistycznego etosu: liczy, planuje, gromadzi. Każdy przedmiot ma dla niego wartość użytkową lub wymienną, każda czynność – sens ekonomiczny (jeden z pierwszych *homo oeconomicus*). Wyspa staje się przestrzenią, w której ustanawia się porządek pracy, własności i akumulacji dóbr.

To zatem także miniatura imperium handlowego: samotny rozbitek podporządkowuje naturę, przekształca ją w zasoby i wyznacza reguły wymiany – a potem włącza ją w obieg światowego systemu. Nieprzypadkowo druga część powieści rozwija wątek globalny – Crusoe wraca do handlu, misji, kolonialnej ekspansji, włączając swoje doświadczenie w logikę rozwoju brytyjskiego imperium.

Najbardziej wyrazista jest jednak relacja z Piętaszkiem. Ucieleśnia ona hierarchię kolonialną: Robinson jawi się jako pan i nauczyciel, Piętaszek jako uczeń i poddany. W powieści uzasadnione zostaje nie tylko praktyczne podporządkowanie, ale i moralna wyższość Europejczyka, która nadaje podbojowi pozór cywilizacyjnej misji. Sposób, w jaki odnosi się do swojego „poddanego", z dzisiejszej perspektywy jawi się jako przykład skrajnego rasizmu i szowinizmu.

Jednak jeśli porzucimy tę ahistoryczną perspektywę, odsłania się tu wiele istotnych niuansów – można to odczytywać jako początek długiego i bolesnego procesu (wciąż niedokończonego). Tak biali Europejczycy uczyli się „oswajać dzikiego", przyznając mu coraz więcej praw zarezerwowanych wcześniej wyłącznie dla „ludzi cywilizowanych". A bez tego raczej niemożliwe byłyby XIX- i XX-wieczne dyskursy emancypacyjne.

„Robinson Crusoe" to także opowieść o jednostce zmuszonej zaczynać wciąż od zera. Wyspa staje się metaforą nowoczesnej samotności – życia bez wspólnoty i wsparcia instytucji, opartego wyłącznie na własnych siłach. Robinson, choć odizolowany, tworzy wokół siebie porządek i namiastkę wspólnoty. W nim spotykają się dwa doświadczenia: radykalna izolacja i potrzeba budowania świata od nowa.

To w końcu też archetyp człowieka po katastrofie – ocalałego, który z ruin tworzy nowe życie. Jego doświadczenie rezonuje dziś w postapokaliptycznych narracjach: samotny bohater mierzy się z pustką, ale w tej próbie kryje się także możliwość odrodzenia i nadzieja na nowy początek. Ten motyw powraca także w rzeczywistych biografiach uchodźców i migrantów, zmuszonych zaczynać od zera w obcym miejscu – odbudowywać dom, wspólnotę i poczucie sensu w świecie, który runął.

Nie mamy wyboru

Robinson nie jest tylko bohaterem dawnej powieści – to mit, który wciąż świetnie działa w naszej kulturze. Siła tej opowieści polega na tym, że dotyka pytań, od których nie potrafimy uciec: jak zaczynać od nowa, jak żyć po katastrofie, jak poradzić sobie z samotnością i z obcością. Dlatego figura rozbitka wraca do nas wciąż na nowo – w ekonomii i polityce, w filozofii i kulturze popularnej. Aż za dobrze znamy ją z życia.

Dzisiejsze kryzysy nadają jej nową aktualność. Migracje, które zmuszają miliony ludzi do odbudowy życia w obcych miejscach; zmiany klimatyczne, które wystawiają całe społeczności na próbę przetrwania; pandemia, która jeszcze niedawno zamknęła nas na wyspach własnych mieszkań – wszystko to sprawia, że historia Robinsona rezonuje jeszcze mocniej. Staje się językiem, którym opisujemy sytuacje graniczne.

Im częściej wracają te problemy, tym ważniejsze staje się pytanie o mechanizmy, które je napędzają. Dlaczego właśnie ten mit – samotnego ocalałego, który zaczyna od zera – tak silnie ukształtował wyobraźnię nowoczesności? By zrozumieć to naprawdę, nie wystarczy popkulturowy skrót.

Nie mamy wyboru – musimy wciąż od nowa czytać Defoe.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

Daniel Defoe, **ROBINSON CRUSOE**
przekład Józef Birkenmajer (dwa pierwsze tomy) i Michał Lachman, wstęp i opracowanie Jakub Lipski, Wydawnictwo Ossolineum, seria Biblioteka Narodowa.



SKY SHOWTIME / MATERIAŁY PRASOWE

Helen Mirren i Pierce Brosnan w serialu „Strefa gangsterów", 2025 r.

Tragedie gangsterskie

JAKUB MAJMUREK

SERIALE BRYTYJSKIE | Ronan Bennett przez lata pisał o szachach dla brytyjskiego „Guardiana". Teraz jego serial „Strefa gangsterów" ogląda się jak fascynującą, ale krwawą partię szachów właśnie.

W serialu Guya Ritchiego „Dżentelmeni" (Netflix) młody brytyjski arystokrata, Eddie Horniman, książę Halstead, obejmujący po śmierci ojca pieczę nad rodzinnym majątkiem, dowiaduje się, że od lat utrzymywał on finansową płynność tylko dzięki kryjącej się na rodowych gruntach plantacji marihuany, którą prowadził wspólnie z potężnym gangsterem. Eddie chce się początkowo wycofać z przestępczego biznesu, szybko jednak odkrywa, że sam ma do niego autentyczny talent.

Może dlatego, że młody książę, jako zawodowy wojskowy, wie, jak posługiwać się zorganizowaną przemocą, a może (jak mówi mu jeden z konkurentów, pragnący odkupić rodzinną posiadłość Halsteadów), to kwestia dziedzictwa. Przecież brytyjscy arystokraci byli pierwszymi wielkimi gangsterami – obrabowali kiedyś cały świat. Teraz ich potomkowie czerpią z tego profity w swoich rezydencjach.

Jak z Szekspira

Obraz gangstera jako współczesnego barona – w „Dżentelmenach" rozgrywany głównie w komediowym tonie – wraca w serialu Ronana Bennetta „Strefa gangsterów" (dostępny na SkyShowtime), w którym Ritchie wyreżyserował pierwsze dwa odcinki. Historia wojny dwóch gangsterskich rodzin walczących o kontrolę nad przestępczym półświatkiem Londynu przedstawiona jest tak, jak historia walki dwóch wielkich rodów o koronę albo pozycję najpotężniejszego feudała w królestwie. Nasuwają się wręcz skojarzenia z tym, jak Szekspir w swoich kronikach królewskich przedstawiał walkę Yorków i Lancasterów o angielską koronę.

W centrum serialowej narracji znajduje się przestępcza rodzina Harriganów. Na jej czele stoi senior rodu, Conrad. Irlandczyk, który dzięki kombinacji bezwzględności, sprytu, strategicznego myślenia i nieprzewidywalności doszedł na sam szczyt przestępczej hierarchii. Dziś mieszka w pięknej rezydencji w Cotswolds i nosi się jak angielski właściciel ziemski. Akcent zdradza jednak pochodzenie, a tweedowe marynarki nie są w stanie ukryć brutalności, okrucieństwa, skłonności do wybuchów agresji.

Conrad ma przy tym lata młodości dawno za sobą. Im więcej dowiadujemy się o tej postaci, tym bardziej przypomina ona starego króla, który przytłoczony czasem, traci kontrolę na królestwem i swoją rodziną. Choć być może nigdy nie kontrolował swojej małżonki, Meave. W gangsterskiej tragedii odgrywa ona rolę Lady Macbeth, nie tylko pchając Harriganów do krwawej wojny z konkurującą z nią o kontrolę nad Londynem rodziną Stevensonów, ale także nastawiając poszczególnych członków własnej rodziny przeciw sobie.

Obsesja Harriganów na punkcie zdrady i lojalności okazuje się często większym zagrożeniem dla bohaterów serialu niż działania konkurencyjnego gangu. Tak jak w „Kronikach królewskich" Szekspira konflikt w rodzie Yorków – na czele



SOPHIE MUTEVELIAN / CANAL+ / MATERIAŁY PRASOWE

Sope Dirisu (w środku) w trzecim sezonie serialu „Gangi Londynu", 2025 r.

z morderczymi planami Ryszarda III wobec własnych bratanków – był równie, jeśli nie bardziej krwawy od walki, jaką ta gałąź dynastii Plantagenetów toczyła z Lancasterami.

Harriganowie nie potrzebują zresztą wielu zachęt Meave, by rzucić się sobie do gardeł. Rodzinny klan pełen jest wewnętrznych konfliktów, tajemnic, trupów w szafie, mrocznych sekretów, niewypowiedzianych krzywd z przeszłości. Najstarszy syn jest nieudacznikiem, „idiotą w rodzinie" bezskutecznie walczącym o uznanie rodziny. Nieślubna córka Conrada, Seraphina, jest znienawidzona przez swoją macochę. Przemoc Harriganów kieruje się nie tylko na zewnątrz, ale i do wewnątrz – każdy, kto wychował się pod wpływem rodziny, został w jakiś sposób skrzywdzony i wykrzywiony. Dzieci Conrada, widząc słabość i starość ojca, zaczynają układać przyszłość, w której to jedno z nich kieruje rodzinnym przestępczym imperium.

Przewodnikiem po tym świecie jest Harry De Souza. Formalnie „konsultant ds. bezpieczeństwa" biznesów Harriganów, faktycznie *fixer* rodziny – ktoś, kto usuwa wszelkie możliwe kłopoty, jakie muszą pojawić się, gdy działa się w tej branży co rodzina Conrada. Harry, niewątpliwie utalentowany fachowiec, nie obserwuje biernie, jak Harriganowie robią wszystko, co w ich mocy, by rozszarpać się na strzępy, ale sam włącza się do gry o przyszłość rodziny. Sprzymierza się z Kevinem, drugim synem Conrada, z którym jako bardzo młody człowiek wspólnie odsiadywał wyrok. Choć Kevin wydaje się na pierwszy rzut oka naturalnym kandydatem do sukcesji, to kryje cały bagaż traum z przeszłości, niewpływających dobrze na jego zdolności do trzeźwego myślenia i racjonalnego działania.

Widowisko z trzecim wymiarem

„Strefa gangsterów" oferuje krwawe widowisko pełne okrucieństwa, sensacji, zwrotów akcji. Nie każde scenariuszowe rozwiązanie w pełni przekonuje, czasem trzeba wykonać trochę pracy nad zawieszeniem niewiary. Przemoc i makabra, jakimi epatuje produkcja, czasem wyglądają jak droga na skróty. Ale jednocześnie twórcom udało się zbudować jedno z najbardziej fascynujących telewizyjnych widowisk w tym roku – w napięciu oglądamy każdy odcinek, nie mogąc oderwać się od ekranu.

Ronan Bennett przez lata pisał o szachach dla brytyjskiego „Guardiana" i jego serial ogląda się jak fascynującą, krwawą partię szachów, gdzie na szachownicy toczy się jak najbardziej realna walka prawdziwych ludzi.

Jako *showrunner* Bennett ma bardzo sprawną rękę do tworzenia podobnie wciągających produkcji – co udowodnił w pokazywanej na przełomie zeszłego i obecnego roku, także dostępnej na platformie SkyShowtime, swojej uwspółcześnionej wersji „Dnia Szakala", bardzo luźno odnoszącej się do słynnej powieści Fredericka Forsythe'a. Tytułowy zawodowy zabójca poluje w nim nie na generała de Gaulle'a, ale informatycznego geniusza, którego nowa aplikacja zagraża interesom globalnej elity finansowej.

Mimo wszystkich wątpliwych punktów scenariusza – jeszcze liczniejszych niż w „Strefie gangsterów" – serial można było pochłonąć w napięciu za jednym posiedzeniem. Widowisko udało się przy tym połączyć z wielowymiarowymi portretami bohaterów, na czele z tytułowym Szakalem, w absolutnie rewelacyjnej kreacji Eddiego Redmayne'a. Mimo wielu godzin spędzonych z bohaterem, wszystkich tropów, jakie na jego temat zostawia serial, do końca pozostaje on dla nas tajemnicą, fascynującą zagadką. Nie potrafimy powiedzieć, co tak naprawdę go motywuje i napędza, przeskok jakiej wewnętrznej sprężyny sprawił, że zmienił się on w doskonałego w swoich fachu zabójcę.

„Strefa gangsterów" pełna jest podobnie złożonych postaci, wymykających się ↦

↦ stereotypom i łatkom, jakie chcieliby im przykleić widzowie. Wciela się w nich grono najlepszych brytyjskich i irlandzkich aktorów. O „Strefie" często się pisze jako serialu Toma Hardy'ego odtwarzającego postać Harry'ego.

Hardy – na tle rozedrganych Harriganów spokojny jak skała, zdolny szeptem wymusić posłuszeństwo i zastraszyć najmniej strachliwą osobę – jest tu bez wątpienia w swoim aktorskim żywiole, nie tworzy jednak na ekranie niczego nowego, czego nie widzielibyśmy w jego poprzednich kreacjach.

Znacznie bardziej zaskakujący jest Pierce Brosnan jako Conrad. Aktor znany głównie jako James Bond z przełomu wieków ma ostatnio bardzo dobrą passę, był świetny jako kochający władzę i luksus, uwodzący w swoim zdemoralizowaniu szef brytyjskiego wywiadu elektronicznego w „Szpiegach" Stevena Soderbergha. W „Strefie gangsterów" ma czas, by stworzyć być może najbardziej skomplikowaną, psychologicznie zniuansowaną i magnetyzującą kreację w całej swojej karierze. Podobnie złożona jest rola Paddy'ego Considine'a jako Kevina – ale do możliwości tego aktora równie dobrze sprawdzającego się w roli Brytyjczyków z klasy pracującej co króla Viserysa Targeryana w „Rodzie smoka" nikogo nie trzeba przekonywać.

Helen Mirren jak Meave tworzy brawurową rolę, czasem na granicy karykaturalnego przerysowania, ale zawsze zatrzymując się po jej właściwej stronie, podobnie jak Geoff Bell jako główny konkurent Harriganów, Richie Stevenson. Świetne są nawet role na trzecim planie, zwłaszcza Toby Jones jako ścigający rodzinę Conrada policyjny weteran, sam kryjący niejeden sekret.

Przestępcza stolica świata

Biznes Harriganów zagrożony jest przy tym przez „przestępczą globalizację". Richie i jego rodzina rosną w siłę dzięki współpracy z meksykańskimi kartelami, serialowy Londyn jest miejscem, gdzie krzyżują się strumienie brudnych pieniędzy i przestępczych interesów z całego świata.

Obraz Londynu jako „przestępczej stolicy świata" jeszcze mocniej wybrzmiewa w słabszym od produkcji Bennetta, ale też fascynującym serialu „Gangi Londynu" Garetha Evansa i Matta Flannery'ego (trzeci sezon pokazuje właśnie w Polsce Canal+). Pierwszy sezon zaczyna się w momencie, gdy śmierć pochodzącego z Irlandii gangstera Finna Wallace'a powoduje bezkrólewie w sercu londyńskiego półświatka. O władzę nad nim zaczynają rywalizować konkurujące ze sobą gangi, w tym ten prowadzony przez syna Finna, Seana.

Gangi, tworzone głównie według etnicznego klucza, reprezentują różne ludy kiedyś skolonizowane przez Brytyjczyków – są Irlandczycy, czarni z Karaibów i Afryki, przybysze z Pakistanu – które dziś składają „rewizytę" dawnemu imperium i rzucają się do walki o kontrolę nad jego przestępczym podziemiem. W tej walce uczestniczą też – niejako przy okazji – przedstawiciele wszystkich nacji szukających lepszego życia w brytyjskiej stolicy, od Albańczyków z dawnego komunistycznego wschodu po Kurdów, którzy handlując w Londynie heroiną, próbują sfinansować walkę o swoje własne państwo na Bliskim Wschodzie.

Wojnę wszystkich tych gangów obserwujemy z punktu widzenia Elliotta – policjanta działającego pod przykryciem w organizacji przestępczej Wallace'ów, który szybko przekonuje się, że uwikłał się w znacznie bardziej skomplikowaną intrygę, niż kiedykolwiek był na to gotowy. W „Gangach Londynu" próżno szukać tak świetnie skonstruowanych postaci jak w „Strefie gangsterów", scenariusz ma też znacznie więcej słabości, ale Evans i Flannery doskonale radzą sobie z tworzeniem fascynującego telewizyjnego widowiska z ciekawymi obserwacjami społecznymi w tle.

W „Gangach Londynu" przestępcze podziemie splecione jest ze światem finansowej elity, a podziemna gospodarka – z wielkimi finansami. Za gangsterami ostrzeliwującymi się na ulicach stoją tajemniczy „inwestorzy", którzy choć na co dzień spędzają czas raczej na posiedzeniach prestiżowych rad nadzorczych niż wśród osób z wyrokami, to potrafią być jeszcze bardziej niebezpieczni w obronie swoich interesów niż zawodowi przestępcy. Pieniądze działającego między Londynem a Pakistanem narkotykowego barona finansują kampanię wyborczą jego syna, walczącego o stanowisko burmistrza brytyjskiej stolicy.

Państwo, jak pokazuje je serial, okazuje się całkowicie bezradne wobec przechodzących przez Londyn przepływów mniej lub bardziej brudnych pieniędzy, narkotyków, broni, mas ludzkich i towarzyszącej temu wszystkiemu przemocy.

Popkultura postbrexitowego niepokoju

Obraz państwa bezradnego wobec podstawowych problemów ze względu na niekompetencję i korupcję swoich elit, bezsilności kryjącej się za fasadą szacownych instytucji, powraca ciągle w brytyjskiej produkcji telewizyjnej ostatnich lat. Obecny jest w „Gangach Londynu", w obu wspomnianych produkcjach Bennetta – autora znanego z bardzo wyraźnego lewicowego zaangażowania, w młodości, w latach 70. nieprawomocnie skazanego za udział w terrorystycznej aktywności IRA – czy w „Kulawych koniach", świetnej adaptacji serii powieści szpiegowskich Micka Herrona. W tej ostatniej produkcji (można ją obejrzeć na Apple Tv) brytyjskie państwo jest tak niekompetentne, że samo stwarza dla siebie największe zagrożenia.

Podobne obrazy nie biorą się znikąd, twórcy seriali podążają tu za społecznymi nastrojami. Za poczuciem, że kraj jest w kryzysie co najmniej od 2008 r., że politycy wszystkich możliwych opcji nie są w stanie poradzić sobie z trapiącymi go problemami. Przestępczość czy migracja wymykają się spod kontroli, a rozwiązania, które miały stanowić remedium na brytyjskie problemy – z brexitem na czele – tylko pogorszyły sytuację.

Brexit i inne decyzje, jakie podjęli Brytyjczycy i reprezentujący ich politycy, pewnie nie obronią się przed trybunałem historii. Jak to jednak często bywa, z ciężkiej politycznej i społecznej sytuacji powstaje czasami znakomita popkultura.

© JAKUB MAJMUREK

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

Do widzenia, Smoku Smoków



MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL

ANITA PIOTROWSKA

POŻEGNANIE | Łoziński uważał, że najważniejsze to kręcić filmy tak, „żeby nie bolało", nie eksploatować czyjegoś życia w imię artyzmu.

Podobno w zawodzie dokumentalisty ważniejsze jest widzieć niż wiedzieć. Zmarły właśnie Marcel Łoziński (1940-2025) (na zdjęciu), był wierny tej maksymie przez prawie sześćdziesiąt lat swojej pracy w kinie, a zarazem znany ze swojej bezpośredniości i skromności. Łączył w sobie wiele różnych funkcji: czujnego obserwatora, powściągliwego w środkach poety, tropiciela białych plam polskiej historii i na dodatek inspirującego pedagoga. W każdej z tych ról okazał się arcymistrzem i drugiego takiego już nie będzie.

Mawiał często, że dobre kino dokumentalne uśmierza naszą samotność. Dzisiaj młodzież określiłaby to modnym słowem „rel", czyli „mam tak samo". Bo wspólną cechą filmów Łozińskiego wydaje się dziś właśnie to, że potrafił nawiązać bliską więź ze swoim widzem.

Niezależnie, czy było to podpatrywanie mikroabsurdów systemu („Moje miejsce"), bolesne rozliczenie z żydowskim rodowodem („Tonia i jej dzieci"), czy rodzinna konfrontacja przed kamerą („Ojciec i syn w podróży"). Dlatego dziś, gdyby ktoś chciał poczuć na własnej skórze, czym było na przykład życie prywatne w zideologizowanym Peerelu, niechaj obejrzy sobie „Jak żyć", dokumentalną psychodramę z 1977 r. Czyli nakręconą na obozie dla młodych par doskonałą próbkę rzeczywistości i zarazem filmowego języka tamtych czasów.

Doceniany na całym świecie, w 2016 r. na Krakowskim Festiwalu Filmowym, z którym związany był przez wszystkie lata swojej aktywności, otrzymał nagrodę Smoka Smoków – za całokształt. Bo w kinie dokumentalnym, nie tylko polskim, niewielu twórców potrafiło do takiej perfekcji doprowadzić metodę zwaną przez niego „uruchamianiem rzeczywistości".

Nie chodziło mu o to, by poszukiwać jakiejś absolutnej prawdy, ale po prostu wiarygodności i elementarnej uczciwości. Oraz by umieć to skondensować na ekranie. I niewielu jest filmowców tak samoświadomych, kwestionujących otwarcie niewinność „człowieka z kamerą". Weźmy dokument „Żeby nie bolało" z 1998 r. Choć opowiadał o relacji między stołeczną dziennikarką a jej wiejską bohaterką, był poniekąd osobistą wypowiedzią samego twórcy filmu na temat uprawianego przezeń zawodu.

Uwrażliwiał swoich studentów, że najważniejsze to kręcić filmy właśnie tak, „żeby nie bolało". Żeby nie eksploatować czyjegoś życia w imię artyzmu czy odgórnej tezy. Z natury temperamentny, całym sobą angażował się w fundamentalne spory, również o to, co i jak wolno w dokumencie.

Bywał stanowczy i nieprzejednany, lecz po latach potrafił przyznać rację dużo młodszemu koledze po fachu. Każdym kolejnym tytułem przypominał także, iż udany film dokumentalny to przede wszystkim dobrze opowiedziana historia i przemyślana struktura (o czym tak wielu dziś zapomina).

Sam był prawdziwym mistrzem krótkich form, jak w nominowanym do Oscara „89 mm od Europy" (1993). Tytuł odnosił się do różnicy w szerokości torów kolejowych na granicy w Brześciu, obserwacja wymiany kół pociągu zamieniała się zaś w polityczną metaforę.

Poniekąd ciągle aktualną, podobnie jak inne jego filmy, chociażby „Jak to się robi" (2006), demaskujący rodzimy marketing polityczny. Był to zresztą ostatni tak zaangażowany w polską rzeczywistość dokument Łozińskiego. Spełniwszy z nawiązką swoją społecznikowską rolę, oddał pole młodszym, zwracając kamerę głównie na siebie i swoich bliskich.

W najchętniej oglądanym dzisiaj filmie mistrza, „Wszystko może się przytrafić" (1995), swoim medium zadającym pytania najtrudniejsze i zarazem najważniejsze uczynił sześcioletniego synka. Nagradzany w Krakowie, Oberhausen czy San Francisco dokument to filozoficzna przypowieść i summa ludzkiego życia, którą dziś ogląda się ze ściśniętym gardłem.

„Jeśli ktoś umrze, to nie znaczy, że już go nie spotkasz" – mówił Tomaszek do jednego z sędziwych bohaterów napotkanych w Parku Łazienkowskim. Ci, którzy mocno wierzą w kino, będą spotykać twórcę tego filmu jeszcze nie raz, również w tych bardzo licznych dokumentach, do których zdążył przyłożyć swoją rękę jako życzliwy opiekun artystyczny. Zatem do widzenia, mistrzu. ©



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Stanisław Soyka na koncercie Top of The Top Sopot Festival 2024 r.

STANISŁAW SOYKA (1959-2025) był wokalistą, pianistą i skrzypkiem, kompozytorem i aranżerem. Urodzony w Żorach, zaczynał jako czternastolatek od kościelnych organów i kościelnego chóru, gdzie śpiewał w sopranach. Podczas studiów (aranżacja i kompozycja na Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach) śpiewał w uczelnianym big-bandzie, nawiązał też współpracę z gitarzystą jazzowym Jarosławem Śmietaną. Pierwszy okres twórczości upłynął mu właśnie pod znakiem jazzu – i muzyki religijnej, choć również w aranżacjach jazzowych.

Debiutancka płyta – „Don't you cry" z 1979 r. – to zapis koncertu z listopada 1978 r. w warszawskiej filharmonii, podczas którego coveruje Raya Charlesa, Carole King czy Beatlesów i śpiewa standardy gospel. Kolejna, „Blublula" z roku 1981, nagrana z triem Wojciecha Karolaka i nagrodzona tytułem „Jazzowej płyty roku", to standardy. W 1982 r. ukazuje się album „Soyka Sings Ellington", a w 1983 r. – takie były czasy – przygotowany z plejadą świetnych jazzmanów longplay „Matko, która nas znasz" – jazzowe, soulowe i gospel interpretacje pieśni oazowych.

W połowie lat 80. Soyka jest już ważną postacią polskiej sceny muzycznej. Śpiewa i koncertuje m.in. z Tadeuszem Nalepą, nagrywa – wykonywaną później przez całą karierę – piosenkę Grażyny Łobaszewskiej „Czas nas uczy pogody", jest regularnie wybierany w plebiscytach magazynu „Jazz Forum" najlepszym wokalistą jazzowym w kraju. W 1986 r. podpisuje kontrakt z wytwórnią RCA i wydaje pierwszą płytę pop, „Stanisław Sojka", z przebojem „Love is Crazy".

Prawdziwa eksplozja kariery i szczyt popularności Soyki przypada na początek lat 90.: z gitarzystą Januszem Yaniną Iwańskim nagrywa płyty „Acoustic", „Neopositive" i „Live", na których śpiewa swoje największe przeboje, m.in. „Tolerancję (na miły Bóg)". Świadectwem burzliwego związku z aktorką Grażyną Trelą jest „Radical Graża" z 1994 r.; w 1995 r. wydaje „Sonety Shakespeare" i album „Retrospekcja" – pierwsze z licznych podsumowań, z udziałem m.in. Tomasza Stańki i Wojciecha Waglewskiego.

Kolejne lata to czas powrotu do muzyki religijnej i coverów: Soyka koncertuje i śpiewa utwory Jana Pawła II („Tryptyk Rzymski" z 2003 r.), Agnieszki Osieckiej („Soyka... tylko brać. Osiecka znana i nieznana", 2010) i Czesława Niemena („Stanisław Soyka w hołdzie Mistrzowi", 2012), pisze dramat muzyczny „Pasja według Romana Brandstaettera zwana Pasją Szczecińską" (2011), wraca do standardów i Duke'a Ellingtona, interpretuje Miłosza i – z Adamem Strugiem – Leśmiana, nagrywa piosenki do filmów („Soplicowo" z Grzegorzem Turnauem do „Pana Tadeusza" Wajdy, „Ty druha we mnie masz", cover Randy'ego Newmana, do „Toy Story").

Umiera w Sopocie, w przeddzień występu na Top of the Top Sopot Festival. ©℗ MO

Śpiewnik Soyki

ADAM STRUG

POŻEGNANIE | Niezwykły talent, przestrzenna wyobraźnia kompozytorska. Samokrytyczny, ciepły, ale też szorstki, gdy go coś uwierało. Sam fakt, że żył, dawał mi poczucie siły.

Wpadłem nań na schodach. „O, cześć, a ja wiem, kto ty jesteś!". Odpowiedziałem: „No, ja też wiem, kim jesteś". „Wiesz – mówi – gram na fortepianie i skrzypcach, i jakby co, jestem do dyspozycji". Pomyślałem: „gadaj zdrów", a po wymianie grzecznościowych formułek poszedłem dalej. To było w czerwcu. We wrześniu napisałem muzykę do „Klęski" i pomyślałem, że to piosenka w sam raz dla niego.

Pojechałem do nich na Saską Kępę. Nakarmiono mnie i napojono. Zagrałem mu tego wieczora bodaj trzydzieści piosenek. Mówi: „Dlaczego dajesz mi jeden utwór, to materiał na płytę, zróbmy płytę". Świetnie, ale byłem przekonany, że to on zaśpiewa moje piosenki. On na to: „Nie, nie, będę akompaniował". I na tym stanęło.

Nie zgadzaliśmy się w niczym – ani muzycznie, ani politycznie, ani nijak. Ale mięta była. Zobaczył to we mnie. Śpiewak śpiewaka rozpoznaje węchem, a o sztukę wokalną spór był pierwszoplanowy.

PREMIERA W ŁAZIENKACH dzięki życzliwości Tadzia Zielniewicza. Scena na stawie, wiosenne burze z piorunami, o włos od odwołania koncertu. Tłumy, opar mgielny, intensywny zapach kwiecia po deszczu. Pięknie było, i owszem.

Jestem dłużnikiem Stanisława dozgonnym. Nie tylko dlatego, że pootwierał mi wiele drzwi. Obserwowanie go przy pracy było fascynujące. Siadał do fortepianu, a z nieba lały się niebiańskie harmonizacje. Niezwykły talent, przestrzenna wyobraźnia kompozytorska. Samokrytyczny, ciepły, też szorstki, gdy go coś uwierało: „Ty, Adaś, to się zastanów – jesteś muzykiem czy historykiem?".

Wielkie wrażenie robiła na mnie jego bezinteresowność. Widywałem go w sytuacjach, o których postronni nie wiedzą – miał hojne serce, a dziełami miłosierdzia się nie chwalił. Kompan niezrównany, po paru głębszych wchodził w dialekt śląski, a nocnym rozmowom nie było końca.

ŚLĄSKOŚĆ BYŁA DLAŃ KONSTYTUTYWNA – mentalnie i kulturowo. Pięknie i z uznaniem opowiadał o rodzicach, braciach, sąsiadach, o pierwszej w życiu robocie organisty w Gliwicach. Cytuję mniej więcej: „A te baby, wiesz – nie mogą skończyć, bo pieśń długa, a nie honor przerwać, no to grałem im, aż skończyły; w kościelnej sieni mówi jedna do drugiej zadowolona: »alem se pośpiewały!«".

Silna osobowość – sam fakt, że żył, dawał mi poczucie siły. Gdy odfrunął, zrobiło się cicho i pusto. Podniebna groza, nie zasnąłem owej nocy. Rano wezwano mnie do kilku rozgłośni radiowych i telewizyjnych. ©

Adam Strug jest śpiewakiem, autorem piosenek. Nagrał ze Stanisławem Soyką płytę „Strug. Leśmian. Soyka", Universal Music Polska, 2014.

REKLAMA

W dniach **2-5 WRZEŚNIA** w Krakowie spotkają się pisarze i działacze na rzecz wolności słowa z całego świata, by rozmawiać o przyszłości literatury w obliczu wojny, cenzury, dezinformacji i przymusowej migracji, a także o tym, jak dzięki słowu budować przestrzeń porozumienia i solidarności. Kongres odbędzie się w stulecie Polskiego PEN Clubu.



Wśród gości znajdą się m.in. **Olga Tokarczuk**, **Margaret Atwood** (zdalnie), **Raja Shehadeh**, **Andrij Kurkow** i **Kristina Sabaliauskaitė**.

PEN International, najważniejsze stowarzyszenie pisarzy, działające na styku literatury i praw człowieka, stawia sobie za cel ochronę wolności słowa na całym świecie. Założone w Londynie w 1921 roku, łączy międzynarodową społeczność pisarzy i przemawia w imieniu ludzi pióra zmuszonych do milczenia. Działa na pięciu kontynentach dzięki pracy 130 ośrodków w ponad 100 krajach.

Polski PEN Club powstał w Warszawie w 1925 roku. Jego założycielem był Stefan Żeromski, któremu leżało na sercu stworzenie w Polsce silnej kultury demokratycznej, opartej na wolności słowa, pluralizmie i otwartości. Od stu lat Polski PEN Club działa na rzecz tych wartości, stanowi miejsce swobodnej debaty intelektualnej i tworzy prężne środowisko literackie, które wspiera kreatywność, przekłady literatury i wymianę myśli.

Szczegóły programu i bezpłatne wejściówki
https://kbfbilety.krakow.pl/kategorie/pen

Kraków kbf: KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE
Ministry of Culture and National Heritage Republic of Poland
Co-financed by the Ministry of Culture and National Heritage from the Culture Promotion Fund

I stało się wszystko

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Oto film z gatunku „kocykowych” – niby grzeje, ale i mocno drapie. W „Sorry, Baby” można usłyszeć jedno z najpiękniejszych wyznań kobiecej przyjaźni i brzmi ono „nie umieraj!”, w sytuacji, kiedy nikt nad grobem nie stoi.



FORUM FILM POLAND / MATERIAŁY PRASOWE

Jeśli w kinie jest jeszcze możliwa jakaś wolność, „Sorry, Baby” dostarcza na to bezsprzecznych dowodów. Bo dziś tego rodzaju historie najłatwiej byłoby wpisać w konkretny dyskurs – kultury terapeutycznej czy społecznej krytyki. Tak, Agnes, będąc studentką, padła ofiarą przemocy seksualnej. Tak, jako młoda wykładowczyni nadal nosi w pamięci i ciele to, co się wtedy wydarzyło. Tak, sprawca tamtych zdarzeń powinien być ukarany... Jednakże Eva Victor, debiutująca za kamerą trzydziestolatka, robi wszystko, by nie zamknąć tej historii w żadnym znanym nam schemacie – i kręci o tym nieco łobuzerską tragikomedię. Lekka konwencja też może mieć w sobie oczyszczającą supermoc.

Zagrana przez samą reżyserkę Agnes była kiedyś „obiecującą młodą kobietą”. Ale znowu: na przekór podobnym scenariuszom jej kariera wcale nie została złamana. Bohaterka „Sorry, Baby” pracuje na uczelni, w perspektywie ma cały etat na macierzystym wydziale literatury i najwyraźniej kocha swoją pracę. Nawet pomimo tego, że doznawszy ongiś krzywdy ze strony swojego promotora i wielkiego autorytetu, „odziedziczyła” po nim gabinet. Dzisiaj żyje samotnie w tym samym miasteczku, w domku z kotem, i mimo drobnych dziwactw sprawia wrażenie osoby spełnionej. Ma także wielkie wsparcie ze strony Lydie (w tej roli Naomi Ackie), swojej homoseksualnej przyjaciółki z czasów studenckich, mieszkającej obecnie w Nowym Jorku. Od jej odwiedzin rozpoczyna się akcja tego filmu i będzie zawijać wstecz lub wybiegać wprzód, żeby pokazać, jak kręta emocjonalnie jest droga przebyta przez Agnes na przestrzeni tych wszystkich lat.

„Sorry, Baby” to kino babskie w najlepszym tego słowa znaczeniu. Wyświechtaną formułkę „czy chciałabyś o tym porozmawiać?” zamienia w świetnie napisane i zagrane dialogi, czym Victor zdradza swój dramatopisarski rodowód i co bynajmniej nie odbiera filmowości tej historii. Mamy tu na przykład dwie żywcem wzięte z dobrego teatru sceny i są one niczym solidne gwoździe, na których zawieszono cały film. To dwa monologi Agnes. Pierwszy w wannie, kiedy precyzyjnie, acz załamującym się głosem relacjonuje przyjaciółce, czego doświadczyła na spotkaniu z profesorem, i ten finałowy, wypowiedziany już zupełnie innym głosem, którego adresatem jest tytułowe niemowlę. Podzielona na rozdziały, więc niejako książkowa fabuła przeprowadza nas przez cały bardzo nieoczywisty proces samouleczania się bohaterki. Niektóre sytuacje uruchamiają traumatyczne wspomnienia, inne stanowią dla nich kojący plasterek. Najbardziej jednak brzemienne są momenty na pozór wyzbyte dramatyzmu.

Weźmy choćby długie, nieruchome, kręcone z oddali ujęcie rozświetlonego domu profesora, z którego nagle wybiega dziewczyna trzymając w rękach swoje buty. Albo równie wydłużoną jazdę samochodem, kiedy nic się nie dzieje, lecz tyle kłębi się w powietrzu. Dyskrecja byłaby dla tej opowieści słowem kluczem, gdyby nie fakt, iż nawet zwykłe pogaduchy nabierają u Victor ciężaru. Chwilami, patrząc na losy Agnes i słuchając jej błyskotliwych ripost, można by pomyśleć, że właściwie nic się nie stało. Albo, że zdążyła szczęśliwie to przepracować. Choć przecież wtedy zdarzyło się dla niej wszystko i młoda reżyserka wie, jak pozaszywać to „wszystko” między słowami i kadrami.

To bowiem film z gatunku tych „kocykowych” – niby grzeje, ale i mocno drapie. W „Sorry, Baby” można również usłyszeć jedno z najpiękniejszych wyznań kobiecej przyjaźni i brzmi ono po prostu „nie umieraj!”, w sytuacji, kiedy nikt w tym filmie nad grobem nie stoi. Rzadko też zdarzają się ekranowe tytuły, które by z takim wdziękiem opowiadały o ludziach zajmujących się pracą naukową, nawet jeśli bywają zdolni do intryg, niezdrowej rywalizacji i poważnych nadużyć. A nazwiska autorek i autorów, którymi się zajmują, są bardzo nieprzypadkowe: Wirginia Woolf, Joan Didion, James Baldwin. Podobnie jak oglądany w telewizji klasyk „Dwunastu gniewnych ludzi”, który znajdzie swoje zakrzy-



SORRY, BABY
– reż. Eva Victor. Prod. USA/Francja/ /Hiszpania 2025. Dystryb. Forum Film Poland. W kinach od 29 sierpnia.

Eva Victor, amerykańska aktorka, scenarzystka i reżyserka niezależna, zaczynała od teatru. Poczucie humoru ostrzyła, pisując na satyrycznym portalu dla kobiet „Reductress”. Po występach w komediach czy serialu „Billions” zagrała główną rolę w pierwszym napisanym i wyreżyserowanym przez siebie filmie, „Sorry, Baby”, który miał premierę na tegorocznym festiwalu Sundance.

wione odbicie w ławniczym epizodzie Agnes. No i wreszcie, rzadko na ekranie rozprawia się o seksie tak swobodnie i zabawnie, a zarazem tak celnie.

Victor tka tę filmową materię zarówno z małych gestów czułości, jak i drobnych złośliwostek czy niezręczności. Film wyprodukował twórca oscarowego „Moonlight”, czyli Barry Jenkins, który pomógł zaistnieć również filmom „Nigdy, rzadko, czasami, zawsze” (2020) Elizy Hittman czy „Aftersun” (2022) Charlotte Wells, jakoś spokrewnionym ze sobą w swojej podwyższonej wrażliwości. Ponoć wypatrzył przyszłą reżyserkę na Instagramie i zachwycony jej oryginalnym poczuciem humoru, zachęcił do twórczego debiutu. Zaś pod swoje dystrybucyjne skrzydła wzięła „Sorry, Baby” firma A24, co wiele oznacza dla niezależnego debiutu (przede wszystkim, jak twierdzą złośliwi, tak zwaną dystrybucję prestiżu). Bez wątpienia objawił się w kinie talent na miarę Leny Dunham. A inteligentnych komedii nigdy za wiele, zwłaszcza takich, które nie bagatelizują bolesnych tematów i jednocześnie znajdują dlań świeże wybrzmienie.

Wiadomo, że każda krzywda oprócz terapii domaga się sprawiedliwości. Lecz w filmie Victor ta ostatnia od początku zawodzi, trzeba więc ratować się inaczej. Dlatego tak ważny w całej historii staje się ów mały domek, w którym otoczona książkami Agnes chowa się przed bliskością, tapetując okna feralną pracą magisterską i wypatrując odwiedzin Lydie. A czasem uchylając drzwi dla sympatycznego sąsiada (Lucas Hedges). Nie ma tutaj jednak żadnego romantyzowania tej relacji ani gier w kotka i myszkę; w końcu może się za tym kryć zwykłe drapieżnictwo. Pozostaje trudne i żmudne wyzwalanie się bohaterki z ciężkich wspomnień i przymusowego uciszenia oraz stopniowe odzyskiwanie ufności.

Okazuje się, że zwykła kanapka od nieznajomego może pomóc bardziej niż papierowy feminizm uczelnianych władz, bezradnych wobec dziurawych procedur. Na tym polega wolność „Sorry, Baby”, który wyrastając z ruchu #metoo, ma odwagę pójść o krok dalej albo skręcić na nieco inny tor. Bez pośpiechu, łatwych recept i uogólnień towarzyszy swojej bohaterce podczas jej mocowania się z następstwami tego, co już nigdy się nie odstanie. I chociaż ironia bywa nazywana bronią słabych, to właśnie autoironia Agnes, mimo ładunku bólu, z czasem potrafi przynieść niespodziewane ukojenie. ©

Lektor:
Wymieranie



Iida Turpeinen
ŻYWE ISTOTY
Przełożył Sebastian Musielak. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2025, ss. 302. Seria Dziel Pisarzy Skandynawskich.

To była jedna z ważnych lektur mojego dzieciństwa: „Zwierzęta wytępione” Karola Łukaszewicza, rok 1958. Zasiała we mnie narastającą z czasem wątpliwość, czy biblijne wezwanie do czynienia sobie ziemi poddaną nie jest aby źródłem nieszczęść. I czy człowiek jest naprawdę koroną stworzenia.

Autor, przyrodnik, współorganizował krakowski ogród zoologiczny, a po wojnie wskrzesił zoo we Wrocławiu. Na okładce jego książki widnieje tur, wewnątrz są inni bohaterowie: kwagga – jakby zebra, ale prążkowana tylko do połowy, nielotne ptaki moa z Nowej Zelandii, alka olbrzymia, niezgrabny dodo z wyspy Mauritius... No i oczywiście krowa morska – wielki ssak spokrewniony z manatami, dziś nazywany syreną morską.

Uradowała mnie więc powieść fińskiej pisarki (ur. 1987), gdzie losy krowy/syreny oraz jej szkieletu tworzą oś narracji. Żywej opowieści historycznej z wątkiem kobiecym (portrety żony gubernatora Alaski i jego chorej siostry oraz rysowniczki Hildy Olson), a zarazem medytacji nad relacją między człowiekiem a naturą.

Najpierw mamy dramatyczne dzieje wyprawy Vitusa Beringa, Duńczyka w służbie carskiej, mającej zbadać drogę morską z Syberii do Ameryki. Dowodzony przez Beringa „Święty Piotr” gubi drogę powrotną na Kamczatkę i trafia na nieznaną wyspę, która stanie się grobem dowódcy – i nosić będzie jego imię. A uczestnik wyprawy, niemiecki przyrodnik Georg Wilhelm Steller, odkryje w 1741 r. stado potężnych, łagodnych ssaków, żerujących w wodach przybrzeżnych wyspy. Niestety ich ciała są bogate w tłuszcz, a mięso smaczne. Od odkrycia Stellera do śmierci ostatniej syreny minie niewiele lat...

Potem już jest historia szczątków – szkielet, odnaleziony przez Aleutów, rosyjski gubernator Alaski Johan Hampus Furuhjelm ofiarowuje Aleksandrowskiemu Cesarskiemu Uniwersytetowi Helsińskiemu (Finlandia należy wtedy do Rosji, za to Alaskę kupią wkrótce Amerykanie). No i refleksja nad wymieraniem. Wraca historia amerykańskiego gołębia wędrownego, tak licznego, że przelot jednego stada mógł trwać 14 godzin – ale myśliwskie czy raczej rzeźnicze pasje człowieka sprawiły, że ostatni egzemplarz zakończył życie w 1901 roku. A w czasie, kiedy autorka pracowała nad książką, kilkaset gatunków sklasyfikowano jako wymarłe. ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Był zen, jest szał



Siedemdziesiąt zaledwie centymetrów wysokości mierzy otwór wejściowy dla gości w typowym japońskim pawilonie herbacianym. Cel tego zabiegu wydaje się oczywisty nawet dla umysłu zupełnie nieoświeconego, takiego jak mój. Oto mistrzowie, którzy przez kilkaset lat cyzelowali kształt utensyliów i przestrzeni ceremonialnej na równi z zasadami koniecznymi dla właściwego nastawienia ducha, z pewnością chcieli w ten sposób odrzeć każdego uczestnika z jego ziemskich tożsamości i oznak społecznej hierarchii. A ta operuje przecież głównie wektorem pionowym. Ten, kto ważny, jest zazwyczaj „na górze". A tu każdy, choćby majątek, władza i wzbudzany posłuch aż parowały mu poprzez pory skóry, musi się mocno schylić. Nie może dostojnie wkroczyć, włazi prawie na czworakach.

Jako się rzekło, nie jestem oświecony. Piękno zen i różnych jego materialnych przejawów, bez trudu widocznych dla wprawnego oka odcisków, jakie zostawia w namacalnej powłoce życia, liżę tylko przez szybę, znając z grubsza ogólny kierunek tej drogi. Nigdy nie zdołam na nią wejść, zbytnio jestem zanurzony we wzorcach myślenia i odczuwania właściwych dla cywilizacji, w której się urodziłem, w której się urodziliśmy, moi drodzy goście, siedzący wokół naszego Tygodnikowego stołu na krzesłach. Ścięgna i mięśnie mamy wszak nieprzywykłe do klękania na piętach i oddawania się posiłkowi bez jęków bólu. Nogi od biedy da się rozćwiczyć, ale struktury światopoglądu? O, te dopiero mamy usztywnione, jeden wielki mentalny zakwas. A komu się, choć częściowo, udaje to przełamać – wielki szacunek i sympatia.

Z takimż właśnie zdystansowanym szacunkiem przyjąłem kiedyś zaproszenie na ceremonię picia herbaty. Starałem się być dostojny i skupiony, oczyścić umysł z oczekiwań i orientalizujących zdziwień, nie gapić się. Dążenie do harmonii zaburzyła mi jednak turystyczna ciekawość miotełki użytej do spieniania w misce zielonego proszku z wodą. Piękne widowisko. Nie wyszedłem lepszym człowiekiem, ale pamiętam do dziś ten dziwny smak i fakturę napoju. Zachowałem przekonanie, że to nie będzie moja ulubiona zielona herbata, choć pijam regularnie inne jej postaci, zwłaszcza genmaiczę z prażonym ryżem, a poza tym lubię rzeczy gorzkie, ziemiste. Wydaje mi się nawet, że znacznie bardziej cenię gorycz niż większość bliźnich, których w życiu wykarmiłem.

Na długie lata matcha (właściwie czemu nie piszemy „macza", zamiast tej angielskiej transkrypcji?) pozostała dla



YARUNIV / SHUTTERSTOCK

mnie jak piękna puszka na najwyższej półce, po którą się sięga tylko po to, by ją czasem odkurzyć: cennym, niecodziennym składnikiem rytuału. Zwłaszcza że drogo kosztuje i jest jej niewiele na rynku, co odzwierciedla skomplikowany proces jej uzyskania. Wszystko ręczna robota, suszenie i mielenie, a wcześniej krzewy herbaciane muszą dojrzewać, by się mocno wysycić chlorofilem, w głębokim cieniu – czyż to nie symboliczne? Teraz maczy będzie jeszcze mniej, bo z racji zaburzeń klimatycznych uprawy w Japonii ucierpiały. A przede wszystkim dlatego, że popyt na nią eksplodował z hukiem i błyskiem jak fajerwerk. Był zen, jest szał. Jakoś przegapiłem początek tego zjawiska – trzy lata temu? Pięć? W każdym razie okazało się, że zielony proszek nadaje się do wszystkiego, czego żaden mnich na szczytach oświecenia nie umiałby dojrzeć choćby z oddali.

Przede wszystkim dodaje się go do mleka (lub roślinnego niby-mleka) mniej lub bardziej spienionego. Bo macza, jak każda herbata, zawiera kofeinę. I na pewno nikt nie wypomni, że takie zielone niby-cappuccino ktoś pije po obiedzie. Albo robi się tzw. bubble tea, czyli zimny napar z dodatkiem rozmiękłych kulek z tapioki, tworzących w ustach szczególne odczucie oślizgłości – przypomina to ciumkanie żabiego skrzeku. Wybaczcie, że opisuję takie ohydztwa, ale to mój obowiązek dziennikarski. A poza tym ciastka, ciasteczka, torty, bezy, ptifurki i każda możliwa galanteria cukiernicza, którą da się zabarwić na zielono.

Bo to w przepięknej zieloności tkwi źródło sukcesu (czy może: upadku) maczy. Jest cudownie instagramowalna.



Dodatkowe ideolo w postaci właściwości zdrowotnych to tylko pretekst, zwłaszcza kiedy się ją słodzi, bo, jako się rzekło, wcale nie jest przyjemna w smaku. Podobno ma dużo przeciwutleniaczy. A weźcie, napijcie się zakwasu z buraków, będzie taniej, po naszemu i równie kolorowo.

Trudno sobie wyobrazić lepszy przykład tzw. przywłaszczenia kulturowego. Wszystkie aspekty dające maczy taką popularność w masowej kulturze obrazkowej stoją w kontrze do tego, czym była ta herbata w swoim japońskim mateczniku. Uwaga skierowana do środka, prostota gestów i przedmiotów, pokora? Śmieszni dziadkowie w bambusowej budce z ciasnym wejściem niech sobie składają ukłony, ale zasięgów się na pokorze nie zbuduje. Mógłbym jeszcze wyrzekać, ale po pierwsze, żaden z tych dziadków mnie nie upoważnił, żebym się mienił obrońcą tradycji, której nawet dobrze nie znam. A po drugie, takie przywłaszczenia są i będą, wszystko, co jemy, zostało skądś podkradzione i przerobione, tylko łatwo o tym się zapomina.

Nie wiadomo tylko z góry, co się okaże płochą modą świadczącą o tym, jak bardzo dopadła nas nuda, a co zostanie. I nie zawsze zdążymy się o tym za życia przekonać. Czas nas uczy pogody.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Herbatniki z pastą miso

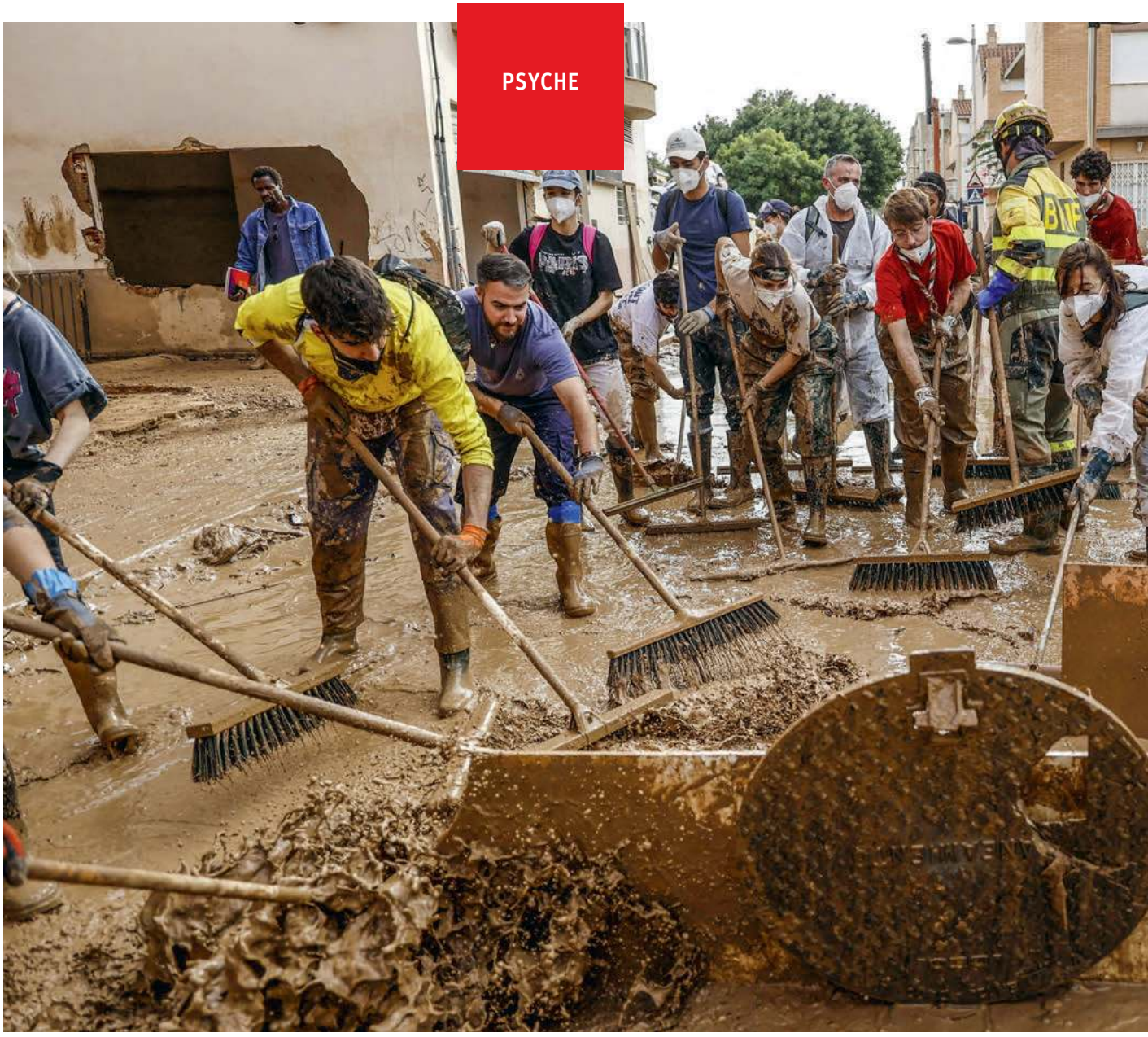
Herbata powstała, według mnie, by ją pić. Z szacunku dla wielkich Chin, Japonii i Indii raczej nie kombinowałem z nią w kuchni. Z jednym może wyjątkiem – w peerelowskiej kuchni był taki myk, żeby blok czekoladowy wydawał się ciemniejszy, choć zawierał mało kakao: barwiło się go mocną gorzką herbatą. Przypomina o tym np. Beata Mellerowa w bardzo cennej książce pt. „W kuchni babci i wnuczki”.
Nostalgia nostalgią, ale znam lepsze przepisy, choćby włoskie „salami czekoladowe”. Za to robię czasem inne ciastka z małym japońskim akcentem. Przepis wzięty z biblii kuchennych kosmopolitów, czyli „New York Timesa”, i potem nieco przerobiony.

SKŁADNIKI:
120 g masła 160 g cukru trzcinowego 50 g cukru buraczanego 100 g pasty miso 75 g masła orzechowego 1 jajko 230 g mąki ▪ kapka ekstraktu waniliowego ▪ pół łyżeczki sody i pół łyżeczki proszku do pieczenia

W dużej misce ucieramy miękkie masło z obydwoma rodzajami cukru, aż zrobi się puszyste. Dodajemy masło orzechowe, dalej mieszamy, aż się wszystko dobrze połączy. Dodajemy jajko i ekstrakt waniliowy, mieszamy z grubsza. Łączymy stopniowo z mąką, zmieszaną uprzednio z sodą i proszkiem. Schładzamy masę kwadrans, potem pobieramy kopiastą łyżkę, z każdej porcji toczymy kulki i układamy je na dużym talerzu. Przykrywamy folią, wstawiamy do lodówki na parę godzin (można też zamrozić zapas do wykorzystania na potem). Układamy na blasze wyłożonej papierem do pieczenia w odstępach ok. 7 cm. Rozgrzewamy piekarnik do 180 st. C, pieczemy ok. kwadransa. Kulki zaczną się rozlewać. Kiedy będą już zrumienione z brzegów, ale miękkie w środku, rozpłaszczamy je lekko szpatułką i pieczemy dalej przez 5 minut, aż popękają na brzegach. Wyjmujemy z pieca, po paru minutach ostrożnie przenosimy na kratkę, żeby dobrze wystygły. ©℗



GOSKOVA TATIANA / SHUTTERSTOCK



NAWET KONIEC ŚWIATA TO NIE KONIEC ŚWIATA

Lęk o klimat, pokój, demokrację czy bioróżnorodność przeżywa większość najmłodszych, a utrwalają go w nich media społecznościowe. Jak dać dzieciom wsparcie i nadzieję?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



ROBER SOLSONA / EUROPA PRESS / ABACA / PAP

Wolontariusze sprzątają ulice po powodzi w prowincji Walencja w Hiszpanii. Masanasa, 8 listopada 2024 r.

Kiedyś do końców świata dochodziło zdecydowanie rzadziej. Tylko od czasu do czasu w stronę Ziemi leciał jakiś meteoryt, czasem przytrafiła się zaraza, czasem Hunowie. A dziś? Dziś kończy się w zasadzie wszystko, i to codziennie. Od klimatu, przez internet i inteligencję, aż po cywilizację.

Pewnie znasz to uczucie: wstajesz rano, włączasz wiadomości i zanim wypijesz kawę, dowiadujesz się, że koniec jest bliski. I w zasadzie nie wiesz, czy dopić tę kawę i wyjść z psem, czy kopać bunkier, czy może przynajmniej lecieć do sklepu po papier toaletowy. Bo coś wypadałoby zrobić. Tylko co?

My, dorośli, nauczyliśmy się jakoś radzić sobie z tymi wszystkimi katastroficznymi newsami i racjonalizujemy je sobie. Zwykle je ignorujemy, czasem się okłamujemy. Zdecydowanie rzadziej coś z tym robimy. A dzieci? Niby nie zwracają na nie uwagi. Niby.

TikToki o zagładzie

– Gdy Izrael zaczął bombardować Iran, na TikToku pojawił się nowy trend – opowiada Michał Fedorowicz, przewodniczący kolektywu Res Futura zajmującego się badaniem ruchu i trendów w internecie.

Nagrania zaczynały się zwykle niewinnie: tło w stylu kreskówki, głos lektora, jakby opowiadał o dinozaurach albo o szkolnej lekturze, a nie o zasięgu rażenia głowicy nuklearnej. Potem animowany grzyb atomowy, mapa, zbliżenie, napis: „Twoje miasto zniknie w 0,02 sekundy". Muzyka: relaksacyjna.

– Takie filmiki trwają zwykle góra minutę, ale ich efekt zostaje na noc. Albo na zawsze. Razem z pytaniem: „czy naprawdę przeżyję tylko chwilę po uderzeniu?" – mówi Fedorowicz. – Dzieciaki nie umieją sobie jeszcze obliczyć promieniowania, ale już wiedzą, że najbliższy schron to piwnica pod Biedronką. Rodzice mówią, żeby nie wierzyły we wszystko w internecie, ale internet o wiarę nie prosi. On po prostu pokazuje. Lęk dobrze się klika, a pierwsze prawo internetu głosi, że wyświetlenia równa się zysk.

Komentarze pod takimi nagraniami: „Mam 13 lat i się boję". „Dopiero mi się życie zaczęło", „Nie chcę umierać przed liceum", „Zrzucą to chociaż po moich urodzinach?".

Wojna, która dla zdecydowanej większości dorosłych Polaków rozgrywała się gdzieś bardzo daleko, dla ich dzieci była zdecydowanie bliżej: w ich rolkach, shortsach, klipach. – Kiedyś dzieci mówiły, kim chcą zostać w przyszłości. Dziś oglądają, jak przyszłość się kończy – mówi Fedorowicz. I to wywołuje lęk. Ale nie głośny, wyrażający się krzykiem. Ten lęk jest cichy, codzienny, a dzieciaki uczą się go wcześniej niż czytania ze zrozumieniem. Młodzież w TikTokach często nie pyta już o to, co będzie, tylko czy jeszcze warto. I dlaczego nikt im nie powiedział, że wszystko może się skończyć, zanim się na dobre zacznie. Choć wojna Izraela z Iranem już się skończyła, dzieciaki są w internecie bezustannie bombardowane filmikami o możliwym wybuchu konfliktu Chin z Tajwanem, Rosji z NATO czy o katastrofie klimatycznej.

Zdradzeni i rozzłoszczeni

„Widziałem w internecie ludzi, którzy poszli na pogrzeb dla lodowca na Islandii. Kto zrobi to dla nas? Czy nie widzą, że wkrótce zniknie nasz cały kraj? Nikogo nie obchodzimy. Płaczecie za lodem, a ignorujecie nas" – stwierdza nastoletni mieszkaniec Malediwów, uczestnik globalnego badania opublikowanego w „The Lancet Planetary Health".

Jego autorka, psychoterapeutka Caroline Hickman z Climate Psychology Alliance zauważa, że dzieci przeżywają zmiany klimatyczne w sposób wyjątkowo głęboki. „To nie tylko lęk, to żałoba po znikającym świecie i rozpacz wywołana tym, że dorośli nie robią wystarczająco dużo" – pisze w tekście opublikowanym w serwisie „The Conversation". Badaczka przywołuje liczne rozmowy, w których powracał jeden motyw: złość. „Dorośli sprawili, że świat jest gorszy, więc jestem tutaj, żeby się zemścić" – napisał jeden z ankietowanych, gdy poproszono go, by stał się głosem globalnego ocieplenia. – „Zepsuliście planetę dla zwierząt i dzieci, więc teraz ja zepsuję ją dla was".

W badaniu Hickman, przeprowadzonym na grupie 10 tys. osób w wieku 16-25 lat z dziesięciu krajów, aż 59 proc. młodych ankietowanych zadeklarowało, że są bardzo lub ekstremalnie ↦

↦ zaniepokojeni zmianami klimatycznymi. 45 proc., że negatywne emocje związane z klimatem wpływają na ich codzienne życie i funkcjonowanie. 39 proc. rozważa nieposiadanie dzieci z powodu obaw o przyszłość. Dodatkowo, ponad połowa uczestników przyznała, że czuje się zdradzona przez rządy i instytucje, które – ich zdaniem – nie robią wystarczająco dużo, by przeciwdziałać katastrofie. „Ludzie powinni mówić prawdę, a nie udawać, że wszystko będzie dobrze. To kłamstwo" – napisał jeden z respondentów.

Przestrzeń dla czułości

Dr Magdalena Budziszewska, psycholożka z Uniwersytetu Warszawskiego i Fundacji Edukacji Klimatycznej, zwraca uwagę, że fale klimatycznego niepokoju wśród dzieci i młodzieży przeplatają się z innymi lękami: wojną, kryzysem demokracji, zniszczeniem bioróżnorodności. To, co je łączy, to wszechobecne poczucie braku kontroli. Młodzi obserwują, że świat, który odziedziczyli, nie tylko nie gwarantuje im bezpieczeństwa, ale wręcz zagraża ich przyszłości. – W takim kontekście kluczowe staje się nie tylko to, czy świat jest groźny, ale czy dorośli robią cokolwiek, by dzieci chronić – mówi psycholożka.

Dzieci nie mają narzędzi, by racjonalizować lęki. Ale mają wyobraźnię, wyjątkowo chłonną i empatyczną. Caroline Hickman w swojej praktyce klinicznej spotykała dzieci, które budziły się z płaczem po obejrzeniu dokumentu Davida Attenborough. Przytacza historię siedmiolatki, która płakała po obejrzeniu filmu dokumentalnego o wymierających koralowcach. „Powiedziała: Chciałabym zrobić coś, ale jestem tylko dzieckiem. Może jak będę dorosła, już nic nie będzie można zrobić" – relacjonuje Hickman.

W krajach takich jak Australia, gdzie skutki zmiany klimatu są wyraźnie widoczne (masowe pożary, wysychanie rzek, śmierć zwierząt gospodarskich), dzieci często są tego bezpośrednimi świadkami. Australijskie Towarzystwo Psychologiczne (APA) opracowało poradniki dla rodziców i nauczycieli, jak wspierać najmłodszych. Jednym z zaleceń jest tworzenie rytuałów pozwalających przepracować żałobę, nawet jeśli ma to być pogrzeb chomika czy refleksja nad znalezionym w lesie martwym ptakiem.

– Nie można zrobić pogrzebu chomika dla planety, ale można tworzyć małe rytuały: wspólne sadzenie drzew, wycieczki do lasu, opowieści o przyrodzie. To są rzeczy, które uczą dzieci troski i nadziei. Pokazują, że świat nie jest tylko zagrożeniem, ale też przestrzenią czułości – mówi dr Budziszewska.

Rzeczy, które możesz zrobić dla dziecka przeżywającego lęk przed końcem świata

- **BĄDŹ OBECNY.** Nie musisz mieć odpowiedzi na wszystkie pytania. Czasem wystarczy, że powiesz: „Widzę, że się boisz. Jestem tutaj".
- **NIE ZAPRZECZAJ EMOCJOM.** Nie próbuj od razu uspokajać, przekonywać, że „nic się nie stanie". To unieważnia doświadczenie dziecka.
- **ROZMAWIAJ OTWARCIE,** ale adekwatnie do wieku. Młodszym dzieciom tłumacz zjawiska obrazowo i z empatią, starszym podawaj źródła wiedzy i zachęcaj do krytycznego myślenia.
- **WSPÓLNIE SZUKAJCIE INFORMACJI.** Pokaż dziecku, jak odróżniać wiedzę od fake newsów.
- **ZADBAJ O RYTUAŁY** i poczucie bezpieczeństwa. Powtarzalne czynności, jak wspólne kolacje, czytanie książek czy spacery, pomagają regulować emocje.
- **ZNAJDŹ PRZESTRZEŃ DZIAŁANIA.** Dzieci zyskują poczucie sprawczości, gdy mogą coś zrobić, choćby zatroszczyć się o roślinkę.
- **ZACHĘCAJ DO EKSPRESJI.** Rysunek, opowiadanie, piosenka – to wszystko pomaga dzieciom „opowiedzieć" o swoim lęku.
- **DAWAJ PRZYKŁAD.** Dzieci uczą się przez obserwację. Jeśli segregujesz odpady, nie marnujesz jedzenia, oszczędzasz wodę, pokazujesz, że zmiana jest możliwa.
- **NIE BÓJ SIĘ MÓWIĆ O NADZIEI.** Nadzieja to nie „wszystko będzie dobrze", tylko „coś możemy zrobić".

Narzędzie przetrwania

Klasyczna psychologia mówi o stresie pourazowym (PTSD) jako reakcji na silne, traumatyczne wydarzenie. Dzieci żyjące w cieniu przyszłych katastrof często nie doświadczyły jeszcze konkretnej traumy, ich lęk ma inny charakter: to stres pretraumatyczny, opisany m.in. przez dr Lise Van Susteren z Harvard Medical School. „To lęk przed czymś, co uważamy za nieuchronne. I to wyniszczający stan, bo nie ma żadnego momentu ulgi. To jak ciągłe oczekiwanie na alarm" – wyjaśnia dr Van Susteren.

W 2023 r. norwescy psychologowie opisali pokrewny stan: Existential Catastrophe Anxiety (ECa), egzystencjalny lęk katastroficzny. Charakteryzuje się trwałym poczuciem, że coś fundamentalnie złego dzieje się z rzeczywistością. U dzieci i młodzieży może to przybierać formę zaburzeń snu, trudności z koncentracją, ataków paniki czy obojętności na przyszłość. Osoby dotknięte ECa często przestają planować: nie potrafią odpowiedzieć, kim chcą być w przyszłości, nie chcą rozmawiać o dorosłości, nie widzą sensu w nauce. „Po co się starać, skoro Ziemia umiera?" – pytają.

To pytanie sprawia, że wielu nauczycieli i rodziców czuje się bezradnymi. Dorośli często reagują instynktownie, próbując natychmiast rozproszyć lęk: „Nie martw się, świat się nie kończy", „To tylko taka moda z tym klimatem", „Zajmij się czymś innym". Ale takie reakcje często pogłębiają poczucie samotności. Dziecko odbiera komunikat: „Twoje emocje są nieważne".

Znacznie skuteczniejsze jest słuchanie bez przerywania albo przyznanie, że nas też coś przeraża. Badania i doświadczenia terapeutów pokazują, iż dzieci nie potrzebują zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Zamiast fałszywego optymizmu, zdecydowanie ważniejsze jest zaangażowanie. Zamiast zbywania – bliskość i zrozumienie. Caroline Hickman wskazuje na rolę „regulujących dorosłych" – osób, które pomagają dzieciom nazywać emocje i umiejscawiać je w kontekście.

– Wiedza nie sprawia, że przestajemy się bać. Ale pozwala odróżnić to, co realne, od tego, co zmanipulowane. Możemy zrozumieć mechanizmy, przyczyny, zależności. I podjąć działania, które mogą rzeczywiście pozytywnie zmieniać świat, a nie są tylko biciem piany – mówi dr Budziszewska.

Przykłady działania są szczególnie istotne. To z nich rodzi się nadzieja, nie jako obietnica, ale jako wybór. Bo w świecie,

który doświadcza katastrof, nadzieja to nie luksus, lecz narzędzie przetrwania.

Tylko skąd my, dorośli, mamy brać na to siłę? Jak mamy dać dzieciom to „narzędzie przetrwania”?

Dzieci nie potrzebują zapewnień, że wszystko będzie dobrze.

Zamiast fałszywego optymizmu, ważniejsze jest zaangażowanie. Zamiast zbywania – bliskość i zrozumienie.

Najlepsza strona

Z badaniem zagrożeń uznawanych za egzystencjalne naukowcy mają poważny problem. Odkąd istniejemy, do apokalipsy nie doszło, a jeśli się dokona, to raczej nie będzie szans na wysłanie ankiety z prośbą o jej wypełnienie. Równocześnie brak całkowitego wyginięcia w przeszłości nie jest dowodem, że jest ono mało prawdopodobne w przyszłości. A każda cywilizacja, która przestała istnieć, nie miała już nikogo, kto mógłby to zbadać, więc niezależnie od tego, jak często takie wydarzenia miały miejsce, żadna cywilizacja nie mogła śledzić ryzyka egzystencjalnego w swojej historii. W konsekwencji, nasze (czyli cywilizacji, która wciąż jeszcze istnieje) modele naukowe muszą się opierać na przypuszczeniach, przypuszczenia na analogiach, a analogie... na wieczornych rozmowach przy winie z osobami, które „coś czytały o tym w internecie”.

Więc jak to z nami będzie? Czy gdy świat zacznie się kończyć, wpadniemy w panikę, skoczymy sobie do gardeł i zacznie się większy koszmar niż sama śmierć? Takim mitem karmią nas powieściopisarze i Hollywood. Z rzeczywistością może to mieć jednak niewiele wspólnego.

W 1943 r. Charles Fritz, magister socjologii z Uniwersytetu Chicago, zaraz po studiach zaciągnął się do amerykańskich Sił Powietrznych. A te błyskawicznie wysłały go do Anglii, gdzie miał oglądać z bliska skutki niemieckich bombardowań. „Nigdy dotąd nie widziałem takiej życzliwości, współczucia i działania dla dobra wspólnego” – wspominał później w książce „Disasters and mental health: Therapeutic principles drawn from disaster studies”. Książce w całości poświęconej temu, jak ludzie zachowują się w obliczu najstraszliwszych katastrof. Bo Fritz zainspirowany wojennymi doświadczeniami, poświęcił później całą karierę właśnie tej kwestii.

Jednym z pierwszych jego spostrzeżeń było to, że mieszkańcy niemieckich i japońskich miast, których domy amerykańskie naloty zrównały z ziemią, morale mieli na zdecydowanie wyższym poziomie niż ci, których tak ciężkie doświadczenia nie spotkały.

Następnie amerykański socjolog rozmawiał z ocalałymi z trzęsień ziemi, tornad, katastrof lotniczych, przyglądał się epidemiom i powodziom. Przeprowadził ponad 16 tys. wywiadów. I dosłownie wszędzie obserwował to samo: zamiast paniki i grabieży – wspólne kuchnie, otwarte drzwi i pomoc sąsiedzka. Zamiast przemocy – altruizm. Zamiast traumy – działanie. Za każdym razem podczas kryzysów ujawniała się najlepsza strona człowieczeństwa. „Współodczuwanie zagrożenia i straty tworzą intymną solidarność pomiędzy ocalałymi, która przezwycięża izolację społeczną, stając się źródłem fizycznego i emocjonalnego wsparcia” – pisał Fritz.

Czy z nami nie było podobnie podczas pandemii, lub gdy wybuchła wojna w Ukrainie?

Obywatele, jakich potrzebowałby raj

David M. Neal, jeden z najbardziej wpływowych socjologów katastrof wykazał, że w sytuacjach kryzysowych dominują zachowania altruistyczne, a przemoc i panika to niemal zawsze wyjątki, nie reguła. Ciekawe jest to, że panikują zwykle... elity (a przynajmniej ludzie, którzy byli za elitę uważani). Zwykle boją się „tłumu” i podejmując paniczne decyzje, elity same powodują chaos, którego się tak obawiają.

W 2005 r., gdy Nowy Orlean został zniszczony przez huragan Katrina, w mediach zaroiło się od informacji o szabrownikach. Później okazało się, że szabrownicy – niemal zawsze w mediach utożsamiani z czarnymi mężczyznami – okazywali się najczęściej tylko ludźmi z sąsiedztwa, którzy w zalanym mieście próbowali znaleźć jedzenie albo wodę zdatną do picia. Otóż w Nowym Orleanie to ludzie, a nie instytucje, ratowali siebie nawzajem: tysiące osób gotowało posiłki, organizowało schronienie, otwierało darmowe kliniki. Ludzie byli dla siebie po prostu dobrzy. Ale tego w telewizji już nie pokazywano. Za to przeciw „szabrownikom” wysłano wojsko i ochroniarzy, którzy – przekonani, że będą się mierzyć z niebezpieczeństwem – nie wahali się zabijać.

Altruizm i poświęcenie zwykłych ludzi w niezwykłych okolicznościach daje nadzieję, choć smak ma gorzki. „Wrota do potencjalnego raju w naszej erze leżą w piekle” – pisze dziennikarka Rebecca Solnit w książce „A Paradise Built in Hell”. Jej zdaniem pozytywne emocje, które pojawiają się w koszmarnie trudnych chwilach, „dowodzą, jak głęboko pożądamy więzi społecznych i pracy, która ma znaczenie dla innych”. „Zazwyczaj sama struktura naszej gospodarki i społeczeństwa uniemożliwia realizację tych celów (...) Potrzebujemy więzi, a one – wraz z poczuciem celu, natychmiastowości i sprawczości – dają nam także radość. Tę zaskakującą, przenikliwą radość, którą odnalazłam w relacjach ocalałych z katastrof. Relacje te pokazują, że obywatele, jakich potrzebowałby każdy raj – ludzie odważni, zaradni i hojni – już istnieją. (...) Jeśli dziś raj pojawia się w piekle, to tylko dlatego, że dopiero w sytuacji zawieszenia zwyczajnego porządku, gdy zawiedzie większość otaczających nas systemów, jesteśmy wolni, by żyć i działać inaczej”.

Prawdziwą apokalipsą bywa codzienne życie z jego alienacją, nierównościami i wyścigiem szczurów. Może więc warto dać sobie szansę na odwagę, hojność i dobroć bez żadnego kataklizmu? Najlepiej tę praktykę zacząć od dzieci, które kataklizmu już się boją.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



Nakładem wydawnictwa Port ukazała się książka Autorów pt. „Co to będzie? Krótki przewodnik po końcach świata”.

TOMASZ

Stawiszyński: *Najskuteczniejsza metoda (do czasu)*



Pewien mój dawny znajomy, wytrawny łobuz z Chomiczówki, uczestnik licznych podwórkowych incydentów, od najmłodszych lat zmuszany przez życie do daleko idącej samodzielności, wynalazł niezwykle skuteczną metodę okradania osiedlowych sklepów. Nie chodziło, zaznaczam, o jakieś wielkie włamy, lecz o przywłaszczanie chipsów, oranżady, papierosów albo gumy do żucia – w biały dzień, w obecności i przytomności sprzedawczyń. Działo się to w pierwszej połowie lat 90., w osiedlowych spożywczakach nie instalowano jeszcze kamer, powodzenie bądź fiasko tych złodziejskich przedsięwzięć – bo też, nie oszukujmy się, niezależnie od skali czy „niskiej szkodliwości społecznej", było to pełnokrwiste złodziejstwo – zależało wyłącznie od indywidualnej inwencji. Parający się tym procederem amatorzy kradzionych smakołyków prześcigali się więc w pomysłowości. Upychali je w obszernych kieszeniach modnych wówczas kurtek typu *flyers*, opracowywali strategie odwracania uwagi, ćwiczyli się w bezdźwięcznym, a błyskawicznym zdejmowaniu przedmiotów z półek na czas.

Jednym udawało się to lepiej, innym gorzej. Jedni wychodzili ze sklepu z uśmiechem i szczodrze dzielili się z mniej odważnymi albo bardziej etycznymi kolegami, inni znowu bywali z tych sklepów wyprowadzani za kołnierz. Nikt jednak nie mógł dorównać mojemu dawnemu koledze – nazwijmy go R. – bowiem stosowana przez niego technika była efektywna wprost proporcjonalnie do swojej oryginalności.

Tajemnica jego sukcesów opierała się wyłącznie, by tak rzec, na psychologii. R. mianowicie krążył długo pomiędzy regałami, wybierał rzeczy, na które miał akurat ochotę, a następnie, chełpliwie je eksponując, mijał kasę i mówił głośno do siedzącej za nią pani: „Kradnę oranżadę, dwie paczki chipsów, dwie paczki marlboro i trzy jabłkowe hubby-bubby (albo też, odpowiednio, jakiś inny zestaw – przyp. TS)". Kasjerka na to uśmiechała się z politowaniem, względnie stukała w czoło, była bowiem przekonana, że R. sobie z niej żartuje. I że zapłacił za wszystko przy innej kasie albo przy stoisku z alkoholem w głębi sklepu.

Niezawodny to był sposób, ale – jak zwykle – do czasu. Pewny swego wirtuoz stawał się w tych performansach coraz bardziej zapamiętały. Obserwować go w akcji przychodziły coraz większe grupy kolegów. Liczba wynoszonych towarów systematycznie rosła, podobnie bezczelność, z jaką obwieszczał kasjerkom, co właśnie robi bądź zrobić zamierza. Nie wiem, czy w końcu sklepowe przeprowadziły porządny remanent i połączyły kropki, czy też może ktoś im uświadomił, co tu się kilka razy w tygodniu wyczynia. W każdym razie obeszły się z R. – w sumie – dość delikatnie. Zamiast skargi do szkoły albo i dzielnicowego, po prostu ochrzaniły go któregoś dnia przy kumplach, a także obłożyły dożywotnim zakazem wstępu „na sklep". Przyznają Państwo: nie była to dotkliwa kara. Przynajmniej – sama w sobie. Wieść się bowiem szybko poniosła po osiedlu, i tak R., co go chyba najbardziej zabolało, stracił naraz pozycję błyskotliwego złodziejskiego geniusza.

Oczywiście, R. niczego tak naprawdę nie wynalazł. Dostrzegł jedynie banalnie prosty trybik w ludzkiej aparaturze poznawczej. Po prostu czasami najskuteczniejszą metodą wywodzenia w pole jest otwarte mówienie, co się za chwilę zamierza zrobić. Kawa na ławę, prosto w oczy, bez najmniejszego nawet cienia wstydu czy żenady. Wiedział o tym R., wie o tym także Władimir Władimirowicz Putin. Ktokolwiek miałby co do tego wątpliwości, niech przeanalizuje raz jeszcze nie tylko stanowisko wygłoszone po spotkaniu na Alasce, ale i rozmaite inne wypowiedzi rosyjskiego dyktatora z ostatnich kilkunastu lat. Od słynnej „mowy z Monachium" z 2007 r. poczynając. Wszystko tam jest, otwartym tekstem, bez żadnej mimikry. Wielobiegunowy *versus* jednobiegunowy świat. Prowokujący niewinną Rosję „kolektywny Zachód", ze swoją drażniącą szpicą, Sojuszem Północnoatlantyckim. „Pierwotne przyczyny" inwazji na Ukrainę w postaci gotowości „kolektywnego Zachodu" do włączenia Ukrainy w swoją strefę wpływów. Niezmienny od lat zamiar całkowitego zdławienia ukraińskich aspiracji do wyjścia poza ruski mir. Rozwiązania siłowe w razie niepodporządkowania się. Zero kompromisów i ustępstw.

Doprawdy, przyglądając się temu, co mówi i robi Putin oraz jak na to reagują zachodni politycy, mam rosnące wrażenie, jakbym – naturalnie w innej zupełnie skali, z innymi zgoła stawkami – przeniósł się znowu do lat 90. i obserwował w akcji tego mojego kolegę. Putin – tak jak R. – wykłada wszystko na stół. Obwieszcza, co zamierza, a następnie to realizuje. Za nic ma sankcje i pogróżki. Zachodni politycy zaś, a zwłaszcza Trump, jakby ciągle mu nie dowierzają. Jakby ciągle liczą, że nagle coś się zmieni, że on się przestraszy, pójdzie po rozum do głowy, rozmyśli albo pokaja. Tymczasem – nic podobnego, wciąż od nowa znana już śpiewka, wciąż od nowa znana już opowieść.

Owszem, to się prędzej czy później musi skończyć, bo zawsze się prędzej czy później kończy. Pytanie brzmi tylko: ile on jeszcze z tego sklepu wyniesie, zanim wreszcie wyniosą jego? I czy waszyngtońskie spotkanie z udziałem europejskich liderów to może być zwrot akcji w taką właśnie stronę? ©

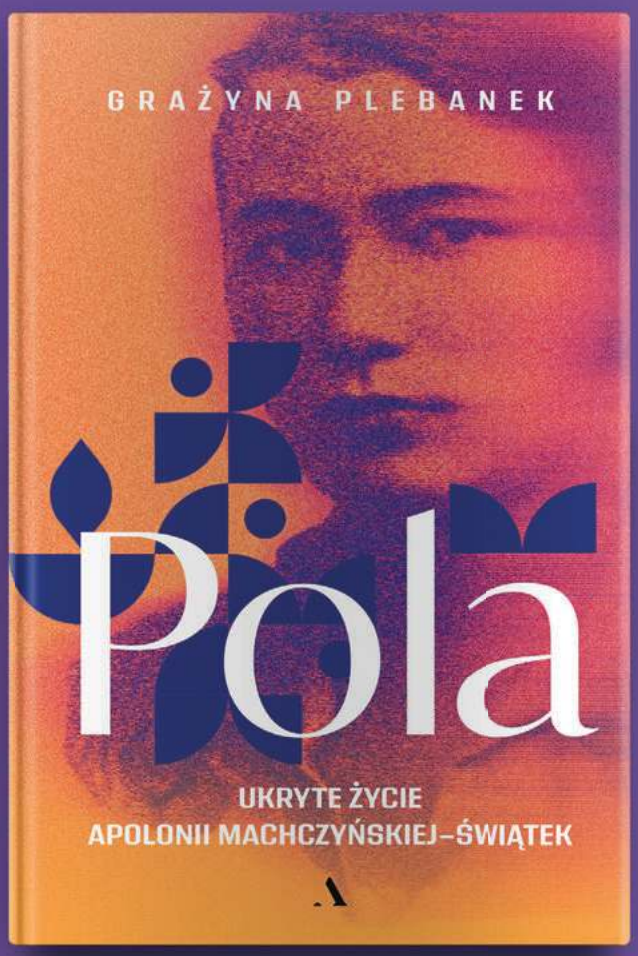
Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Rozstrzelana przez nazistów w 1943 roku za ukrywanie Żydów. Rzekomo w wyniku tragicznego wyboru ojca: on albo córka. Jej biografia, przez lata okryta rodzinnym milczeniem, z czasem stała się publiczna – została opisana w słynnym reportażu i przeniesiona na deski teatru. Jednak opowieść o śmierci Apolonii Machczyńskiej-Świątek nie oddaje prawdy o jej życiu.

BIOGRAFIA BOHATERKI NASZEJ ZBIOROWEJ HISTORII,

ODKRYTA PRZEZ JEJ WNUCZKĘ, GRAŻYNĘ PLEBANEK





CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
REKLAMA



SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander Leasing

ENEOS MOTOR OIL

YOKOHAMA

REKLAMA